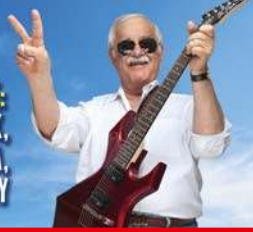


W TYGODNIKU „SIECI" I TELEWIZJI wPOLSCE24 SZOKUJĄCE FAKTY DOTYCZĄCE OPERACJI „ŚLUZA"



MORAWIECKI PO ZAKRĘCIE. KULISY POROZUMIENIA Z KACZYŃSKIM



DODATEK NA MAJÓWKĘ: ZAKAZANY PIETRZAK, TAJEMNICE BAZYLIKI ŚW. PIOTRA, POLOWANIE NA BURSZTYNY

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

18 (700) 2026
27 kwietnia – 3 maja 2026

CENA: 13,90 ZŁ
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

TUSK GRA NA WCZEŚNIEJSZE WYBORY

SŁUŻBA ZDROWIA SIĘ WALI, DŁUG POZA KONTROLĄ, BEZROBOCIE ROŚNIE, ROZCZAROWANIE NARASTA. PREMIER MUSI UCIEKAĆ DO PRZODU. MA JUŻ PLAN, JAK TO ZROBIĆ.

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 4 V 2026 r.

Sprzedaż w 90 dni od daty wydania

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 9016f0c18b

Murem za Cenckiewiczem

Myślę, że trudno policzyć osoby, którym włos zjeżył się na głowie, gdy usłyszały, że 7 sierpnia 2025 r. decyzją pana prezydenta prof. Sławomir Cenckiewicz został szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Byłem na konferencji prasowej, na której kierownictwo Biura przedstawiło się opinii publicznej. Gdy odkryto karty i naprzeciwko nas stanęli prof. Sławomir Cenckiewicz, gen. Andrzej Kowalski i gen. Mirosław Bryś – pamiętam to dobrze – wśród dziennikarzy przeszedł pomruk: „Ale ekipa! Widać, że wiedzą, po co tutaj są".

Dziś prof. Cenckiewicz składa rezygnację i odchodzi, mimo że wygrywa. Paradoks? Owszem. Nawet więcej – to druzgocąca recenzja obecnej kondycji państwa polskiego pod rządami Tuska, który wyznaczył swoim hunwejbinom kurs kolizyjny ze zdrowym rozsądkiem, a także z przepisami prawa. Bo w „normalnej" Polsce po ostatecznym pozytywnym rozstrzygnięciu Naczelnego Sądu Administracyjnego ws. dostępu Cenckiewicza do materiałów niejawnych kierownik rządu powinien kazać swoim siepaczom po prostu odczepić się od szefa BBN. Uznać, że wyczerpała mu się amunicja w tym starciu i zacząć się spierać z prezydentem na jakimś innym polu. Ma do tego wyjątkową pasję, na pewno w tej kwestii fantazji mu nie zabraknie. Tak uważam, bo chyba nikt nie ma wątpliwości, że prawdziwym celem jest prezydent Karol Nawrocki, którego zwycięstwa politycy koalicji 13 grudnia wciąż nie przetrawili i nie zaakceptowali.

Ma rację prof. Cenckiewicz, gdy pisze, że ekipa Tuska, nie uznając prawa, demoluje państwo polskie, że zachowuje się jak wandale. Przecież nie uznając wyroku sądu i wciąż odmawiając dostępu do informacji niejawnych szefowi BBN, robi na złość jemu osobiście, a także – niestety – paraliżuje Biuro, które w obecnej sytuacji geopolitycznej ma gigantyczną wagę. Myślę, że to dlatego Sławomir Cenckiewicz postanowił się cofnąć – by nie być taki sam jak jego oponenci – i położył na biurku prezydenta rezygnację.

Dzisiaj możemy mieć poczucie przegranej. Poczucie, że „długie ramię Moskwy" wciąż mebluje najważniejsze polskie instytucje. Zgrzytam zębami, gdy dociera do mnie, że trzeba się było cofnąć w konfrontacji z tymi bandytami. Że szeryfa obowiązuje prawo, a oni strzelają bez ostrzeżenia. Nic dziwnego, że w oświadczeniu prof. Cenckiewicza można wyczytać, iż jest w nim sporo poczucia niesprawiedliwości. Dlatego w tytule postawiłem hasło: „Murem za Cenckiewiczem" – niech ta sprawiedliwość kiedyś do niego wróci. Ufam, że tak będzie, a jego cierpliwość mu w tym czekaniu pomoże.

To oczywiście nie pierwsze represje wobec prof. Sławomira Cenckiewicza. Słusznie wskazuje on w swoim oświadczeniu, że ma świadomość, iż nie odpuszczą mu za zdemaskowanie Wałęsy jako „Bolka", za rozpowszechnianie wiedzy o roli premiera Tuska i jego współpracowników w procesie podporządkowywania Polski Federacji Rosyjskiej w latach 2007–2014, za rzetelną pracę w Państwowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022 oraz za udział w likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych. Powodów jest więcej. „Normalna" Polska za każdy z nich wręczyłaby urzędnikowi medal, a nie ścigała.

Sama decyzja o rezygnacji to zapewne wspólne dzieło szefa BBN i prezydenta. Aby pójść do przodu, trzeba było podjąć jakąś decyzję. Nie jestem pewien, czy była to decyzja najlepsza (wciąż trudno mi zaakceptować fakt, że to jednak ustąpienie przed przemocą), ale jej brak utrzymywałby tylko pat w BBN, a to Polsce na pewno nie służy.

Nie można też abstrahować od sytuacji wewnętrznej w Kancelarii Prezydenta RP. Mówiąc wprost, pałac to dwór, w którym podziałów i konfliktów nie brakuje, a prof. Cenckiewicz miał tam swoich oponentów. Czy były podszepty, że dymisja jest jedynym słusznym wyjściem? Pewnie tak.

Na koniec wrócę do konferencji prasowej, od której zacząłem. Cenckiewicz, Kowalski, Bryś – już wówczas miałem poczucie, że każdy z nich mógłby być szefem BBN. Teraz czas na gen. Andrzeja Kowalskiego. Jeśli Tusk uważa, że będzie miał z nim łatwiej niż z Cenckiewiczem, bardzo się myli.

Marcin Wikło



Autopromocja

eprasa.pl 9016f0c18b

SIECI

spis treści



21 Co dalej z „prawicą aspiracyjną”?
Jan Rokita



27 Więdnący żonkil
Konrad Kołodziejski



51 Kto ubiera się u Prady
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

5 **GRA BEZPIECZEŃSTWEM**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ŚMIERĆ OCHRONY ZDROWIA**
Dorota Łosiewicz

9 **SZCZYT W DUBROWNIKU. TRÓJMORZE BIERZE SPRAWY W SWOJE RĘCE**
Daniel Obajtek

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **CHORA SŁUŻBA ZDROWIA!**
Jan Pietrzak

12 **WULGARNA LEKCJA DLA MŁODYCH**
Samuel Pereira

13 **POTRZEBA ODRZUCENIA KLIMATYZMU**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA MICHAŁA KOŹLIKA**
Michał Korsun

16 **ZMARNOWANE MILIARDY**
Arkadiusz Mularczyk

17 **ISKRZY W PiS**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

18 **TUSKA GRA NA PRZEDTERMINOWE WYBORY?**
Piotr Gursztyn

KRAJ

21 **CO DALEJ Z „PRAWICĄ ASPIRACYJNĄ”?**
Jan Rokita

24 **MORAWIECKI PO ZAKRĘCIE**
Stanisław Janecki

27 **WIĘDNĄCY ŻONKIL**
Konrad Kołodziejski

30 **GRANICA WSTYDU**
Łukasz Wróblewski

ŚWIAT

33 **PRYWATYZACJA WOJNY**
Marek Budzisz

36 **NA GEJA, NA ATEISTĘ, NA ŻONĘ**
Aleksandra Rybińska

38 **RYZYKOWNA TRANZYCJA**
Dorota Łosiewicz

NA MAJÓWKĘ

40 **Z POLSKI NIKT MNIE NIE ZWOLNIŁ**
Z Janem Pietrzakiem rozmawia Jerzy Szmit

44 **POD KOPUŁĄ ŚWIĘTEGO PIOTRA**
Grzegorz Górny

48 **POLOWANIE NA PODMORSKĄ BIŻUTERIĘ**
Przemysław Barszcz

SIECI KULTURY

51 **KTO UBIERA SIĘ U PRADY**
Jolanta Gajda-Zadworna

54 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

HISTORIA

57 **RÓD NIEMAL KRÓLEWSKI**
Stanisław Płużański

OPINIE

60 **REFORMA PEŁNA BŁĘDÓW**
Aleksander Nalaskowski

62 **KIEDY OPUŚCIMY BETONOWE KLATKI?**
Maciej Walaszczyk

64 **DEMOKRATURA NAD MOTŁAWĄ**
Joanna Formela

PODRÓŻE

66 **MOJE SZLAKI: TOMASZ SZYMAŃSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **MONSIEUR JOURDAIN I OBCY**
Robert Tekieli

70 **PUBLICZNA, CZYLI PAŃSTWOWA**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **ROZUMIEĆ I BYĆ ROZUMIANYM**
Aleksander Nalaskowski

73 **HIPOKRYZJA (NIE MYLIĆ Z HIPOPOTAMEM)**
Ryszard Czarnecki

74 **PŁYTKIE ZAKORZENIENIE W CZŁOWIECZEŃSTWIE**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 9016f0c18b

BRONISŁAW WILDSTEIN

Gra bezpieczeństwem

Zatelefonował do mnie przyjaciel, z którym dawno nie rozmawiałem. Był wzburzony. – Stanęliśmy w obliczu egzystencjalnego zagrożenia – zaczął bez wstępu. – My wszyscy. Polska. Ale ogół nie traktuje tego poważnie. Jeśli mamy przeżyć, nasza polityka musi się zmienić. Trzeba stworzyć ponadpartyjne porozumienie, układ ponad podziałami, który bezpośrednio nazwie zagrożenie rosyjskie i wypracuje strategię przeciwstawienia się mu. To konieczność. – Masz rację. Tylko co z tego? Jeśli premier naszego kraju i jego ugrupowanie traktują właśnie to zagrożenie jako metodę utrzymania władzy, strasząc, że ich konkurenci to zdrajcy? To, że ma to być osią kampanii wyborczej, pokazuje wystąpienie Tuska na Radzie Krajowej Koalicji Obywatelskiej.

Ogłosił on na nim, że projekty polityczne Putina i Kaczyńskiego pokrywają się. Plan Putina nazwał „piątką" i podsumował: „A nie macie wrażenia, że ja czytam dzisiaj pięć punktów z nowej »piątki Kaczyńskiego«? Atak na Unię Europejską, szczucie na Ukrainę, konflikt z Niemcami, zablokowane pieniądze europejskie na zbrojenia w Polsce, atak na instytucje państwowe. To jest »piątka Putina« i to jest »piątka Kaczyńskiego«".

Jak zwykle retoryka Tuska to przemieszanie prostych kłamstw z bardziej złożonymi manipulacjami. Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki i Andrzej Duda w pierwszym, najważniejszym etapie ataku rosyjskiego na Ukrainę zrobili dla niej więcej niż ktokolwiek inny na świecie. Niesłuszne zarzuty, że zaniedbali polskie interesy, mają uzasadnienia w skali ówczesnej pomocy. Cały czas niezmiennie Kaczyński podkreśla, że sojusz z Ukrainą jest fundamentem polskiej racji stanu.

„Atak na instytucje państwowe" przeprowadza Tusk, od kiedy przejął władzę. Kwestionuje podstawowe struktury prawne, takie jak Trybunał Konstytucyjny, niezależność sądownictwa czy normy działania prokuratury. Neguje kompetencje prezydenta, którego wybór usiłował zablokować. Teoretycznie uzasadnił to, odwołując się do idei „demokracji walczącej", czyli doktryny stanu wyjątkowego w państwie zagrożonym faszyzmem, którą pod koniec lat 30. XX w. wypracował Karl Loewenstein. Przyjmuje ona, że na czas konfrontacji z wrogiem w obronie demokracji zawieszone zostają jej zasady.

Ogłoszenie, że krytyka UE oraz racjonalne podejście do rozwiązań narzucanych przez Brukselę („szczucie na nią") pozbawia nas możliwości obronnych jest zarówno kłamstwem, jak i domaganiem się zrzeczenia jakiejkolwiek niezależności politycznej. Tusk mówi niedwuznacznie, że bezpieczeństwo zapewnić może nam wyłącznie bezwzględne poddanie się brukselskiej kurateli. Jest to nie tylko kłamstwo – żadnej obrony Bruksela nam nie zapewnia – lecz także szantaż, który warunkiem bezpieczeństwa czyni zrzeczenie się już nie tylko niepodległości, lecz także podmiotowości.

Bezpośrednio po oburzeniu na nieposłuszeństwo prawicy wobec UE na tym samym poziomie premier ogłasza, że zbrodnią przeciw polskiej racji stanu jest nieposłuszeństwo wobec Niemiec, które jakoby wespół ze „Skandynawią, państwami bałtyckimi, Niemcami i Rumunią biorą na siebie główny ciężar obrony Europy przed Rosją".

Stwierdzenie to jaskrawo rozmija się z faktami, gdyż Niemcy, owszem, deklarują skokowy rozwój własnego przemysłu zbrojeniowego (co na razie bardzo słabo im idzie), ale ich głównym celem jest pobudzenie swojej gospodarki i wcale nie uczestniczą w wysiłkach Skandynawów, którzy niezależnie od nich przygotowują się na ewentualność agresji Moskwy. Oburzające jest, że zamiast włączyć się w te przedsięwzięcia, rząd Tuska ogląda się na Berlin. Jest to jeden z istotniejszych z morza zarzutów, jakimi można go obarczyć.

Premier nie gryzie się w język. „Wszędzie tam, gdzie widzimy realizację politycznych interesów Putina i Moskwy, także w Budapeszcie, pojawiają się ludzie Kaczyńskiego, Nawrockiego, Mentzena [...] to współczesna Targowica, działająca w Polsce i w Europie. Mnie zupełnie nie interesuje, czy zdrada ma oblicze głupca, czy zdrada ma oblicze sprzedawczyka, czy zdrada ma oblicze agenta, bo zdrada jest zdradą. To jest zdrada polskich interesów narodowych" – głosi.

Wystąpienie Tuska w sposób szczególnie dobitny dowodzi, że zagrożenie narodowego bytu traktuje on jak wszystko inne wyłącznie instrumentalnie. Jest ono ważne dla niego o tyle tylko, o ile posłużyć może do zdezawuowania krajowego przeciwnika. Fakt, że działania te pogłębiają istniejące podziały, a zatem niezwykle utrudniają budowę tak niezbędnej w czasie egzystencjalnie niebezpiecznym jedności, w ogóle go nie obchodzi, tak jak i polska racja stanu. Wszystko wskazuje na to, że nasz kraj interesuje go o tyle, o ile może odgrywać w nim rolę zarządcy, namiestnika swoich europejskich patronów.

Powtórzę raz jeszcze. Nie słuchajmy Tuska, kiedy mówi o sobie, słuchajmy go, kiedy mówi o przeciwnikach. Wtedy mówi o sobie.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9016f0c18b



Sygnalista nadaje

Pan Premier ***Donald Franciszek Tusk*** ma już 69 lat! Piękna liczba, budząca wiele skojarzeń. Gratulujemy i jednocześnie się martwimy. Bo jak mogło się zdarzyć, że o swoich urodzinach premier musiał sam przypominać wpisem w internetach? Przecież to naród powinien pamiętać i zrobić jakąś miłą niespodziankę. Iluminacje, fajerwerki, ukwiecone girlandy i inne rzeczy, które należą się Ukochanemu Przywódcy. Okolicznościowe akademie, odświętnie ubrana dziatwa i pierwsze strony gazet z dużymi, ładnie zretuszowanymi portretami. Koncert, odczyty, zobowiązania produkcyjne. Dlaczego tego nie było? Nie można wszystkiego tłumaczyć tym, że to wina rządów PiS. Zwłaszcza w tym przypadku. Na szczęście wszystko można naprawić. Za rok okrągłe 70. urodziny naszego Ukochanego Przywódcy. Najwyższa pora zgłaszać inicjatywy. Naszą propozycją jest przemianowanie pewnego miasta leżącego nad rzeką Motławą. Niech od następnych urodzin przywódcy nazywa się – Donald-Franz-Tusk-Stadt Danzig!

Bo wiecie, że o Gdańsku można mówić bardziej po zagranicznemu? Tak elegancko, europejsko – Danzig. Lekcję światowości dał nam Pan Premier, goszcząc w tej miejscowości potężnego przywódcę niezwyciężonego mocarstwa, czyli pana Macrona z Francji. Pan Premier oprowadzał gościa i snuł ciekawe opowieści. Tę najciekawszą podajemy w brzmieniu oryginalnym, bo unijczycy to rozumieją, a prawacka hołota i tak tego nie pojmie: „Hjer in Dancyg, only ebałt ejt tauzend pipoł rimejnd hjer in Dancyg after de Sekend Łeld Łor". Może i tylko osiem tysięcy, ale co to byli za ludzie? Opa Józef, który był, ale jakby nie był w Wehrmachcie (tak jak inni nasi chłopcy, nasze matki i ojcowie). Oma Anna. To był fenomen. Trzymała listy od kajzera i führera. Nie chciała rozmawiać po polsku, bo to nie jest język kongresowy, tak jak niemiecki. No i pozostałe 7998 osób, które mniej znamy. To był Welt. Genau im alte Stille. Soldaten, keine Zivilen.

Zabawa w miejscowości Danzig okazała się tym fajniejsza, że Pan Premier zadbał o to, żeby nie było tu tego Nawrockiego z Gdańska (bo akurat był w Warszawie). Namawiał Emmanuela, aby się z nim nie spotykał. No i się udało. Emmanuel przystał na tę prośbę zgodnie ze starym francuskim przysłowiem „Mourir pour Dantzig?", czyli dlaczego ma umierać za Danzig, skoro dzisiaj wszyscy – poza Donaldem – mówią na to miasto Gdańsk?

A teraz o konwencie św. Mateusza. To inicjatywa poświęcona nostalgikom tęskniącym za latami 90., czyli czasem, gdy wyborca prawicy miał do wyboru bardzo długi szereg bliskich mu partii. W ostatnim czasie pojawiła się wprawdzie trzecia partia prawicowa, czyli Korona Grigorija Brauna, ale to i tak zbyt mało w porównaniu z sytuacją z 1993 r. Naprzeciw oczekiwaniom wyszedł Mateusz Morawiecki, zakładając stowarzyszenie Rozwój Plus. Sprawa jest w toku i ma liczne zakręty. Jeden prowadził przez znane stołeczne osiedle Biały Kamień, gdzie urzęduje mistrz rondla i patelni Adam Bielan. Tam, w miejscu, w którym Jarosław Kaczyński zabawiał kiedyś dow-

eprasa.pl 9016f0c18b

cipną rozmową Szymka Hołownię, doszło do podobnego spotkania. Są oczywiście różnice – zamiast Szymka był Mateusz, no i chyba nie było zbyt zabawnie. W każdym razie stowarzyszenie ma się teraz nazywać Rozwój Minus i działać w ramach zjednoczonej partii kaczystowskiej. PS Był jeszcze jeden bardzo niemiły akcent. Na ucztowanie nie został zaproszony prof. Przemek Efekt-Czarnek.

Pytacie, co dalej ze zjednoczonym nurtem kaczystowskim. To ciekawe pytanie, które nurtuje także filmowców z Brazylii. Planują oni na kanwie wyżej opisanych zdarzeń nakręcić serial – oczywiście brazylijski. O emocjach, dramatycznych kłótniach, wzruszających powrotach, zawikłanych intrygach i godzeniu się. Tytuł serialu: „2 płuca, 11 wiceprezesów". Liczba odcinków nieograniczona (chyba że minister Żurek zakończy tę beztroską zabawę).

Do prezesa Rady Ministrów Donalda Franciszka Tuska trafił już wniosek, aby główni bohaterowie serialu o życiu wewnętrznym PiS zostali odznaczeni medalem Zasłużony dla Demokracji Walczącej i Praworządności (tak jak ją rozumiemy). W uzasadnieniu czytamy, że to za altruistyczną postawę polityków Prawa i Sprawiedliwości, którzy idą po konstytucyjną większość nie dla siebie, ale dla Koalicji Obywatelskiej. Wśród osób wskazanych do szczególnego wyróżnienia wymieniono tak wybitne osobistości naszego życia politycznego oraz internetowego jak dr Jaki Patryk, Toby Bocheński, Buda Waldek i kolega Bestii z Kutna prezes Horała.

Głośno też o ***Kaśce Pełczyńskiej-Nałęcz***. Nadal cieszy się ona gorącą sympatią Pana Premiera, a teraz do jej fanklubu dołączyły kolejne osoby wielbicielskie. A zwłaszcza niedoszła osoba ministerska ds. kultury (wygryziona przez tę Cienkowską z Ciechanowa), czyli Ola Leo. Ola też była w Polsce 20 łamane na 50, ale teraz jest w klubie parlamentarnym Centrum. Stała się tam biczem na hołowniarzy pyskujących Panu Premierowi. Potraktowała ich surowym napomnieniem: „Na prawie każdym weselu jest wąsaty wujek, który około północy jest nietrzeźwy i rozrabia, a na koniec wesela ląduje z twarzą w sałatce. Takiego wujka trzeba spacyfikować i postawić do pionu. Takim wąsatym wujkiem jest Polska 2050". Jej czujność i pryncypialność z pewnością zostanie nagrodzona. Może nawet miejscem na liście wyborczej Koalicji Obywatelskiej. A przynajmniej wyjazdem na Maderę z Ryśkiem Petru.









Fot. Andrzej Skwarczyński, Ludmiła Skwarczyńska, Julita Szewczyk (2x)

Bezczelność hołowniarzy nie zna granic. Nie dość, że domagają się stanowiska wicepremiera dla Kaśki Pełczyńskiej-Nałęcz, to jeszcze grożą podniesieniem ręki na inne demokratyczne świętości. Odgrażają się, że zagłosują za odwołaniem ze stanowiska ministra ds. zwrotu butelek plastikowych Paulinę Hennig-Kloskę. A nawet więcej! Zagrozili, że zagłosują za odwołaniem Wołodii Czarzastego ze stanowiska marszałka. Niesłychane, bo jeszcze niedawno byli tacy fajni, gdy wspólnie z innymi demokratami płakali nad konstytucją.

Ciężka łapa Trumpa przygniotła już TVN. Widać pierwsze objawy. Katarzyna Kolenda-Zaleska zdradziła jako pierwsza. Kiedyś pilna uczennica profesora Tuska, dzisiaj zdemaskowana jako agentka ziobryzmu. W bolesny dla każdego demokraty walczącego sposób przerwała wypowiedź Seweryna Andrzeja, aby stanąć po stronie Wójcika Michała z SuwPolu. Może i ładniej śpiewa niż Seweryn Andrzej, ale za to gorzej tańczy niż jego kolega Janusz Kowalski. W każdym razie środowiska inkluzywne (ze szczególnym uwzględnieniem Silnych Razem) ogłosiły bojkot Tefauenu. Spodziewane jest rozszerzenie bojkotu na Polsat. A to dlatego, że tam też czuć łapę Trumpa. Wstrząsnęła nami wiadomość, że Zygmunt Solorz spotkał się z tym Pomarańczowym Tyranem. I to gdzie? W Trump Winery! Czyli nie dość, że faszyści, to jeszcze pijacy.

Jedyną nadzieją w tej sytuacji jest inicjatywa ***Janusza Palikota***, który wezwał do stworzenia całkowicie nowej telewizji: „Zróbmy taką telewizję. Zmieńmy układ sił w Polsce. Zróbmy popiół i diament. Popiół im, a diament dla nas i dla Polski. Zapraszam". Jeśli macie jeszcze jakieś pieniądze, które zostały po zainwestowaniu w poprzednie projekty Janusza, to oczywiście gorąco zachęcamy. Pieniądze szczęścia nie dają, więc jak ich się już ostatecznie pozbędziecie, to na pewno będziecie bardzo szczęśliwi. Janusz ma dobrą rękę do biznesu, więc tym razem będzie tak samo. Ciekawe, czy osobowość telewizyjna starszego pokolenia, pan Jakub Władysław Wojewódzki, też wejdzie do tego projektu.

Marszał polskawa Siejma ***Wołodia Wikientiewicz Czarzastyj*** ukarał posła Berkowicza Konrada (bardziej popularnego jako ambasador marki Ikea) za antysemityzm. Jest jednak pytanie: czy człowieka o nazwisku Berkowicz można ukarać za antysemityzm? I czy ta kara to nie jest antysemityzm?

eprasa.pl 9016f0c18b

WIEŻA BAB

Śmierć ochrony zdrowia

Dyrektor szpitala mówi wprost: ktoś umrze, bo nie zostanie zdiagnozowany na czas. System przestał gwarantować dostępność leczenia

Jeszcze niedawno można było się łudzić, że problemy polskiej ochrony zdrowia to raczej chroniczna niewydolność niż stan krytyczny. Kolejki były długie, a personel przeciążony, ale gdzieś w tle istniało przekonanie, że system mimo wszystko działa. Dziś te złudzenia pękają jedno po drugim, a rzeczywistość coraz wyraźniej pokazuje, że nie mamy już do czynienia z niewydolnością, lecz z całkowitą zapaścią.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu: szpital powiatowy w Skarżysku-Kamiennej. Nie mówimy o egzotycznej terapii ani eksperymentalnym leczeniu, lecz o standardzie współczesnej medycyny – nowoczesnych lekach dla pacjentów ze stwardnieniem rozsianym. Trzy preparaty – ozanimod, siponimod i ofatumumab – znikają z programu lekowego. Dla ok. 30 osób to nie jest „zmiana organizacyjna", tylko brutalne przerwanie terapii. Choroba, która wymaga ciągłości leczenia, zostaje nagle pozostawiona bez jednego z kluczowych narzędzi kontroli. Państwo, które jeszcze niedawno chwaliło się dostępem do innowacyjnych terapii, dziś wycofuje się po cichu, pozostawiając pacjentów w próżni.

Słowa „proszę szukać gdzie indziej" brzmią jak ponury żart, gdy spojrzymy na sytuację w Krotoszynie. Tam od maja zawieszony zostaje oddział onkologii klinicznej. Nawet jeśli „tylko na dwa miesiące", każdy, kto zetknął się z leczeniem nowotworów, wie, że w onkologii czas nie jest kategorią umowną. Dwa miesiące mogą oznaczać przejście choroby w stadium nieoperacyjne, utratę szansy na skuteczną terapię, a w konsekwencji utratę życia. System, który powinien działać bez przerw, zaczyna przypominać instytucję sezonową, w której dostęp do leczenia zależy od „widzimisię" urzędników.

A kiedy schodzimy poziom niżej, do codziennego funkcjonowania szpitali, obraz robi się wręcz absurdalny. W Bytomiu personel medyczny wraz ze wspierającym szpital stowarzyszeniem organizuje zbiórkę pieniędzy na przegląd techniczny aparatu do diatermii chirurgicznej. Brakuje 2250 zł – kwoty, która w skali budżetu państwa jest praktycznie niezauważalna, a która w tym przypadku decyduje o możliwości wykonywania operacji. Bez sprawnego „noża elektrycznego" blok operacyjny przestaje spełniać swoją funkcję. To już nie jest nawet symbol niedofinansowania – to obraz systemu, który utracił zdolność do zabezpieczenia własnych podstaw.

I jeszcze Zamość. Wstrzymano tam badania rezonansem magnetycznym i tomografię komputerową, ponieważ wyczerpano limit finansowania na cały rok... w kwietniu. Nie w listopadzie, nie pod koniec grudnia, ale już w kwietniu. Oznacza to, że przez większość roku pacjenci wymagający pilnej diagnostyki będą odsyłani z kwitkiem lub wpisywani na odległe terminy, które w praktyce tracą sens kliniczny. Dyrektor szpitala mówi wprost: ktoś umrze, bo nie zostanie zdiagnozowany na czas. Trudno o bardziej dosadne podsumowanie skutków decyzji administracyjnych. To już nie jest problem kolejek – to sytuacja, w której dostęp do diagnostyki zostaje administracyjnie zamknięty.

Co więcej, nie jest to odosobniony alarm. Dyrektorzy innych placówek z różnych części kraju wskazują na te same mechanizmy: ograniczenia finansowania, nowe zasady rozliczania nadwykonań, brak realnego pokrycia dla rosnących potrzeb zdrowotnych społeczeństwa. Innymi słowy, nie mamy do czynienia z serią niefortunnych przypadków, tylko z katastrofą. System przestał gwarantować dostępność leczenia.

Państwo nadal formalnie „zapewnia" opiekę zdrowotną. W dokumentach wszystko się zgadza, procedury istnieją, programy funkcjonują – przynajmniej na papierze. Problem w tym, że coraz częściej są to gwarancje czysto deklaratywne. W rzeczywistości pacjent trafia na zamknięty oddział, zawieszoną terapię, niesprawny sprzęt albo brak możliwości zapisania się na badanie. I wtedy pozostaje już tylko jedno, coraz mniej retoryczne pytanie: czy to jeszcze kryzys, który można opanować, czy już trwała zapaść, z którą uczymy się żyć – aż do momentu, gdy sami staniemy się jej ofiarą?

Dorota Łosiewicz



Szczyt w Dubrowniku. Trójmorze bierze sprawy w swoje ręce

W dniach 24–25 marca br. Dubrownik stał się sercem Europy Środkowej. Chorwacja jako gospodarz 11. Szczytu Inicjatywy Trójmorza i towarzyszącego mu Forum Biznesowego zaprosiła liderów regionu, by raz jeszcze pokazać, że Bałtyk, Adriatyk i Morze Czarne mogą i muszą mówić wspólnym głosem.

To nie było zwykłe spotkanie dyplomatyczne. To okazja, by w praktyce pokazać, jak regionalna współpraca w energetyce i paliwach zmienia pozycję naszych państw nie tylko na mapie, lecz przede wszystkim w Brukseli.

Ponad dekadę temu prezydent Andrzej Duda wraz z chorwackimi partnerami rzucił pomysł, który wielu w Europie Zachodniej lekceważyło jako „projekt peryferyjny". Dziś nikt już nie śmie się śmiać. Trójmorze to nie deklaracje – to konkretne inwestycje: terminale LNG w Polsce i na Krku, interkonektory gazowe, projekty dywersyfikacji dostaw ropy i gazu, a także coraz śmielsze kroki w kierunku infrastruktury dual use.

Dzięki temu region, który kiedyś był skazany na rosyjski dyktat energetyczny, dziś buduje prawdziwą suwerenność. Terminale w Świnoujściu i na wyspie Krk, gazociągi, integracja sieci to nie tylko rury i zbiorniki. To narzędzia, które dają nam realną siłę przetargową w Unii Europejskiej.



Trójmorze to nie deklaracje – to konkretne inwestycje, m.in. terminale LNG w Polsce i na Krku, interkonektory gazowe, projekty dywersyfikacji dostaw ropy i gazu

Prezydent Karol Nawrocki konsekwentnie kontynuuje tę wizję. Jego zdecydowane wsparcie dla Trójmorza jako platformy wzmacniającej zarówno bezpieczeństwo energetyczne, jak i pozycję całego regionu w partnerstwie transatlantyckim pokazuje, że Polska nie tylko pamięta o korzeniach inicjatywy, lecz także nadaje jej nowe, praktyczne znaczenie. Według zapowiedzi – a piszę ten tekst przed chorwackim szczytem – prezydent Nawrocki ma wezwać do natychmiastowego zawieszenia mechanizmu ETS oraz jego gruntownej reformy. Postulat, który od lat jest konsekwentnie podnoszony przez polskich przedstawicieli w Parlamencie Europejskim.

W czasach, gdy Bruksela próbuje narzucać jednolity model transformacji, pokazujemy, że można – i trzeba – budować odporność od dołu, a nie od góry. To właśnie dzięki takim postawom państwa Trójmorza stają się coraz trudniejsze do zignorowania w unijnych debatach o polityce energetycznej i paliwowej. Bo o to przecież chodzi. Nie o konfrontację z Unią, lecz o wzmocnienie jej wschodniej i środkowej części. Gdy w Brukseli debatuje się o pakietach klimatycznych, cenach emisji i „zielonych" regulacjach, region Trójmorza kładzie na stole konkret: dywersyfikację źródeł energii, realne bezpieczeństwo dostaw i projekty, które nie tylko obniżają zależność od niestabilnych kierunków, lecz także gwarantują przemysłowi tanią i dostępną energię. To my, kraje między morzami, jesteśmy dziś gwarantem, że Europa nie zostanie zaskoczona kolejnym kryzysem – jak wtedy, gdy Rosja szantażowała gazem, a Bruksela odpowiadała tylko kolejnymi pakietami sankcji i apelami o oszczędzanie.

Niestety nie wszyscy w Europie to rozumieją. Ursula von der Leyen i jej Komisja wciąż próbują narzucać model, w którym ideologia liczy się bardziej niż fizyka i ekonomia. Najpierw zaklinanie rzeczywistości w sprawie atomu, potem rady typu „zostań w domu i nie jeźdź", bo „najtańsza energia to ta, której nie zużywasz". To nie jest strategia bezpieczeństwa energetycznego – to recepta na deindustrializację. Gdy tymczasem państwa Trójmorza budują realne połączenia, inwestują w LNG, wodór i infrastrukturę, która służy zarówno gospodarce, jak i obronności.

A w Warszawie? Premier Tusk i jego ekipa wciąż patrzą na Trójmorze z dystansem godnym starych zachodnioeuropejskich nawyków. Zamiast wspierać regionalne inicjatywy, które realnie wzmacniają polską i środkowoeuropejską pozycję w UE, wolą grać w brukselskiej lidze. Efekt? Słabszy głos Polski i całego regionu tam, gdzie naprawdę decyduje się o przyszłości energetyki. Bo gdy w Dubrowniku toczą się rozmowy o konkretnych projektach – od ropociągów po interkonektory – to nie Bruksela, tylko my wypracowujemy gotowe rozwiązania. Szczyt w Chorwacji to nie tylko okazja do zdjęć i deklaracji. To moment, w którym region jasno mówi: jesteśmy gotowi wziąć większą odpowiedzialność za własną – i europejską – przyszłość energetyczną.

Dzięki wizji prezydenta Dudy i konsekwencji prezydenta Nawrockiego Trójmorze nie jest już projektem na papierze. Jest faktem gospodarczym i politycznym, który Bruksela musi w końcu traktować poważnie. Bo gdy my współpracujemy w energetyce i paliwach, cała Unia staje się silniejsza. Tylko że silniejsza na naszych warunkach, nie na warunkach tych, którzy wciąż myślą, że Europa kończy się na Odrze.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 9016f0c18b



Podatek od apartamentów

W kwietniowy wieczór burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani stanął na ulicy na tle wieżowców tzw. Billionaires Row, gdzie apartamenty kosztują fortunę. „Jako kandydat zapowiedziałem, że będę opodatkowywał bogatych. I zrobię to" – powiedział, wskazując na jeden z budynków: „Ten penthouse kupił prezes funduszu hedgingowego Ken Griffin za 238 mln dol.".

Mamdani zamierza nałożyć dodatkową roczną opłatę na właścicieli nieruchomości o wartości powyżej 5 mln dol., którzy utrzymują je jako drugie miejsce zamieszkania. Propozycja burmistrza dotyczyłaby nieco ponad 13 tys. apartamentów i ma wygenerować 500 mln dol. dochodów rocznie, co mogłoby pomóc w załataniu wynoszącej ponad 5 mld dol. dziury w miejskim budżecie. W końcu Mamdani, od stycznia włodarz miasta, obiecał nowojorczykom bezpłatny transport publiczny i opiekę nad dziećmi oraz obniżenie czynszów. Zwykli mieszkańcy Nowego Jorku – podobnie jak wielu innych miast USA – zmagają się z rosnącymi kosztami życia. Aby temu zaradzić, ratusz zaproponował aż 23 mld dol. w nowych podatkach. Dotąd plany te hamowała gubernator Kathy Hochul, ale najwyraźniej uznała, że należy wykorzystać rosnące nastroje antytrumpowe, a nowy podatek będzie lepszym rozwiązaniem dla miasta niż ciągłe zastrzyki z budżetu stanowego, który także nie jest z gumy. Poparła więc nową daninę.

Te 500 mln dol. zapewne nie wystarczy, aby sfinansować obietnice Mamdaniego, ale reakcja na jego wystąpienie była w większości entuzjastyczna. Krytycy obawiają się za to ucieczki bogatych mieszkańców na Florydę i do innych, bardziej przyjaznych podatkowo stanów. Donald Trump też ostro zaatakował Mamdaniego i ostrzegł, że burmistrz „niszczy Nowy Jork". „Wszyscy stamtąd uciekną" – grzmiał prezydent.

Eksperci spodziewają się przede wszystkim spadku wartości nieruchomości. Jak pisze niemiecki dziennik „Die Welt", Floryda, a w szczególności aglomeracja Miami, należy obecnie do regionów przeżywających największy boom mieszkaniowy w USA, ustępując jedynie Austin w Teksasie. Buduje się tam bez końca, a liczba mieszkańców i tym samym wpływy z podatków gwałtownie rosną. Tymczasem stan Nowy Jork ma najwyższe stawki podatkowe w kraju.

Zdaniem Mamdaniego nowy podatek nikogo nie skrzywdzi, bo będzie dotyczył tylko tych, których stać na jego zapłacenie. „Życie musi stać się tańsze" – podkreślił. Tak samo uważa wielu Amerykanów, z których – według badania Pew Research Centre – 78 proc. twierdzi, iż „wszystko zdrożało". A Trump nie spełnił obietnicy zduszenia inflacji.

Aleksandra Rybińska



Wyborcze trzęsienie ziemi

Rumen Radew, były prezydent, który zrezygnował z funkcji, aby wziąć udział w wyborach parlamentarnych, i jego Postępowa Bułgaria odnieśli bezprecedensowe zwycięstwo. Formacja, którą powołał do życia trzy miesiące temu, zdobyła 44,6 proc. głosów i 131 mandatów w 240-osobowym parlamencie. Ósme w ciągu ostatnich pięciu lat wybory przyniosły rozstrzygnięcie o skali nienotowanej od 1997 r. Zdecydowanym przegranym jest formacja GERB byłego premiera Bojko Borisowa, ulubieńca kanclerz Merkel, który w Bułgarii powszechnie uznawany jest za polityka skorumpowanego. Mówiło się o nim jako o „ojcu chrzestnym" układu oligarchicznego kierującego gospodarką i polityką. Jego partia, wchodząca w skład chadeckiej „rodziny" EPP, zajęła drugie miejsce w wyborach, ale zdobywając 13,4 proc. głosów, osiągnęła najgorszy wynik w swojej 20-letniej historii.

Radew uchodzi za polityka prorosyjskiego. Na ostatnim wiecu wyborczym wyświetlił duże zdjęcie, na którym wita się z Putinem i stwierdził, że „Bułgaria jest zmęczona" pomaganiem Ukrainie. Jeszcze jako prezydent kilkakrotnie mówił o „rosyjskim Krymie" i o zacieśnianiu relacji z Moskwą. Jednak jego wyborczy triumf był związany przede wszystkim ze zmęczeniem obywateli korupcją. Formacja Radewa opowiadała się też przeciwko przystąpieniu do strefy euro, które wywołało – jak argumentował były prezydent – drożyznę uderzającą w zwykłych Bułgarów.

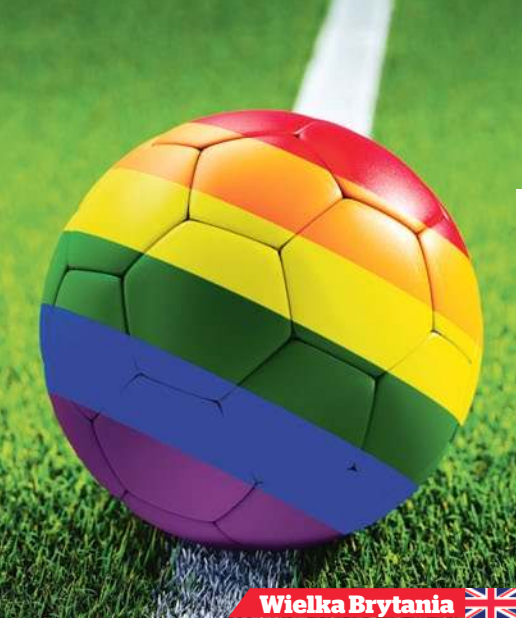
Zdaniem komentatorów Radew nie będzie raczej drugim Orbánem. Wynika to ze słabości gospodarki, silnie uzależnionej od dotacji z Brukseli. Skoncentruje się on na kwestiach wewnętrznych i na walce z oligarchiczno-korupcyjnym układem, choć w kwestiach polityki rosyjskiej na pewno nie będzie zwolennikiem twardych działań.

Bułgaria jest jednym z głównych dostawców amunicji dla Ukrainy, a przez jej wody terytorialne biegnie korytarz żeglugowy, który umożliwia eksport artykułów rolnych z Odessy. Polityka Radewa wobec tych kwestii, a także przyszłość rafinerii rosyjskiego Łukoilu w Burgas pokaże, w którą stronę podąży teraz Bułgaria. Pierwszym testem będzie głosowanie w sprawie kolejnego unijnego pakietu antyrosyjskich sankcji.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock x3, Wikipedia

eprasa.pl 9016f0c18b



Wielka Brytania

Tęczowa futbolówka

Premier League, najwyższa klasa rozgrywkowa w angielskim futbolu, została pozwana do sądu przez kibickę Newcastle United Lindsay Smith, która domaga się nałożenia na tę organizację surowych sankcji. Dlaczego? Zgodnie z przepisami FIFA piłkarska liga nie może eksponować na stadionach treści politycznych, zachęcających np. do głosowania na konkretną partię czy popierania określonej ideologii. W tym roku Premier League zamierza jednak wesprzeć kampanię LGBT+ Pride, prezentując podczas meczów hasła i symbole środowisk spod znaku sześciobarwnej tęczy.

Zdaniem Lindsey Smith jest to złamanie obowiązujących przepisów. Premier League broni się, że jej akcja nie jest promowaniem żadnej ideologii, lecz walką z dyskryminacją, jak np. antyrasistowska kampania „No Room for Racism". Fanka Newcastle nie zgadza się jednak z tym, powołując się na niedawny wyrok Sądu Najwyższego Anglii, który dotyczył podobnej kontrowersji. Chodziło o zaangażowanie w 2004 r. lokalnej policji w regionie Northumbria w obchody Gay Pride. Sędziowie orzekli wówczas, że policjanci uczestniczący w tym wydarzeniu w mundurach naruszyli obowiązek neutralności, ponieważ było to wspieraniem ideologii gender.

Premier League nie zamierza jednak zbaczać z wytyczonej ścieżki. Jej władze poinformowały, że od lutego wystartowały z nowymi programami wsparcia dla środowisk LGBT+. Zawodnicy drużyn młodzieżowych we wszystkich kategoriach wiekowych (od U9 do U21) zostaną skierowani na odpowiednie szkolenia. Wszystkie kluby są też zobowiązane do zapewnienia obowiązkowych szkoleń z zakresu równości, różnorodności i integracji dla personelu oraz zawodników.

To wszystko dopinguje jednak Lindsey Smith do walki. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że jest ona zdeklarowaną feministką i lesbijką. Sprzeciwia się jednak ideologii transpłciowości, ponieważ uważa, że dyskryminuje ona kobiety, np. w sporcie, gdy w dyscyplinach żeńskich startują biologiczni mężczyźni. Zobaczymy, czy wygra w sądzie.

Grzegorz Górny



Burkina Faso

Demokracja nie dla Afryki

„Demokracja zabija, a mieszkańcy Burkina Faso muszą o niej zapomnieć" – powiedział kpt. Ibrahim Traoré, 38-letni przywódca junty wojskowej, od trzech lat sprawującej rządy w tym zachodnioafrykańskim kraju.

Traoré, który przejął władzę w zamachu stanu, uważa, że większość Afrykanów nie chce systemu demokratycznego, a Burkina Faso ma własne, alternatywne podejście – swego rodzaju „suwerenną" koncepcję rządów. Przywódca junty, który lubi przedstawiać się jako „rewolucjonista" walczący z zachodnim imperializmem, twierdzi, że chce budowy systemu bazującego na tradycyjnych strukturach klanowych. Roztacza również wizję samowystarczalności gospodarczej, którą chciałby osiągnąć poprzez „wytężoną pracę" swoich poddanych. Jak stwierdził, „ośmiogodzinny dzień pracy nie wystarczy, aby dogonić bogatsze kraje".

Jego pomysły, gęsto okraszone krytyką Zachodu, odbiły się dość głośnym echem w Afryce Zachodniej. Podobną drogą idą sąsiednie państwa: Mali i Niger, gdzie tak jak w Burkina Faso doszło do siłowego przejęcia władzy przez wojsko. Każdy z tych trzech krajów zerwał kontakty z państwami zachodnimi na rzecz bliskiej współpracy z Rosją, także militarnej. Moskwa wysłała tam swoich doradców wojskowych, którzy biorą aktywny udział w wojnie przeciwko dżihadystom próbującym utworzyć w Afryce Zachodniej islamski kalifat.

Wojna z dżihadystami stanowi dla junty doskonały pretekst do rozprawy z przeciwnikami. Pod pozorem walki z zagrożeniem islamistycznym brutalnym represjom poddano opozycję i media. Według szacunków reżim od chwili przejęcia władzy w 2023 r. uśmiercił 1,2 tys. osób.

Traoré początkowo zobowiązał się, że przywróci demokrację do lipca 2024 r., ale dwa miesiące przed tym terminem junta ogłosiła przedłużenie swoich rządów o kolejne pięć lat. W styczniu br. władze ogłosiły zakaz działalności wszystkich partii politycznych w ramach planu „odbudowy państwa", niedawno zaś Traoré rozwiał wszelkie wątpliwości. „Ludzie muszą zapomnieć o kwestii demokracji. Demokracja nie jest dla nas" – stwierdził w wywiadzie wyemitowanym na początku kwietnia. Jego zdaniem partie polityczne tworzą niebezpieczne podziały i są niezgodne z porządkiem rewolucyjnym.

Dyktatury w Afryce nie są niczym nowym, jednak do niedawna tamtejsze reżimy w obawie przed krytyką próbowały przynajmniej zachowywać pozory demokracji. Ostentacyjne odrzucenie tej formy rządów przez junty wojskowe w Afryce Zachodniej i tworzenie własnych „suwerennych" koncepcji władzy świadczą o schyłku wpływów Zachodu na Czarnym Kontynencie.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl 9016f0c18b

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Chora służba zdrowia!



Jan Pietrzak

Jesteśmy zasypywani informacjami o upadku szpitali i całych sektorów tzw. służby zdrowia. Po co Polakom porodówki, mogą rodzić w Berlinie! Po co tomografy? Muzealny rentgen wystarcza! Na co onkologiczne procedury przedłużające życie, którego nie ma po co przedłużać! Liberalno-postępowe autorytety preferują aborcję z eutanazją, które spowodują redukcję kosztów i deficytów!

„Wszystko się wali" – ocenił sytuację poseł Patryk Jaki, mając na myśli wiele dziedzin naszego życia. Walą się górnictwo z rolnictwem, edukacja z kulturą, leśnictwo z lotnictwem... Tylko złodziejstwo z ku...stwem trzymają się mocno. To przypomina odnotowaną w historii wypowiedź komendanta Józefa Piłsudskiego u progu II RP. Spytał go mianowicie hr. Skrzyński, późniejszy premier, jaki jest program jego partii. „Bić ku...wy i złodziei, mości hrabio!". Rzeczpospolitą mamy już trzecią, a ku...wy i złodzieje dominują jak zawsze, mości państwo! To jest dotkliwa diagnoza. Trzeba nam nowego Piłsudskiego, proszę szanownego elektoratu! Człowieka czynu, a nie gadulstwa! I odwagi trzeba, a nie kunktatorstwa.

Wracając do opieki zdrowotnej – znaczącym „czynem" byłoby śledztwo wobec osób, które w kampanii wyborczej natrętnie, bezczelnie oszukiwały wyborców o swoich planach i zamiarach. Był to festiwal załganych obietnic. Łajdaki nie krępowały się względami moralnymi ani potoczną przyzwoitością. A ludzie chorzy mają prawo do uczciwej diagnozy. Otóż prawo chorych do akceptacji leczenia zostało drastycznie złamane. Z ust nowej większości słyszeli piramidalne kłamstwa. Ci, którzy uwierzyli, teraz przyjemniej umierają. Czy ta sytuacja nie nadaje się do sądu? Według prawa Bożego – jak najbardziej. Według reżimu okupacyjnego – Polacy nie mają tu żadnych praw, w tym prawa do leczenia. Jak ująłem to w pewnym śpiewanym reportażu: „Na szpitalnych korytarzach pojękuje bieda, karaluchy głodne łażą, gniją pety w zlewach". W sądach natomiast ciągnie się po korytarzach odór zjełczałego żurku!

Prawo i medycyna to bardzo powiązane ze sobą dziedziny – obie ferują wyroki w sprawie czyjegoś życia. W skrajnym uproszczeniu – funkcjonują jak agent 007, mają licencję na zabijanie. Oto przypadek z tego kręgu. Posłanka Katarzyna Sójka alarmuje o niszczeniu ośrodka dla mocno niepełnosprawnych chłopców, prowadzonego przez siostry zakonne w Broniszewicach. Jest to „bezlitosne odbieranie ostatniej deski ratunku" – pisze posłanka. Okropne jest państwo, które krzywdzi najsłabszych, najbardziej bezradnych ludzi. Mieliśmy takich zaraźliwych sąsiadów. Oni udają, że tego nie pamiętają. Pełni entuzjazmu budują uśmiechniętą Europę imigrantów, wiatraków, ETS-ów, merkoszczurów... Są przyczyną naszych chorób. Ostatnio zwrócili uwagę na dochodowy przemysł zbrojeniowy. Inwestują za pomocą SAFE. Znowu będzie jakieś nieszczęście, bo każda armata musi kiedyś wystrzelić. Zwłaszcza Gruba Berta.

Wulgarna lekcja dla młodych



Samuel Pereira

Spotkanie marszałka Sejmu ze studentami w Poznaniu chyba nie do końca tak miało zostać zapamiętane. Włodzimierz Czarzasty przyjechał z notesikiem w dłoni, zaglądał do notatek i opowiadał, jaki jest dzielny i twardy. Np. w sprawie aborcji lider Lewicy wyjaśniał, że może nie udało się zmienić prawa tak, by bez problemu do 12. tygodnia ciąży „usuwać" dzieci z łona matki, ale trzeba o tym mówić i to już jest ich wielkie zwycięstwo. Prężył muskuły, chwaląc się, że przesuwa środek ciężkości w polskiej polityce na pola skrajne (to już moja ocena), ale wystarczyło jedno pytanie, by całkowicie stracił emocje.

Piotr Białas z poznańskiego PiS zapytał marszałka o reportaż wPolsce24 o czerwonym źródle jego majątku i potężnym, zbudowanym na uwłaszczeniu imperium. Temat ewidentnie niewygodny, bo jedynym tłumaczeniem Czarzastego było twierdzenie, że on ma tyle lat, składa oświadczenia majątkowe, więc problemu nie ma. Mocniej przebiło się jednak to, co poprzedziło tę narrację, czyli wulgarne obrażanie dziennikarzy. Czyli dołożył do tego, co wrzucił do pieca już kilkakrotnie. „I ja mam kur...a z nimi rozmawiać?" – pytał retorycznie marszałek, a później przekonywał, że on ma „czyste gacie". Taki „marszałkowski" sznyt, godny czerwonego aparatczyka.

Jaka nauka z tej sytuacji płynie dla zgromadzonej na sali młodzieży? Kilka. Po pierwsze, mogli zobaczyć, jak nie należy zachowywać się na uczelni, ale przede wszystkim mogli przenieść się w czasie i poczuć, jakby byli na jakimś PZPR-owskim spędzie. Wyjątkowo toksyczny wehikuł czasu. Ta komunistyczna słoma z „europejskich" butów w przypadku marszałka Czarzastego wychodzi regularnie i na tyle często, że nie widać już samych butów. A to dobry znak, bo to, kim jest Czarzasty, wiedzieli już dawno ci, którzy pamiętają aferę Rywina, a dziś mogą sobie to uzmysłowić młodzi. Dla nich marszałek z wulgarnymi tekstami staje się dziś zwyczajnym „krindżowym boomerem". A to dobry znak.

eprasa.pl 9016f0c18b

Potrzeba odrzucenia klimatyzmu



Marta Kaczyńska-Zielińska

Wojna w Iranie ma poważny wpływ na gospodarkę Chin. Kraj ten jest jednym z największych importerów ropy naftowej na świecie i w dużym stopniu zależy od dostaw surowców z Bliskiego Wschodu. Konflikt prowadzi przede wszystkim do zakłóceń w dostawach energii, zwłaszcza jeśli dochodzi do ograniczenia transportu przez cieśninę Ormuz. W efekcie ceny surowców energetycznych rosną, co zwiększa koszty produkcji i transportu w Chinach oraz wywołuje presję inflacyjną w całej gospodarce. Wojna powoduje destabilizację globalnych łańcuchów dostaw, które są kluczowe dla chińskiego modelu gospodarczego bazującego na eksporcie. Problemy logistyczne, wyższe koszty transportu i niepewność na rynkach międzynarodowych mogą ograniczać handel zagraniczny oraz spowalniać wzrost gospodarczy Chin. Jednocześnie wojna może przynieść Chinom pewne korzyści strategiczne. W sytuacji osłabienia innych państw i napięć międzynarodowych Pekin może zwiększać swoje wpływy polityczne i gospodarcze, wzmacniać swoją pozycję na arenie międzynarodowej, a także promować rozliczenia handlowe w juanach zamiast w dolarach – co już się dzieje w kontaktach z niektórymi krajami.

Mimo strat Iran na razie zachowuje strategiczną przewagę dzięki zdolności do wywierania asymetrycznej presji na globalne rynki energii.

Wojna na Bliskim Wschodzie pokazała, jak bardzo Europa jest narażona na problemy z bezpieczeństwem energetycznym i niestabilnością gospodarczą. Stary Kontynent potrzebuje stabilnych źródeł energii. Państwa europejskie posiadają zdolności logistyczne do odbierania dostaw LNG i ropy naftowej ze Stanów Zjednoczonych, jednak ich efektywność zależy od infrastruktury oraz jej rozmieszczenia.

W przypadku gazu skroplonego (LNG) w ostatnich latach wiele państw europejskich znacząco rozbudowało terminale odbiorcze. Kraje takie jak Niemcy, Polska, Francja czy Hiszpania dysponują terminalami LNG, które umożliwiają import dużych ilości gazu drogą morską. Polska, posiadając gazoport w Świnoujściu, którego koncepcję budowy przedstawił 22 maja 2006 r. prezydent Lech Kaczyński, oraz terminal w Gdańsku mogłaby się stać gazowym hubem dla państw w naszym regionie nieposiadających dostępu do morza lub odpowiedniej infrastruktury. Plany budowy pływającego portu gazowego w Gdańsku powstały już w 2006 r., ale realizacja tej inwestycji od lat napotyka na trudności, inicjowane głównie przez organizacje podające się za ekologiczne. Na początku br. wskutek skargi Greenpeace, kwestionującej pozwolenie na budowę, Naczelny Sąd Administracyjny skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia.

Europa ma dobrze rozwiniętą sieć portów i rafinerii, które zapewne bez większych problemów mogą przyjmować dostawy tankowcami z USA. Kluczowe ośrodki, takie jak porty w Rotterdamie czy Gdańsku, są przystosowane do obsługi dużych ilości surowca. USA mogą w istotnym stopniu wesprzeć Europę i szybko zwiększyć eksport w ramach dostępnych mocy, ale nie są w stanie w krótkim czasie całkowicie zastąpić dostaw z Bliskiego Wschodu. Ich rola byłaby stabilizująca, ale niewystarczająca do zlikwidowania globalnego szoku energetycznego.

Kryzys uwypuklił zależność świata od odporności Zatoki Perskiej, zwiększając strategiczną rolę takich krajów jak ZEA, Arabia Saudyjska i Katar jako stabilizatorów globalnych dostaw energii. Jeśli konflikt uda się opanować, siła finansowa, infrastruktura regionu mogą pozwolić mu nie tylko przetrwać obecne naciski, lecz także stać się ważniejszym niż do tej pory elementem globalnego systemu gospodarczego. Pytanie, czy region ten będzie się rozliczać w dolarach, czy jednak w juanach.

Wobec globalnej niepewności tym bardziej wyraźnie widać fatalne skutki forsowanej przez Unię Europejską zielonej polityki z wyznaczonym na 2050 r. celem neutralności klimatycznej. Chcąc zmniejszyć zależność energetyczną od czynników zewnętrznych, Europa powinna nie tylko stawiać na dywersyfikację źródeł LNG i ropy, lecz także powrócić do wydobycia węgla i rozwijać energetykę jądrową.



Z głębokim bólem
przyjmujemy wiadomość o śmierci

śp.

MAMY

Pana Premiera

JACKA SASINA

W tych trudnych chwilach składamy
wyrazy głębokiego współczucia, łącząc się w smutku
i zadumie z Panem Premierem
oraz całą Rodziną i Bliskimi Zmarłej.

Patryk Jaki, Adam Bielan
Z posłami polskiej delegacji Grupy EKR

23/KM/2026

eprasa.pl 9016f0c18b



Walizka Michała Koźlika

dziennikarza Radia Warszawa, lektora, trenera autoprezentacji medialnej

Moja życiowa podróż od początku jest drogą z mikrofonem. Życiowa walizka się zmienia, ale on od zawsze w niej był: najpierw zabawkowy, potem sceniczny, wreszcie radiowy, telewizyjny, studyjny i lektorski. Kiedy miałem 2,5 roku, mówiłem tak dużo, że mama zaczęła mnie nagrywać na magnetofon. Do dziś mam te kasety. Później pojawił się szkolny radiowęzeł, miejskie radio internetowe i wreszcie prawdziwe radio na falach FM. Z czasem przyszedł czas na pracę w ogólnopolskich mediach. Mikrofon i kamera stały się dla mnie narzędziami opowiadania o świecie w serwisach informacyjnych, czym zajmuję się od blisko 20 lat. Dziś jestem szefem informacji Radia Warszawa. Nadal regularnie wchodzę na antenę, ale często także pakuję walizkę, by szkolić innych w różnych miejscach Polski. Prowadzę treningi świadomego zarządzania mową i przekazem w mediach, zarządzaniu, edukacji oraz po prostu w życiu. Uczę, jak mówić i prezentować się pewnie na scenie, przed kamerą i mikrofonem. W mojej walizce jest wszystko, czego potrzebuję do takich podróży: mobilne studio nagraniowe, materiały szkoleniowe i kilka pamiątek, które przypominają mi, dlaczego warto stale się rozwijać, by władać SŁOWEM LEPIEJ. Tak też nazywają się moje konta na Facebooku, Instagramie i TikToku.



MIKROFONY



Mikrofon dynamiczny, nieśmiertelna legenda stworzona dla Michaela Jacksona. Do dziś niepokonany w radiu i podcaście. Reporterski, krawatowy do nagrywania rolek i wreszcie sceniczny do prowadzenia szkoleń z wystąpień publicznych. To moje podstawowe narzędzia w pracy: w radiu, w studiu lektorskim i na sali szkoleniowej.

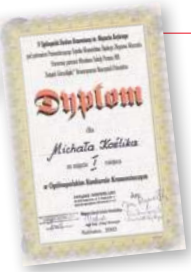


SŁUCHAWKI STUDYJNE

W słuchawkach spędziłem tysiące godzin – od radia, przez nagrania lektorskie, po kursy i szkolenia. To one uczą mnie pokory: słychać w nich każdy błąd, a także każdy postęp, kiedy ktoś zaczyna brzmieć spokojniej, pewniej i bardziej profesjonalnie.

eprasa.pl 9016f0c18b





DYPLOM

Jako nastolatek trzy razy z rzędu wygrałem Ogólnopolski Konkurs Krasomówczy w Katowicach, później przez lata byłem jego jurorem, dziś pomagam młodzieży oswajać się z mikrofonem, a także szerzej – z mediami. Uczę, jak korzystać z nich z głową oraz bronić się przed fake newsami.



LAPTOP

Mam tu prezentacje, nagrania, ćwiczenia oddechowe i dykcyjne – dzięki temu łatwo i szybo pakuję to wszystko do walizki, by szkolić praktycznie w każdym miejscu: od sali konferencyjnej, przez studio nagraniowe, po małą szkolną aulę.



LUSTRZANKA

Media to nie tylko głos, lecz także wideo, dlatego uczę też pracy przed obiektywem. Pokazuję, co zrobić z rękami, jak ustawić ciało i gdzie patrzeć, żeby widz został z nami dłużej niż przez pierwsze sekundy.



LEGITYMACJE DZIENNIKARSKIE

To moje pamiątki po miejscach, w których zdobywałem doświadczenie i pogłębiałem swoją miłość do „sitka". Dziś pokazuję je z dumą na warsztatach dziennikarskich w szkołach. To motywacja dla przyszłych dziennikarzy, a także sygnał: szanuj i doceniaj swoją drogę rozwoju.

LAMPKA ON AIR!



Na moich szkoleniach dodaję element kontrolowanej ekspozycji na stres emisyjny. Czerwona lampka ON AIR („trwa emisja") działa tu idealnie. Pojawia się szybszy puls, tremowy ścisk krtani. Ale od razu to rozbrajamy i uczymy radzić sobie ze stresem.



„PIERWSZE ZDJĘCIE"

Na tym zdjęciu mam 14 lat. Siedzę przy mikrofonie w radiowym studiu – miejscu, w którym zaczęła się moja zawodowa podróż.



FLIPCHART

Potrzebuję go, aby wyjaśniać, tłumaczyć i robić burzę mózgów. To zachwycające, ile pomysłów drzemie w zespołach, które na co dzień posługują się głosem i wizerunkiem.



ULUBIONY KUBEK

Bez kawy nie pakuję walizki. Termiczny kubek na drogę, a także tuż przed pracą. To mój mały rytuał przed nagraniem czy szkoleniem. Chwila na koncentrację.



PIERWSZE NAGRANIA

Jako dwulatek mówiłem tak dużo, że mama zaczęła mnie nagrywać na kasety. Na domowym magnetofonie prowadziłem swoje pierwsze „listy przebojów" i audycje. Dziś na szkoleniach często mówię, że każdy ma niepowtarzalną historię do opowiedzenia, trzeba się tylko nauczyć ubierać ją w słowa.



KOSZULE I T-SHIRTY

Elastyczność odzieżowa to w tym zawodzie podstawa. Inaczej ubieram się do radia, gdy nikt nie widzi, inaczej przed kamerę, inaczej na szkolenie dla białych kołnierzyków.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Michała Kozlika, Shutterstock, materiały marketingowe Shure, Contigo, Zoom, Sennheiser, DJI

eprasa.pl 9016f0c18b

Zmarnowane miliardy



To miała być cywilizacyjna trampolina. Prawie 60 mld euro – największy plan modernizacyjny od dekad. Kolej, energetyka, cyfryzacja, zdrowie. Polska mogła przyspieszyć, nadrobić dystans, przeskoczyć kilka etapów rozwoju. Zamiast tego mamy studium politycznego marnotrawstwa – najpierw polityczna blokada, potem tuskowy chaos.

Bo prawda jest brutalna: KPO najpierw stało się narzędziem nacisku politycznego, a potem ofiarą nieudolności. Przez ponad dwa lata pieniądze były zamrożone pod pretekstem „kamieni milowych". W praktyce była to twarda gra o zmianę władzy. I kiedy ta zmiana nastąpiła, środki nagle się odblokowały. Bez rewolucji w sądownictwie, bez cudów legislacyjnych. Wystarczyła zmiana premiera. Taki był główny kamień milowy.

Ale jak wynika z analizy Biura Analiz Parlamentu Europejskiego, prawdziwy problem zaczął się później.

Rząd Tuska odziedziczył opóźniony (dzięki swoim działaniom) plan – to fakt. Tyle że zamiast natychmiastowego przyspieszenia dostaliśmy serię rewizji. Cztery zmiany KPO w ciągu kilkunastu miesięcy, kolejne wnioski, korekty, przesunięcia. Plan, który miał być strategiczny, stał się zarządzany kryzysowo. Było więc na jachty dla krewnych i znajomych królika. Nie ma na naprawdę strategiczne i rozwojowe projekty.

Efekt? Polska wykorzystała ok. 49 proc. środków, podczas gdy średnia unijna to niemal 70 proc. Nie zrealizowano nawet połowy kamieni milowych, z którymi Tusk podobno miał nie mieć problemu. To nie są liczby złośliwej publicystyki – to twarde dane z oficjalnego biura analiz. A zegar tyka: sierpień 2026 r. nieubłaganie się zbliża, a to termin, kiedy należy zakończyć realizację naszego KPO.

Im bliżej końca, tym większe ryzyko, że zamiast wielkich projektów będziemy mieć szybkie wydawanie pieniędzy „na cokolwiek". Bo wielkich inwestycji nie da się zrobić na ostatnią chwilę. One wymagają czasu, a ten zmarnowano.

Zamiast modernizacyjnego skoku widzimy więc nerwowe zarządzanie, ograniczanie projektów „z powodu braku popytu", cięcia i przesunięcia. A tam, gdzie miała być transformacja, pojawiło się przejadanie środków i dosypywanie do worka dziury budżetowej, który zaczyna nie mieć dna. Zresztą – tu kolejny sukces tego rządu – Polska jest druga pod względem wysokości deficytu w UE. Aż 7,3 proc. PKB!

To więc podwójna strata. Najpierw Polska była politycznie blokowana. Potem, gdy środki wreszcie ruszyły, zabrakło odpowiedzialnego rządu, by je rozsądnie wykorzystać. Ręce opadają, bo w tej kwestii nie da się już nic zrobić. Zawalili po całości.

Arkadiusz Mularczyk

Oscar, dziewczynka i perły

***Maciej Szczerbowski*, reżyser, współtwórca (z Chrisem Lavisem) nagrodzonego Oscarem filmu „Dziewczynka, która płakała perłami"**



O mieście, w którym urodził się i wychował: Po tym, jak przenieśliśmy się z rodziną do Kanady, minęło wiele lat, zanim mogłem tu wrócić, ale miałem szczęście, że wielokrotnie zapraszano mnie do Poznania, m.in. na Festiwal ANIMATOR.

O pierwszych filmach: Gdy miałem siedem lat, tata zabrał mnie do kina Muza na „Gwiezdne wojny". Pamiętam też wspólny seans „Szczęk". Gdyby nie te doświadczenia, nie robiłbym dziś tego, co robię.



O technice, w której zrealizowano film: Animacja poklatkowa to mozolna praca [17-minutowa „Dziewczynka..." powstawała przez pięć lat – przyp. red.]. Lubię na nią patrzeć, jak na dzieło magika, który ożywia martwe przedmioty. Gdyby to było łatwe, każdy mógłby być czarodziejem, ale czary nie miałaby wtedy wartości.

O statuetce Amerykańskiej Akademii Filmowej: To hołd dla wszystkich artystów, którzy dzielili z nami ten trud. Może teraz w końcu postawią nam darmowe piwo w lokalnym pubie.

Oprac. ***JGZ***

Film „Dziewczynka, która płakała perłami" można oglądać na bezpłatnej platformie streamingowej arte.tv.

eprasa.pl 9016f0c18b

TRENDY I OWĘDY

Iskrzy w PiS

Obecny rząd to zlepek wyjątkowo miernych person nawet jak na standardy III RP. Po brawurowo wygranych przez prawicę wyborach prezydenckich i osobistym zblamowaniu się premiera Tuska podczas wywiadu w Polsacie wydawało się, że PiS będzie energicznie dążyło do obalenia za wszelką cenę tej wyjątkowo szkodliwej ekipy na świeczniku. Niestety ważniejsze okazały się walki frakcyjne o wpływy w opozycyjnym ugrupowaniu. Do obiegu publicznego trafiły całkiem nowe pojęcia: maślarze i harcerze. To określenia rywalizujących ze sobą partyjnych pododdziałów. Oliwy do ognia dolało desygnowanie na premiera *in spe* Przemysława Czarnka. Maślarze górą. Tego nie zdzierżył szef harcerzy Mateusz Morawiecki i stworzył inicjatywę Rozwój Plus. Rozłam wisiał na włosku.



Ryszard Makowski

Doszło jednak do wieczornego spotkania prezesa z byłym premierem w znanym miejscu kolacyjnym. Zwieńczono je komunikatem: „Są pomysły, jest porozumienie i wspólny kierunek. A że czasem iskrzy? Kto się lubi, ten się czubi". Następnego dnia prezes oświadczył, że teraz PiS ma dwa płuca. To pocieszające, natomiast jest kwestią sporną, na ile po tych perturbacjach mocno stoi na nogach. Sondaże nie są łaskawe.

Czy słynny żelazny elektorat przetrwa te partyjne igrce bez uszczerbku? Dla prawicy ratunkiem jest utworzenie partii pod auspicjami pałacu prezydenckiego. Jest tam jeden minister, który zdobył popularność i zaufanie, występując na mównicy sejmowej. Gdyby zechciał stanąć na czele nowego projektu nieobciążonego przeszłością, to sukces wyborczy murowany. Jest jeszcze czas. A PiS? Będzie kuźnią iskrzących pomysłów.

Fot. Oscar Aguila/The Academy

ZDJĘCIE TYGODNIA Wiosna w pełni. Bociany złożyły już jaja



Fot. PAP

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

FOT.: JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR, @ADAMBIELANIX.COM, MATERIAŁY PRASOWE POLICJI

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	366 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 9016f0c18b



Tuska gra na przedterminowe wybory

W świecie polityki krążą pogłoski, że jeszcze w tym roku Polacy mogą pójść do urn wyborczych. I ma to być plan samego Donalda Tuska. Okoliczności mu sprzyjają. Rosną szanse na następną, czwartą już kadencję premiera Tuska, ale mimo wszystko nie będzie to łatwe do zrealizowania



PIOTR GURSZTYN

Sprawą, która ostatnio najbardziej zwróciła na to uwagę, była wrzutka w postaci słowa „rekonstrukcja". A jeszcze bardziej sposób potraktowania Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz przez Donalda Tuska. Od dawna wiadomo, że premier jej nie lubi i ostentacyjnie to okazuje. Głośno było o drwinach premiera z nieobecnej Pełczyńskiej-Nałęcz na posiedzeniu Rady Ministrów. Szefowa resortu funduszy i polityki regionalnej była z wizytą w Rumunii, a Tusk nabijał się z niej, mówiąc, że ma nadzieje, iż nigdy już nie wróci. Najbardziej znaczący był przeciek do mediów z jasną sugestią, aby publicznie o tym opowiadać. Czyli typowe dla Tuska upokarzanie zwalczanej osoby.

Formalnym powodem spięcia z Polską 2050 jest sprawa wotum nieufności wobec Pauliny Hennig-Kloski, minister klimatu i środowiska – drażniącej, słabej merytorycznie, źle ocenianej także w koalicji rządowej. Hennig-Kloska ma zerowe znaczenie polityczne jako przedstawicielka... no właśnie, kogo? Bo już

Fot. Karolina Misztal/Reporter/East News

eprasa.pl 9016f0c18b

nie Polski 2050, a dziwnego tworu, jakim jest Klub Parlamentarny Centrum. Była otwarcie krytykowana także przez PSL, a jej działania są niepopularne społecznie. Mimo to Tusk postanowił ją manifestacyjnie bronić.

Co więcej, można rzec, że wybrał przemoc – patrząc na to, jak traktuje Pełczyńską-Nałęcz i całą Polskę 2050. „Jak się okaże, że nie jesteście z nami, to się pożegnamy" – mówił pod adresem koalicjanta. To było też zielone światło do pogardliwych ataków ze strony takich osób jak Aleksandra Leo z KP Centrum, która publicznie pisała o podkulonych ogonach Szymona Hołowni i Pełczyńskiej-Nałęcz. Ta nieważna przecież posłanka wykorzystuje teraz swoje pięć minut, bo wie, że może – a nawet że powinna, gdyż jest to dobrze widziane u „starszego brata", czyli w Koalicji Obywatelskiej. Ma motywację, bo resztówka o nazwie Klub Parlamentarny Centrum to polityczna ślepa kiszka. A jak zasłuży, to może zostanie przygarnięta przez Koalicję Obywatelską. Zresztą klub Centrum powstał tylko po to, aby znaleźć miejsca na listach wyborczych KO.

WYBORCZY WEHIKUŁ

Tak więc słowa Tuska o tym, że pożegna się z tymi, którzy nie są z nim, można traktować nie jako ostrzeżenie, ale zapowiedź planu. Czyli wypchnięcia jakiejś grupy posłów z Pełczyńską-Nałęcz i parcia do przedterminowych wyborów.

Częścią tego planu ma być powołanie sejmowej komisji śledczej ds. giełdy kryptowalut Zondacrypto. W koalicji widać wzmożenie w tym temacie. Podekscytowany Włodzimierz Czarzasty pisze w swoich mediach społecznościowych: „Zondacrypto to materiał na komisję śledczą. Utrata pieniędzy przez ludzi, finansowanie polityków PiS i Konfederacji, wiedza Nawrockiego, łapówki, opłacanie imprez politycznych, pisanie prawa za kasę, morderstwo. Co z tego jest prawdą? Kto za tym stoi?".

Nie jest solistą, chór podobnych głosów słychać w całej koalicji. „Uważam, że ta sprawa wymaga wyjaśnienia, a komisja śledcza w swoim zamyśle, jako pewien też sposób reagowania, została przewidziana właśnie na takie okazje" – mówił szef klubu parlamentarnego PSL Krzysztof Paszyk.

Komisja śledcza, całkowicie kontrolowana przez obóz rządzący – łącznie z wrzutkami nieweryfikowalnych materiałów ze służb specjalnych – ma być wehikułem wyborczym. A właściwie pałką na prezydenta i PiS. Oraz narzędziem szantażu wobec Konfederacji. Merytorycznie to bez sensu, bo firma jest zarejestrowana w Estonii i podlega tamtejszym regulacjom. Nie chodzi jednak o fakty, lecz o emocje. Zeszłoroczna kampania prezydencka, a także późniejszy wyciek dokumentacji medycznej szefa BBN Sławomira Cenckiewicza pokazują, że w walce o utrzymanie władzy obecna ekipa nie ma szczególnie silnych zahamowań.

W tym momencie okoliczności niewątpliwie sprzyjają Tuskowi. Jak nie teraz, to kiedy? Wszyscy dokoła niego są słabi. Zdemolował i skanibalizował swoich koalicjantów. PSL nie ma nikogo, z kim mogłoby pójść na wybory i starym sposobem przeskoczyć próg wyborczy. Sondaże partii Władysława Kosiniaka-Kamysza są gorzej niż tragiczne. Projekt Szymona Hołowni to kompletna ruina. Nowa Lewica jest całkowicie zwasalizowana, a jej lider Włodzimierz Czarzasty idzie ręka w rękę z Tuskiem we wszystkim. A nawet stara się być bardziej tuskowy niż sam Tusk w walce z prezydentem i prawicą. Zrobi wszystko, co premier mu każe, a jego elektorat wszystko zaakceptuje.

Najbardziej prawdopodobny będzie nacisk na jedną listę, choć oczywiście zależy to od konfiguracji sondażowych, czyli tego, czy opłaci się to Tuskowi. „Wyborcy KO i NL są na tyle dojrzali, wyrozumiali i odpowiedzialni, że nie będą grymasić i poprą wspólną listę swoich faworytów" – w nadzwyczaj charakterystyczny sposób pisał niedawno w „Gazecie Wyborczej" Janusz Majcherek, wzywając, by Tusk utworzył wspólną listę tylko z Nową Lewicą. A jednocześnie kopnął w tyłek Polskę 2050, a nawet PSL. Ta kalkulacja bazuje na tym, że partyjna drobnica nie wejdzie do Sejmu, więc głosy oddane na nią – zgodnie z ordynacją d'Hondta – przejdą na największego, czyli listę KO-Lewica. Identycznie jak w 2015 r. PiS skorzystało z tego, że ówczesna lewica nie przekroczyła progu wyborczego. Wtedy partia Jarosława Kaczyńskiego zdobyła 37,5 proc. głosów, które wystarczyły, by rządzić samodzielnie. Patrząc na dzisiejsze sondaże, ten pułap wydaje się osiągalny dla Tuska. I tym samym jest to szansa na samodzielne rządy w następnej, czwartej już w jego przypadku kadencji.

A nawet więcej! Niedawno w mediach sprzyjających władzy pojawiły się informacje, że Tusk będzie próbował dążyć do uzyskania nawet 276 miejsc w Sejmie, czyli liczby potrzebnej do odrzucania weta prezydenta. Brzmi to fantastycznie, choć w ciągu tej kadencji epizodycznie pojawiały się sondaże sugerujące taką możliwość. Powtórzyłaby się miła Tuskowi sytuacja z lat 2007–2010, gdy miał dostateczną liczbę szabel w Sejmie, by odrzucać weta prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

UCIECZKA DO PRZODU

Strona, która sama siebie nazywa „demokratyczną", raczej z pesymizmem ocenia możliwości przedłużenia władzy Donalda Tuska. „Na razie nie widać scenariusza, który zagwarantowałby KO drugą kadencję" – mówił na początku kwietnia w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" lewicowy socjolog prof. Przemysław Sadura. Tłumaczył to m.in. tym, że polityka Tuska bazuje na uleganiu emocjom najbardziej skrajnej części jego elektoratu. Wyborcom agresywnie antyprawicowym, czy dokładniej antypisowskim. Wyzbyta jest zaś programu pozytywnego. Na coś podobnego wskazywał też prof. Jarosław Flis, również socjolog odległy od prawicy. On z kolei podkreśla to, że wyborcy pozwalają opozycji na urządzanie awantur i graniu na destabilizację. Natomiast od rządu – ktokolwiek go sprawuje – oczekują spokoju i dążenia do stabilizacji. A nie podgrzewania nastrojów, co nieustannie czyni Tusk.

Nawet dzisiaj, gdy wiadomo o wewnętrznych podziałach w PiS, nadal czuć ten pesymizm. Mariusz Janicki, główny autor tekstów politycznych w tygodniku „Polityka", niedawno napisał na jej łamach: „Nie widać błysku, przekonującej przewagi rządów demokratów nad autokratami – tej odczuwanej w skali codziennego życia. Tak jakby miała wystarczyć satysfakcja z faktu, że teraz jest jednak bardziej praworządnie, bliżej Europy, bez nachalnej prawicowej propagandy. Dla sporej części elektoratu to wciąż wystarczający argument, stąd zapewne względnie wysokie notowania Koalicji

eprasa.pl 9016f0c18b

Obywatelskiej. Ale według ostatnich sondaży dobrze ocenia premiera Tuska ok. 37 proc. respondentów, a prezydenta Nawrockiego 53 proc. – to jednak spora różnica pokazująca, że te »dwie połowy nie są równe«". Przy tej okazji Janicki pisze, że przedterminowe wybory stają się „bardziej prawdopodobne niż wcześniej".

Warto zauważyć, że wspomniane przez autora „Polityki" 37 proc. pozytywnych ocen Tuska równa się poparciu Koalicji Obywatelskiej. Ale to mniej niż sondaże dla wszystkich partii tworzących obecny obóz władzy. A czas nie gra na korzyść Tuska. Rosnąca dziura budżetowa i wiążące się z tym powtarzające się doniesienia o coraz gorszej kondycji służby zdrowia. Słychać, że brakuje pieniędzy na wojsko i że rośnie bezrobocie. Rząd wysyła sprzeczne sygnały. Najpierw narzeka, że z powodu weta w sprawie SAFE nie ma pieniędzy na zakup broni z Radomia. A potem wychodzi premier i chwali się, że jesteśmy 20. gospodarką świata. Albo minister Andrzej Domański pisze, że gospodarka się rozpędza.

Ale właśnie dlatego Tusk musi ryzykować, bo jako szef gabinetu nie ma czym się chwalić. Przez ponad dwa lata rządów nie wydarzyło się nic, co można przedstawić jako niekwestionowany sukces – o czym z przygnębieniem pisał Janicki. Szansę na ucieczkę do przodu daje ordynacja d'Hondta, czyli premia dla największego. Zwłaszcza w sytuacji rozdrobnienia konkurencji. Elektorat prawicowy – ci, którzy tworzyli zbiór wyborców Karola Nawrockiego – przeważają nad ludźmi o poglądach liberalno-lewicowych. Nie jest to jednak bezpieczna przewaga, a co ważniejsze, dzisiaj ich sympatie rozkładają się na trzy partie. Na dodatek zaistniało ryzyko, że powstanie czwarta partia prawicowa – gdyby taką decyzję podjął Mateusz Morawiecki. W ostatnich dniach PiS wpadło w niebezpieczne turbulencje. Publiczne kłótnie odebrały mu część powagi, którą zdobyło przez osiem lat swych skutecznych rządów. Na wizerunek Prawa i Sprawiedliwości negatywnie wpływa w tej chwili także czynnik zagraniczny, czyli zauważalny spadek zaufania i sympatii Polaków do prezydenta Donalda Trumpa i w ogóle Ameryki.

REAKCJE WYBORCÓW

Do samorozwiązania Sejmu trzeba 307 głosów. Muszą być więc też podniesione ręce po stronie opozycji. Jak PiS zareaguje na nową grę Tuska? Raczej nie ma większego wyboru. Prawica – z Jarosławem Kaczyńskim na czele – wielokrotnie mówiła, że Prawo i Sprawiedliwość jest gotowe na przedterminowe wybory. Łączyło się to z wypowiedziami o tym, że każdy kolejny dzień rządów Tuska jest szkodą dla Polski. Trudno sobie wyobrazić PiS głosujące za przedłużeniem władzy Tuska, Czarzastego, Żurka *et consortes*. Dotyczy to również Konfederacji. To zresztą nie jest zły scenariusz dla Prawa i Sprawiedliwości. Kampania narzuca inne priorytety i nową dynamikę. Wtedy takie osoby jak np. Patryk Jaki czy Waldemar Buda będą miały bardziej pożyteczne zajęcia niż internetowe ataki na kolegów z tej samej partii. Kampania ma walor mobilizacyjny, czego największym beneficjentem była zazwyczaj partia Jarosława Kaczyńskiego.

> Częścią planu Tuska ma być powołanie sejmowej komisji śledczej ds. giełdy kryptowalut Zondacrypto. Komisja, całkowicie kontrolowana przez obóz rządzący – łącznie z wrzutkami nieweryfikowalnych materiałów ze służb specjalnych – ma być wehikułem wyborczym

Wybory znów będą plebiscytem premiującym dwa największe ugrupowania. A jeśli KO pójdzie w jednej liście ze swoimi przystawkami, to jeszcze bardziej wzmocni polaryzację. Tematem przecież nie będą jakieś domniemane czy prawdziwe zbrodnie PiS, lecz jakość życia Polaków.

Jest pytanie, jak obywatele naszego kraju potraktują to, że szef rządu dąży do przedterminowych wyborów. To bardziej prawo opozycji, bo każdy premier jest zobowiązany do dbania o stabilność życia polityczno-społecznego. Umowa obowiązuje na cztery lata. Latem 2007 r. wiele wskazywało na to, że PiS ma wygraną w kieszeni. Politycy tej partii w kuluarowych rozmowach tryskali optymizmem. Nie przewidzieli jednak dużo większej frekwencji. Skądinąd pokolenie ówczesnych 30-latków, którzy w 2007 r. głosowali przeciw PiS, szybko się rozczarowało do Tuska i dzisiaj wielu z tych ludzi jest zażartymi zwolennikami prawicy.

Podobnie jak w drugiej turze wyborów prezydenckich spodziewane wybory parlamentarne mogą się odbyć pod hasłem „Każdy, byle nie Tusk". A to sprawi, że wyborca będzie wolał oddać głos na partię z największymi szansami na odebranie władzy obecnemu premierowi. Dla jakiejś grupy wyborców ważna może być chęć ukarania koalicji 13 grudnia za jej arogancję. Za ostentacyjną bezkarność małżeństwa Myrchów, mecenasa Giertycha, senatora Lenza, wicemarszałek Wielichowską, posła Szumilas.

Dochodzą też naturalne zmiany demograficzne – każde kolejne wybory to kilkaset tysięcy nowych młodych wyborców więcej. I druga strona tego medalu, czyli ubytek wyborców starszych. Jeśli chodzi o odchodzących seniorów, uderza to nie tylko w PiS, lecz tak samo w KO. A może nawet mocniej, bo w ostatnich wyborach prezydenckich najstarsza grupa wyborców poparła raczej Trzaskowskiego niż Nawrockiego. To ludzie w największym stopniu korzystający z mediów starego typu, zdominowanych przez narrację prorządową. A młodzi są krytyczni wobec obecnej władzy, co też było widać 1 czerwca 2025 r. Tusk jest dla nich starcem, a wulgarne emocje ośmiu gwiazdek są dla nich czymś co najmniej niemodnym. Nie mają powodów, by głosować na rządzących. Choć pozostaje pytanie, kto z opozycji jest w stanie zdobyć poparcie tej najmłodszej grupy.

Tak więc Tusk ma się nad czym zastanawiać. Zaryzykować przedterminowe wybory czy może trwać w obecnym układzie? Ale to może być jeszcze większe ryzyko.

eprasa.pl 9016f0c18b

Co dalej z „prawicą aspiracyjną”?

Z mojej uważnej obserwacji Prawa i Sprawiedliwości wynika, że dziś ani Jarosław Kaczyński nie chce tracić Mateusza Morawieckiego, ani politycy PiS, którzy zapisali się do stowarzyszenia Rozwój Plus, nie są zainteresowani rychłą partyjną niepodległością



JAN ROKITA

To było prawie dwa lata temu – mniej więcej pół roku po tym, jak Mateusz Morawiecki musiał oddać po wyborach urząd premiera Donaldowi Tuskowi. Podczas krynickiego forum, w trakcie ciekawej debaty byłego premiera z Krzysztofem Bosakiem, bodaj po raz pierwszy usłyszałem termin „prawica aspiracyjna” wraz z szerszą teorią Morawieckiego na temat tego, jak ma wyglądać polska nowa prawica.

Teorię tę można streścić w taki oto sposób: to, że prawica pozostaje stroną w przetaczającym się przez cały Zachód wielkim sporze o kulturę, jest oczywistością, bo chodzi tu o nic innego, jak o przywrócenie normalnego porządku życia i polityki, rozchwianego przez pseudopostępowe ideologie. Ale to za mało jak na współczesną ofertę takiej prawicy, która miałaby mieć szansę na odzyskanie władzy. Prawicy jest potrzebne – jak mawia teraz Morawiecki – „drugie płuco”. Płuco rozwojowe, pozwalające ludziom uwierzyć w to, że inercyjny trend słabego wzrostu gospodarczego, niskich inwestycji, więdnących w Polsce firm i zahamowania wzrostu zarobków jest naprawdę możliwy do przełamania.

W dzisiejszej Polsce Morawiecki stał się figurą symboliczną dla takiego stylu myślenia. Takiej roli nie odgrywa premier Donald Tusk, który w dawnych latach mógł się szczycić tym, że pod jego pierwszymi rządami Polska jest „zieloną wyspą”, otoczoną pogrążoną w kryzysie finansowym Europą. Ale dziś jego schyłkowa już władza stała się zaskakująco inercyjna, gdy idzie o rozwój kraju – być może dlatego, że Tusk ugrzązł w tyleż nonsensownej, co obsesyjnej walce z projektami inwestycyjnymi zaprojektowanymi albo rozpoczętymi przez ekipę Morawieckiego. Ale co ciekawe, również opozycyjne PiS w ciągu ostatnich dwóch lat zaprzepaściło gdzieś zapracowane wcześniej uczciwie oblicze „partii rozwoju”.

Jest to po części skutkiem ugrzęźnięcia partii w obsesyjnych stereotypach „walki z Niemcami” i nieustannego „zagrożenia niepodległości”, co doprowadziło np. do trudnego do zrozumienia wyrzekania się europejskiej pomocy dla zaniedbanego polskiego przemysłu zbrojeniowego.

Ale po części jest to także kwestia wizerunku politycznego mianowanego przez PiS kandydata na premiera – Przemysława Czarnka, który – czy by tego chciał, czy nie – nie jest i nie będzie w stanie zmienić swego dominującego wizerunku jako ministra oświaty będącego „młotem na postępowe czarownice”, wdzierające się drzwiami i oknami do polskich szkół oraz deprawujące dzieci. Zawadiacki i złotousty Czarnek jest figurą symbolicznie nie do pogodzenia z wizerunkiem kompetentnego i zrównoważonego przywódcy, wiedzącego, jak wyciągnąć Polskę ze złego trendu zastoju technologicznego, braku kapitału, niskich inwestycji, drogiej energii, biednienia i trudności w znalezieniu pracy.

Nic więc dziwnego, że Morawiecki, świadom swojej przewagi pod tym względem, unika wspólnych wystąpień publicznych z mianowanym przez Jarosława Kaczyńskiego kandydatem na premiera. Musi tak czynić, jeśli chce zachować odrębność i atrakcyjność własnego politycznego „image” jako lidera „aspiracyjnej prawicy”.

WIARYGODNOŚĆ „FRAKCJI ROZWOJOWEJ”

Ostatnio, po potencjalnie rozłamowym zebraniu kierownictwa PiS 16 kwietnia, właśnie ta rzecz stała się przedmiotem zarzutów partyjnych stawianych byłemu premierowi oraz niezliczonych komentarzy publicystycznych i internetowych. Publiczne pokazywanie się Morawieckiego w roli pomocnika Czarnka od ekonomii jest ostatnio wymuszane osobiście przez Kaczyńskiego. Ale przecież jeśli PiS na serio chciałoby mieć wiarygodną dla opinii publicznej „frakcję rozwojową”, to nie uzyska tego efektu, próbując wtłoczyć Morawieckiego i jego zwolenników w rolę, która nie tylko im nie odpowiada, lecz także do której się kompletnie nie nadają. I której w związku z tym nigdy nie zagrają autentycznie, a opinia publiczna wyczuwa taki fałsz z natychmiastową i bezbłędną intuicją.

eprasa.pl 9016f0c18b



Stowarzyszenie Rozwój Plus tworzą m.in.: Waldemar Buda, Piotr Mueller, Michał Dworczyk, Mateusz Morawiecki, Janusz Cieszyński, Marcin Horała, Robert Gontarz i Krzysztof Szczucki

Trzeba też przyznać, że w roli premiera Morawiecki miał wyjątkowego farta, gdy idzie o finansowe możliwości państwa, zarówno w dziedzinie rozwoju, jak i kosztownej polityki społecznej. Zaniedbania „pierwszego" Tuska i jego ówczesnego ministra finansów Jacka Rostowskiego sprawiły, że ich następca dość łatwo zdołał osiągnąć efekt radykalnej poprawy stanu finansów państwa przy równoczesnym obniżaniu podatków.

To nie był cud, ale wyjątkowa okazja, której chwycił się Morawiecki, skutecznie przywracając ściągalność dwóch podatków: VAT i CIT – zwłaszcza od dużego biznesu – i tępiąc oszukańcze mafie, wyprowadzające dotąd za granicę dochody należne polskiemu fiskusowi.

Ale tak łatwa okazja nie zdarzy się po raz drugi. Dlatego dzisiejszy projekt „aspiracyjnej prawicy" musi być niestety trudniejszy i bardziej wyrafinowany myślowo. Wpisują się w to koncepty, które w PiS wypracowuje teraz zbudowany przez Morawieckiego „zespół pracy dla Polski". Choćby takie jak nowe pomysły na mobilizację polskiego kapitału, innowacyjny grantowy system wspierania inwestycji czy strefy energetyczne, które miałyby umożliwić tańszy dostęp do energii dla technologicznych start-upów i firm high-tech.

Z politycznego, a zwłaszcza wyborczego punktu widzenia kluczowe jest to, że zarówno Morawiecki, jak i jego ludzie – choćby tacy jak budowniczy CPK Marcin Horała czy ratująca polskie firmy w czasie zarazy Jadwiga Emilewicz – są na tym polu wyjątkowo wiarygodni. A ściślej mówiąc, w dzisiejszej polskiej polityce nie ma żadnego lidera ani żadnego środowiska, które mogłoby tu mieć podobną wiarygodność. Jeśli myślenie rozwojowe w ogóle jest dziś gdzieś obecne w polskiej polityce, to tylko w Konfederacji, zwłaszcza w jej libertariańskim, mentzenowskim skrzydle. Osobiście sądzę, że odważne i politycznie ryzykowne tezy, które zwykł stawiać Mentzen (np. ograniczenia polityki socjalnej czy likwidacji ZUS, traktowanego jako „piramida finansowa"), mają spore uzasadnienie w dzisiejszych polskich realiach finansowych. Tyle że z pewnością nie są to tezy, z którymi wygrywa się wybory i zdobywa władzę.

TAKTYCZNY BŁĄD

Właśnie dlatego mam wrażenie, iż partyjny atak na Morawieckiego i jego ludzi ze stowarzyszenia Rozwój Plus z czasem okaże się taktycznym błędem kierownictwa PiS. W ten sposób partia ugruntowuje bowiem przekonanie, iż idea „aspiracyjnej prawicy" w jakiś sposób jej przeszkadza, a ludzie o tego rodzaju ambicjach będą spychani na margines albo nawet straszeni swoistą polityczną egzekucją.

Bo czymże innym jest dla czynnych polityków zapowiedź prezesa Kaczyńskiego, iż jeśli nadal będą robić to, co robią, to nie znajdzie się dla nich miejsce na wyborczych listach partyjnych? Co prawda zaraz potem Kaczyński – jak to on – złagodził i zrelatywizował ostrze własnej zabójczej groźby, zapewne nie chcąc przecież tego, aby na serio wykluczyć albo zdezawuować – jakby nie było – jedną z dwóch, kluczowych dziś frakcji wewnątrz partii, za którą stoi utalentowany lider i kilkudziesięciu parlamentarzystów. A prezes PiS lubi przecież grać pomiędzy zwaśnionymi frakcjami partyjnymi, nie chcąc, aby jedna z nich zdominowała partię, umniejszając tym samym jego realną kontrolę nad Prawem i Sprawiedliwością.

Niemniej słowa o listach padły publicznie z ust prezesa w piątek 17 kwietnia

Fot. Agnieszka Bielecka/PAP

eprasa.pl 9016f0c18b



i jest to fakt politycznie nieodwracalny. Od tego piątku, choćby się nie wiem, co się dalej działo w partii, każdy w PiS, kto wierzy w sens idei „prawicy aspiracyjnej" albo po prostu jest lojalistą Morawieckiego, musi odczuwać zagrożenie co do własnej partyjnej przyszłości.

Na łamach skrajnie lewicowej „Krytyki Politycznej" analityk Piotr Wójcik nie bez racji zwrócił uwagę na tryb, w jakim zwykle tworzone są w PiS listy wyborcze. Najczęściej negocjacje toczą się do ostatniej chwili, nic do końca nie jest pewne, sam prezes często decyduje o losach ludzi dość chimerycznie, a kandydaci oddychają z ulgą dopiero wtedy, gdy listy są oficjalnie zarejestrowane przez państwo, więc nie można ich już zmienić.

Tym razem ten system psychologicznie uderzy w członków stowarzyszenia Rozwój Plus. Bo od piątku 17 września zarówno sam Morawiecki, jaki i jego ludzie muszą brać pod uwagę nawet taki scenariusz, że godzinę przed terminem rejestracji długopis Kaczyńskiego skreśli z list wszystkie ich nazwiska. Więc muszą wiedzieć, co zamierzają zrobić, jeśli to – nawet jeśli byłoby irracjonalne, a dziś jest mało prawdopodobne – jednak by się zdarzyło.

Właśnie ta obawa nadaje teraz PiS nową dynamikę polityczną. Jej istotą jest podatność na rozłam, rzecz w gruncie rzeczy nowa w partii co najmniej od czasu, gdy spektakularnie wróciła ona do władzy w 2015 r. Partyjne (i nie tylko partyjne) rozłamy mają bowiem swoją własną inercyjną logikę i czasem dochodzi do nich tak naprawdę wbrew woli ich uczestników.

Całkiem prawdopodobne, że roztropny i dbający o wizerunek partii Kaczyński nie tylko nigdy naprawdę nie utrąci frakcji „prawicy aspiracyjnej", lecz nawet przeciwnie, będzie dbać o jej mocną obecność, a to w celu utrzymania potrzebnej mu do zarządzania partią równowagi. Ale mimo to Morawiecki i jego ludzie, bojąc się ryzyka wycięcia z list w ostatniej chwili, *deus ex machina* i bez ostrzeżenia, sami mogą się zdecydować na odejście, by stworzyć niepodległą organizacyjnie „Prawicę Aspiracyjną".

> Prawicy jest potrzebne – jak mawia teraz Morawiecki – „drugie płuco". Płuco rozwojowe, pozwalające ludziom uwierzyć w to, że inercyjny trend słabego wzrostu gospodarczego naprawdę jest możliwy do przełamania. Takiej roli nie odgrywa premier Tusk

WYJDĄ, NIE WYJDĄ?

Byłoby to coś na kształt antycznego fatum, a fatum polega właśnie na tym, że musi się wypełnić, bez względu na okoliczności. Morawiecki mógłby ryzykować własnym politycznym losem – ostatecznie ma doświadczenie bankiera, świetne stosunki krajowe i zagraniczne, rodzinę, którą uchronił przed wykorzystaniem politycznym i majątek zapewniający dobre życie. Wszystko, czego potrzebuje człowiek, który świadomie podejmuje ryzyko politycznej porażki i odejścia z polityki.

Ale Morawiecki – to zresztą jego polityczne szczęście – nie jest samotnym żeglarzem, ale nadzwyczaj sprawnym budowniczym własnego politycznego środowiska. I odpowiada za dość dużą już grupę ludzi, którzy widzą w nim przywódcę. Właśnie to ma mu najbardziej za złe Kaczyński, który wolałby mieć Morawieckiego na własność, jako swojego człowieka od gospodarki, którego mógłby nawet „wypożyczyć" teraz Czarnkowi, czyli wskazanemu przez siebie kandydatowi na premiera.

Z mojej uważnej obserwacji PiS wynika, że dziś ani Kaczyński nie chce tracić Morawieckiego, ani politycy Prawa i Sprawiedliwości, którzy zapisali się do stowarzyszenia Rozwój Plus, nie są zainteresowani rychłą partyjną niepodległością. Mówi o tym przekonująco (w Interii) Marcin Horała: „Absolutnie nie mamy tego w planie, a ja jestem przecież w PiS od 2004 r.".

Tacy politycy jak 44-letni Horała albo nawet 50-letni Michał Dworczyk (który – o ile wiem – do PiS wstąpił zaraz po studiach na UW) nie znają w ogóle innego dorosłego życia aniżeli „życie w PiS", więc – co psychologicznie oczywiste – perspektywę odejścia albo wyrzucenia z partii muszą traktować jako życiową porażkę. Co oczywiście nie zmienia faktu, iż pewnego dnia mogą być gotowi na taki krok, jeśli uznają, że nie ma innego wyjścia, bo ryzyko, że prezes zepchnie ich hurtem z list wyborczych, jest nazbyt wysokie.

Kaczyński ma dużo do zrobienia, jeśli w rzeczywistości chciał tylko ostentacyjnie położyć rewolwer na stole, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby zeń wystrzelić. Uspokojenie naturalnych obaw ludzi Morawieckiego i powstrzymanie ich przed podejmowaniem ostatecznych kroków po tym, co stało się w piątek 17 kwietnia, nie przyjdzie prezesowi PiS już tak łatwo.

eprasa.pl 9016f0c18b



Morawiecki po zakręcie



STANISŁAW JANECKI

Strategia Donalda Tuska na rozbicie Prawa i Sprawiedliwości oraz skłócenie byłych premierów z tej partii rozpadła się jak domek z kart

Gdy 15 kwietnia 2026 r. były premier Mateusz Morawiecki ogłosił powołanie stowarzyszenia Rozwój Plus, najbardziej podekscytowani tym przedsięwzięciem byli Donald Tusk i politycy Koalicji Obywatelskiej. I robili wszystko, żeby jak najszerzej rozeszła się ich narracja o rozpadzie Prawa i Sprawiedliwości. W ich propagandzie zapowiedzią rozpadu miało być powołanie tego stowarzyszenia, czyli wstęp do utworzenia nowej partii. Prorządowe media podsuwały mikrofony i kamery każdemu z Prawa i Sprawiedliwości, kto mógł dosypać do pieca, gdy chodzi o relacje harcerzy, zwolenników Morawieckiego i powoływanego przez niego stowarzyszenia, z maślarzami (niebędącymi sympatykami byłego premiera). I niektórzy dali się podpuścić, wchodząc w narrację wymyśloną w kancelarii premiera Tuska, a przedstawianą tak, jakby to było odzwierciedlenie sytuacji panującej w centrali Prawa i Sprawiedliwości na Nowogrodzkiej, w Klubie Parlamentarnym PiS oraz w terenowych strukturach tej partii. I wymyślona w otoczeniu Donalda Tuska strategia mającą odciągać uwagę opinii publicznej od realnego, pogłębiającego się z każdym dniem upadku służby zdrowia zaczęła mieć realne skutki w PiS. Negatywne dla partii, gdyż wywołujące nawet skrajne emocje.

W ciągu zaledwie 24 godzin nastąpiła eskalacja negatywnych nastrojów, podejrzeń, a także formułowanych zarzutów, również między harcerzami a maślarzami. Opinia publiczna była przez rządzących i przyjazne im media utwierdzana w przekonaniu, że PiS się sypie i jest już masą upadłościową.

17 kwietnia 2026 r. premier Tusk nakreślił z mównicy sejmowej taki obraz, jakby PiS było już partią upadłą. Podobną wizję przedstawiał marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty. Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz mówił o „totalnej demolce". A były marszałek Sejmu Szymon Hołownia twierdził, że wnioski PiS o wotum nieufności dla ministrów to „desperacka próba ukrycia własnych problemów". 19 kwietnia 2026 r. portal Res Futura prezentował nawet „algorytm rozpadu". Wniosek był taki, że „PiS przeżyje, ale będzie przegrywać wybory z koalicją rządową o 10–15 punktów, dokładnie tak jak Fidesz w opozycji 2002–2010".

Fot. @AdamBielan/x.com

eprasa.pl 9016f0c18b

„Rozpad PiS" został przesądzony, gdyż „obie nowe partie tracą każda na swój sposób. Twarde skrzydło traci sufit i translator, Morawiecki traci bazę i silnik treści. Obie partie zostają z połową funkcjonalności, jaką dziś ma PiS i muszą konkurować nie tylko z koalicją rządową, ale też ze sobą". Nie szkodzi, że żadne nowe partie nie powstały.

RADOŚĆ W OBOZIE TUSKA

Wraz z rozszerzaniem się narracji o „rozpadzie" PiS rosła radość w obozie Donalda Tuska. A wzniosła się na wyżyny po „dyscyplinującym" stanowisku Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS stwierdził, że dążenie do powołania nowej partii, do czego wstępem może być Rozwój Plus, jest absolutnie nie do zaakceptowania, bo osłabia PiS i na nim pasożytuje. Jeśli więc nic się nie zmieni, członkowie stowarzyszenia będą mieli problemy, łącznie z zawieszeniem członkostwa w PiS, a nawet usunięciem z partii oraz z wykluczeniem z list Prawa i Sprawiedliwości na wybory parlamentarne w 2027 r. W rządowych gabinetach w Al. Ujazdowskich uznano, że wszystko jest na najlepszej drodze do wyeliminowania największej partii opozycyjnej, ale jak zwykle macherzy Tuska nie docenili Jarosława Kaczyńskiego.

Tusk i jego otoczenie cieszyli się, że doszło do przeniesienia uwagi opinii publicznej na największą partię opozycyjną, bo to miało zdjąć z nich brzemię odpowiedzialności za praktyczny upadek ochrony zdrowia. Już ok. 40 proc. szpitali powiatowych stoi na skraju bankructwa. Z tego powodu 20 kwietnia 2026 r. rozpoczął się ogólnopolski protest placówek medycznych, znany jako czarny tydzień. Rząd Tuska wprowadził drastyczne limity na kluczowe badania diagnostyczne. Od kwietnia 2026 r. NFZ płaci szpitalom jedynie 50 proc. stawki za rezonans i tomografię wykonane ponad wyznaczony limit. Zamykane są kolejne oddziały, kolejki się nie skracają. I nikt już nie wierzy w bajki rzecznika rządu Adama Szłapki czy posła Witolda Zembaczyńskiego. A rząd nie ma żadnego planu na załatanie wielomiliardowej luki finansowej w Narodowym Funduszu Zdrowia. Eksperci Federacji Przedsiębiorców Polskich i Instytutu Finansów Publicznych szacują lukę na 2026 r. na 18–23 mld zł, wskazując jednocześnie, że w 2028 r. może ona wzrosnąć nawet do 90 mld zł. Skumulowana luka finansowa w latach 2025–2028 może wynieść nawet 250 mld zł. Aby utrzymać sprawność systemu w 2026 r., niezbędne by było dofinansowanie na poziomie 41,5 mld zł. Te dane jasno pokazują, że rozdmuchanie do niebotycznych rozmiarów „rozpadu PiS" stanowiło dla rządzących najpilniejsze zadanie przykrywkowe. Niestety część polityków Prawa i Sprawiedliwości wpisała się w ich strategię.

20 kwietnia 2026 r. rządzących i ich propagandystów spotkała niemiła niespodzianka. Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki spotkali się wieczorem, rozmawiali kilka godzin i ogłosili, że Rozwój Plus będzie istnieć, do stowarzyszenia mogą należeć posłowie. Jarosław Kaczyński tak zarysował rozwiązanie: „Powstanie Rada Ekspercka i tam ci, którzy się znaleźli w stowarzyszeniu – mówię o posłach i ewentualnie europosłach – będą mogli działać. Pozostałe działania zostaną natomiast wstrzymane. Nie oznacza to oczywiście, że stowarzyszenie zostanie zlikwidowane. Będziemy pracować jeszcze dalej, ale to jest już dodatek odrębny, rozwiązanie problemu stowarzyszeń, bo jest ich kilka w tej chwili wewnątrz partii".

Zanim doszło do przełomowego spotkania, do stowarzyszenia Rozwój Plus zapisało się kilkudziesięciu parlamentarzystów PiS. Mateusz Morawiecki zapewnił, że „absolutnie nie chodzi o rozłam". Po dogadaniu się dwóch byłych premierów eurodeputowany Piotr Müller stwierdził zadowolony (w RMF FM): „Od początku mówiliśmy o tym, że aktywność naszego stowarzyszenia to jest aktywność na rzecz powiększania tej rodziny, która by głosowała za PiS, szukania nowych dróg do rozmów. W związku z tym te nocne ustalenia są po prostu pozytywne. Prezes Jarosław Kaczyński chce jedności, my chcemy jedności. Stowarzyszenie będzie normalnie, spokojnie działało". I dodał, że celem działania Rozwoju Plus ma być „sięganie do tych ludzi, do których partia sięgnąć nie może".

Prysły więc nadzieje Donalda Tuska i polityków koalicji rządzącej, że dojdzie do rozbicia PiS. W największej partii opozycyjnej nie ma już problemu, nie zniknęły natomiast kłopoty rządzących w związku z głosowaniem wotum nieufności dla Pauliny Hennig-Kloski. A przez szybkie działanie Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego nie udało się też przykryć groźby wyjścia czy wyrzucenia Polski 2050 z koalicji. Co nie znaczy, że rządzący nie będą prowokować czy kłamać na temat domniemanych konfliktów wewnątrz PiS. Będą, bo robią to od lat.

Na nic jednak nadzieje prorządowych mediów, czyli „Gazety Wyborczej" i „Rzeczpospolitej", że Jarosław Kaczyński już nie panuje nad PiS. Nie ma z tym żadnych problemów. Słusznie więc ostrożny w tej sprawie jest prof. Antoni Dudek, którego nie da się zaliczyć do sympatyków PiS. A bardzo nieostrożny okazał się poseł KO Mariusz Witczak, którego mocno poniosła „rozpadowa" wyobraźnia.

STRASZENIE MORAWIECKIEGO

O tym, że w kancelarii premiera powstał plan gry na „rozpad PiS", świadczy to, co wydarzyło się 14 kwietnia 2026 r. To wtedy pojawiły się informacje, że były premier Mateusz Morawiecki usłyszy zarzuty w śledztwie dotyczącym Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. Doniosły o tym prorządowe media, m.in. „GW", „Rzeczpospolita", „Dziennik Gazeta Prawna", „Fakt", Onet, WP, naTemat, a także TVP Info. Najwyraźniej chodziło o „wystawienie" Morawieckiego i tym samym sprowokowanie jakiejś „ruchawki" wewnątrz PiS. Od 14 kwietnia narracja rządowych mediów była taka, że z RARS, którą „Morawiecki osobiście nadzorował jako premier", wyprowadzono ok. 1 mld zł, a pieniądze te trafiły do spółek ludzi z otoczenia ówczesnego szefa rządu. Dostarczane przez te firmy towary i urządzenia miały być wadliwe, zaś ceny zawyżane, nawet kilkakrotnie. Najczęściej przywoływanym przykładem było zlecenie zakupu agregatów prądotwórczych dla walczącej z Rosją Ukrainy. Prokuratorzy twierdzą, że

eprasa.pl 9016f0c18b

przedsiębiorca z branży odzieżowej, właściciel firmy Red is Bad Paweł S. tylko na tym jednym zleceniu z RARS zarobił 282 mln zł. Kupił agregaty w Chinach za 69 mln zł i sprzedał Agencji za 350 mln zł. Rządowa narracja jest taka, że po ekstradycji do Polski 30 października 2024 r. Paweł S. zaczął „sypać". Miała też zacząć sypać Justyna G., była dyrektor zakupów w RARS. Śledztwo w sprawie Agencji wszczęto 1 grudnia 2023 r. Prowadzi je Śląski Wydział Zamiejscowy Departamentu do Spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Katowicach. Zarzuty usłyszało dotychczas kilkanaście osób.

Prorządowi „naganiacze" ubolewali, że tylko Mateusz Morawiecki nie został dotychczas w tej sprawie nawet przesłuchany. Powód miał być taki, że nie przesłuchuje się jako świadka osoby, która może być uznana za podejrzaną. 15 kwietnia 2026 r. pojawiły się też insynuacje, że jako premier Morawiecki wiedział o „złodziejstwie" w RARS, bo dwukrotnie spotykał się z Pawłem S. w rządowej willi w sprawie dostaw agregatów prądotwórczych. Argumentem z najgrubszej rury jest twierdzenie, że były premier pozostawał członkiem zorganizowanej grupy przestępczej. Prorządowe media już się cieszą, że Morawieckiemu grozi nawet do 10 lat więzienia.

Prorządowa propaganda już na początku 2026 r. zaczęła kolportować plotki, że Morawiecki chce się dogadać z Tuskiem, by uniknąć oskarżenia. A jednocześnie premier Tusk postawił politykom KO i „swoim" mediom zadanie, żeby za wszelką cenę skłócić Morawieckiego z własną partią, by w ten sposób stał się dla niej ciężarem. Gdy 15 kwietnia 2026 r. Mateusz Morawiecki ogłosił utworzenie stowarzyszenia Rozwój Plus, prorządowa propaganda zaczęła to na siłę wiązać z informacjami z poprzedniego dnia o zamiarze postawienia zarzutów byłemu premierowi. Insynuowano, że miało to być posunięcie wyprzedzające przed spodziewaną w PiS debatą, gdy Morawieckiemu faktyczne zostaną postawione zarzuty. Insynuowano także, że Morawiecki zmierza do stworzenia nowej partii, o czym miałoby świadczyć nie tylko otwarcie Rozwoju Plus na ludzi z innych ugrupowań, lecz także jego odmowa wspólnego wystąpienia z desygnowanym na przyszłego premiera Przemysławem Czarnkiem.

> Rozgrywanie „rozpadu PiS" nieprzypadkowo zbiegło się z kryzysem w koalicji rządzącej po tym, jak Donald Tusk postawił Katarzynie Pełczyńskiej-Nałęcz ultimatum. Jeśli Klub Polski 2050 opowie się za odwołaniem minister klimatu Pauliny Hennig-Kloski, to głosujący tak posłowie zostaną wyrzuceni z koalicji. Jednak dla Polaków najważniejszy jest narastający kryzys w służbie zdrowia. A na to rząd nie ma żadnej recepty, więc szuka tematu zastępczego

MĘCZARNIA POD GÓRĘ

Rozgrywanie „rozpadu PiS" nieprzypadkowo zbiegło się z kryzysem w koalicji rządzącej po tym, jak Donald Tusk postawił Katarzynie Pełczyńskiej-Nałęcz ultimatum. Jeśli klub Polski 2050 opowie się za odwołaniem minister klimatu Pauliny Hennig-Kloski, to głosujący tak posłowie zostaną wyrzuceni z koalicji. A część z nich (mieliby się wstrzymać od głosu) zostałaby przekupiona, aby wstąpili albo do Centrum Hennig-Kloski, albo wprost do Koalicji Obywatelskiej. By przykryć kryzys w koalicji rządzącej, Donald Tusk nakazał swoim politykom oraz mediom, aby wszelkimi sposobami podburzały do rozłamu w PiS. I już zacierali ręce, że gdy powstanie nowa partia, Prawo i Sprawiedliwość zostanie osłabione, więc łatwiej będzie wygrać wybory w 2027 r.

Zlecono już nawet stosowne badania. Tym z United Survey na zlecenie Wirtualnej Polski wyszło, że Koalicja Obywatelska mogłaby liczyć na 32,1 proc. głosów (wzrost o 1,6 pp.), co przełożyłoby się na 195 mandatów w Sejmie. Prawo i Sprawiedliwość uzyskałoby 20,3 proc. poparcia (spadek o 3,4 pp.) i 115 mandatów. Na trzecim miejscu znalazłaby się Konfederacja z wynikiem 13,2 proc. (68 mandatów), a Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna zdobyłaby 8,5 proc. (36 mandatów). Lewica mogłaby liczyć na 7,8 proc. poparcia i 32 mandaty.

Nie o to jednak chodziło w tym badaniu, lecz o wstawienie jako ewentualnej partii Rozwoju Plus Mateusza Morawieckiego i uczynienie z tego podmiotu rozgrywającego. Nie dziwi więc, że „wyszło", iż uzyskałby poparcie 5,1 proc. badanych (miałby 14 posłów). Przy takim rozkładzie mandatów obecna koalicja rządząca dysponowałaby 227 głosami, czyli czterema mniej, niż wynosi większość sejmowa. Z kolei PiS nawet w koalicji z obiema Konfederacjami nie osiągnęłoby większości – łącznie dawałoby im to 219 mandatów. Dopiero dołączenie „posłów" Rozwoju Plus pozwoliłoby przekroczyć próg większości i osiągnąć 233 głosy. To scenariusz szyty bardzo grubymi nićmi, ale już nieaktualny.

Premierzy Kaczyński i Morawiecki odczytali zamiary Donalda Tuska i doprowadzili do porozumienia, które pewnie wywoła u szefa Koalicji Obywatelskiej ataki „wściekłości". Bo przed wyborami w 2027 r. nie będzie miał „z górki", tylko wyjątkową męczarnię „pod górę".

eprasa.pl 9016f0c18b



Więdnący żonkil

Papierowe żonkile symbolizują ulubione kwiaty Marka Edelmana, ostatniego dowódcy Żydowskiej Organizacji Bojowej walczącej w getcie z Niemcami. Edelman miał składać je co roku pod pomnikiem Bohaterów Getta i w 2013 r. zwyczaj ten został przekształcony w akcję „Żonkil", organizowaną przez warszawskie Muzeum Polin. Każdego roku tuż przed rocznicą wolontariusze rozdawali Warszawiakom papierowe żonkile – przypominające nieco gwiazdę Dawida – aby w ten sposób mogli oni wyrazić solidarność z żydowskimi powstańcami i upamiętnić poległych.

W tym roku żonkili było wyraźnie mniej, choć jeszcze parę lat temu o tej porze niemal z każdego słupa reklamowego na przechodniów spoglądali celebryci z wpiętymi kwiatkami, zachęcając do przyłączenia się do akcji. Może tej presji było za dużo, może Warszawiacy mają już dość solidaryzowania się z żydowskimi ofiarami, podczas gdy nikt nie solidaryzuje się z polskimi? A może po prostu pamięć o bohaterach getta została przesłonięta przez zbrodnie wojenne na Bliskim Wschodzie, które zdewastowały wizerunek Izraela i Żydów?

Od wybuchu wojny w Gazie stosunek Polaków do Żydów uległ gwałtownemu pogorszeniu. Pokazuje to rocznica powstania w getcie warszawskim, która w tym roku spotkała się z niemal zupełną obojętnością



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Niezależnie od przyczyn – a z pewnością jest ich więcej – rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim, która zawsze była wydarzeniem dość niszowym, w tym roku spotkała się z niemal zupełną obojętnością Warszawiaków.

DEKLARACJA ŚWIATOPOGLĄDOWA

Podczas tegorocznych obchodów uwagę wielu osób zwrócił jeden, aczkolwiek znaczący i zapewne nieprzypadkowy szczegół. Otóż prezydent Karol Nawrocki w odróżnieniu od większości zgromadzonych nie miał przypiętego do klapy garnituru żółtego żonkila, choć wcześniej jako prezes IPN występował publicznie z tym symbolem.

Najbardziej wzmożeni odczytali brak żonkila jako niemal dowód antysemityzmu. „Są »osoby polityczne«, które odczuwają wstręt przed żonkilem, sercem WOŚP czy też unijną flagą. Symbole dobra, pamięci i szacunku wręcz je parzą" – napisał na platformie X Andrzej Rozenek z KO, wiceszef tygodnika „Nie". „Czym jest papierowy żonkil? Jest jednym z najważniejszych symboli pamięci o Powstaniu w Getcie Warszawskim z 19 kwietnia 1943 r. Co symbolizuje dziś? Pamięć o bohaterach powstania i ofiarach Zagłady. Noszenie żonkila jest jasną deklaracją: pamiętam, szanuję, mam nadzieję, że nigdy się to nie powtórzy. Odmowa przypięcia żonkila [...] też jest jasną deklaracją" – podsumował.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9016f0c18b

Można byłoby oczywiście pominąć milczeniem biadolenie urbanowskiego wychowanka, ale warto zwrócić uwagę na jego argumentację, dość typową dla środowisk liberalnych. Oto noszenie żonkila i, co za tym idzie, świętowanie rocznicy powstania w getcie jest właściwie obowiązkiem każdego Polaka.

Ale niby dlaczego, skoro tej rocznicy ani wielu wcześniejszych nie dostrzeżono nawet w samym Izraelu? Marek Magierowski, były ambasador RP w Tel Awiwie, w 2021 r. wyrzucony bezczelnie z placówki przez izraelskie władze, zauważył, iż żaden z przywódców Izraela, od prezydenta i premiera poczynając, a na szefie dyplomacji kończąc, „nawet nie zająknął się słowem" o kolejnej rocznicy powstania w getcie. Nie odnotowano jej też – co znamienne – w Niemczech. Jednak z jakichś nie do końca znanych powodów Rozenek, który najwyraźniej uznał się samozwańczo za strażnika obchodów, nie pomstuje ani na Izrael, ani na Niemców. Uderza tylko we własne społeczeństwo, a w szczególności w jego bardziej konserwatywną część, traktując rocznicę powstania w getcie jako pałkę do okładania przeciwnika. Zdecydowanie wyświadcza w ten sposób niedźwiedzią przysługę poległym bojownikom z getta.

Co więcej, żonkil ma być deklaracją światopoglądową, bo Rozenek zestawia go z unijną flagą i serduszkiem WOŚP. Pomysłodawcy akcji „Żonkil" powinni chyba podziękować mu za tak wspaniałą promocję ich kampanii. Rozenek wpisał ją bowiem w bieżącą walkę polityczną, skutecznie zniechęcając pokaźną część Polaków do jakiejkolwiek identyfikacji z rocznicowymi obchodami.

PRZYWRACANIE RÓWNOWAGI

Tymczasem brak żonkila w prezydenckiej klapie można odczytywać jako próbę przywrócenia właściwej miary naszej historii. Prezydent oddaje cześć żydowskim powstańcom, ale stara się wyrównywać proporcje. W ostatnich dekadach można było bowiem odnieść wrażenie, że najnowsze dzieje Polski kręcą się wyłącznie wokół relacji z Żydami, przy czym szło to w coraz bardziej niebezpiecznym kierunku – przypisywania Polakom winy za niemieckie zbrodnie i oskarżania ich o genetyczny antysemityzm, czego jaskrawym przykładem były słowa Icchaka Szamira, powtórzone potem przez Jisra'ela Kaca, o polskim antysemityzmie „wyssanym z mlekiem matki".

Polacy byli poddawani silnej presji, aby ukorzyć się za rzekome masowe zbrodnie i w pokorze przyjąć przypisywaną im rolę współsprawców. A ponieważ zbrodniarze nie mogą być bohaterami, cała nasza heroiczna historia miała zostać zakwestionowana. Armia Krajowa? Żołnierze wyklęci? Jedyną miarą wartości tych formacji miał być ich stosunek do mniejszości żydowskiej, bo w tej optyce to Żydzi stawali się centralnym punktem polskiej historii. Ludność tubylcza i jej interesy były zepchnięte na dalszy plan.

> Za pogorszenie wizerunku Żydów w Polsce odpowiadają przede wszystkim władze Izraela oraz nacjonalistyczny obłęd, który ogarnął tamtejsze społeczeństwo

Dlatego trudno nie dostrzegać tego kontekstu przy obchodach rocznicy powstania w getcie. Środowiska liberalne podjęły wyraźną próbę wykorzystania obchodów jako instrumentu przewartościowania historii i wywarcia moralnej presji na społeczeństwo. Przekaz sprowadzał się w istocie do twierdzenia, że oto żydowscy bojownicy, pozbawieni jakiejkolwiek pomocy, w obliczu polskiej znieczulicy (a może wręcz satysfakcji Polaków), zostali skazani na śmierć. I chociaż nie mówiono tego wprost, prowadziło to do logicznego wniosku, że Polacy też ponoszą część winy za ich los. Wobec tego ofiara żydowskich bojowników jest szczególna, zupełnie inna niż chociażby powstańców warszawskich.

Żółty żonkil nie jest więc już tylko symbolem pamięci o poległych. Staje się także afirmacją zupełnie innej optyki historycznej. W tym sensie gest prezydenta Nawrockiego, aby nie przypinać żonkila, staje się całkiem zrozumiały. Nie uwłacza to czci poległych, ale jest wyrazem niezgody na umniejszanie polskiej wrażliwości.

DEMISTYFIKACJA

Jeszcze kilka lat temu taka „niesubordynacja" prawicowego polityka wywołałaby w Polsce potępienie ze strony środowisk liberalnych. Nasłuchalibyśmy się histerycznych ataków, pomówień o antysemityzm i o folgowanie faszystom. Teraz jednak, wobec brutalnej wojny na Bliskim Wschodzie, Żydzi zdecydowanie nie mają dobrej prasy. I nie jest to wyłącznie polska specyfika. W tych okolicznościach liberalny krzyk zmienił się w ciche szemranie Rozenka i jemu podobnych.

Doskonale widać, jak zmiana sytuacji na świecie – choć nie tylko ona jest tego przyczyną – osłabia siłę moralnego szantażu, którego ofiarą padali dotąd Polacy. W obliczu porażających doniesień docierających z Libanu czy ze Strefy Gazy coraz trudniej jest bowiem stosować wobec nas straszak antysemityzmu. Wbijane nam przez lata do głów przekonanie o moralnej wyższości Żydów legło właśnie w gruzach wraz ze zbrodniami popełnianymi przez Izrael na Bliskim Wschodzie. Nikt już chyba nie uwierzy w farmazony, że nasi „starsi bracia w wierze" są najbardziej szlachetnym i nieskalanym narodem na świecie.

W ostatnich miesiącach wielokrotnie mogliśmy się przekonać, jak wygląda izraelska operacja wojenna. Opętani nacjonalistyczną furią żołnierze niszczyli – budynek po budynku – całą Strefę Gazy. Niezależnie od wszelkich różnic, Polakowi trudno było nie mieć tu skojarzeń z wyburzeniem Warszawy przez Niemców w 1944 r. Widzieliśmy też okrucieństwo wobec cywili oraz wolontariuszy działających w obszarze działań zbrojnych. Jeden z nich, Damian Soból z Polski, został – jak wszystko na to wskazuje – z premedytacją zabity przez izraelskie wojska. Nikt nie usłyszał żadnych przeprosin ze strony władz Izraela.

eprasa.pl 9016f0c18b

O tym, jak wygląda dziś izraelska polityka, może świadczyć to, że zamiast żółtego żonkila radykalni nacjonaliści przypinają sobie do klapy żółtą szubienicę, która symbolizuje karę śmierci dla Palestyńczyków uznanych za terrorystów.

Nic więc dziwnego, że wywołuje to falę antyizraelskich nastrojów na całym świecie. Przy czym nie jest to już domena środowisk skrajnie prawicowych. Izraelską politykę potępia dziś także lewica, którą odstręcza agresywny nacjonalizm żydowski. Europejskie rządy też zachowują dystans wobec Izraela ze względu na silną diasporę muzułmańską w ich krajach. Na to wszystko nakłada się niechęć do Donalda Trumpa, który w ostentacyjny sposób wspiera interesy Izraela.

Antyizraelskie nastroje pulsują w całej Europie, zwłaszcza wśród młodych ludzi, i przenoszą się również do Polski. Dużą rolę odgrywają w tym media społecznościowe, które stanowią główne źródło informacji dla najmłodszego pokolenia. Trudno więc znaleźć dziś w tej grupie sympatyków państwa izraelskiego i Żydów.

ZNAK CZASÓW

Ale nie chodzi tylko o lewicę, bo na to wszystko nakłada się jeszcze widoczna nienawiść izraelskich żołnierzy wobec symboli chrześcijaństwa, w szczególności świątyń katolickich. Głośnym echem odbiło się uniemożliwienie patriarsze Jerozolimy kardynałowi Pizzaballi uczestnictwa w nabożeństwie Niedzieli Palmowej. A już przejawem absolutnego zdziczenia było niedawne rozbicie figury Chrystusa na krzyżu przez izraelskiego żołdaka w południowym Libanie. Gdy Radosław Sikorski potępił ten czyn, jego izraelski odpowiednik Gideon Sa'ar uznał słowa polskiego ministra za zniesławienie izraelskich sił zbrojnych i zagroził „niebezpiecznymi konsekwencjami". Trudno dopatrzyć się tutaj jakiejkolwiek refleksji po stronie Izraela. Widać raczej pychę i pogardę wobec polskiego rozmówcy.

Nie oznacza to jednak, że powinniśmy występować w awangardzie przeciwników Izraela. Druga strona tylko na to czeka jako na dowód słuszności swoich twierdzeń o odwiecznym antysemityzmie Polaków. Takie widowisko jak niedawny występ posła Konfederacji Konrada Berkowicza, który wszedł na mównicę sejmową z flagą Izraela ozdobioną swastyką, na pewno jest politycznym błędem. Nie stanowi jednak – co także warto zauważyć – naruszenia żadnej świętości, bo symbole Izraela nie należą w Polsce do sfery sacrum.

Inna rzecz – i to także znak zmieniających się czasów – że nad tym występem szybko (jako społeczeństwo) przeszliśmy do porządku dziennego. Być może wynika to stąd, że jesteśmy zajęci innymi, ważniejszymi dla nas problemami, a może po prostu zgaszenie świec chanukowych przez Grzegorza Brauna stworzyło precedens. Niewykluczone też, że niektórym tego rodzaju gesty pomagają odreagować poczucie krzywdy i upokorzenia, będące skutkiem wcześniejszej antypolskiej nagonki.

> Wbijane nam przez lata do głów przekonanie o moralnej wyższości Żydów legło właśnie w gruzach wraz ze zbrodniami popełnianymi przez Izrael na Bliskim Wschodzie

Tak czy inaczej, Berkowiczowi przyszło na odsiecz izraelskie MSZ, które zażądało od Polski usunięcia posła Konfederacji z Sejmu. To było zbyt wiele nawet dla rządu Tuska, który ustami wiceszefa dyplomacji odpowiedział, że o tym, kto jest posłem w Polsce, a kto nim nie jest, decydują obywatele w wyborach.

RÓWNIA POCHYŁA

Całkiem możliwe, że występ Berkowicza – podobnie jak wcześniejsza akcja Brauna z gaśnicą – był cyniczną próbą podbicia własnych notowań politycznych. I w obecnych okolicznościach taka próba może się okazać udana, co pokazuje, w którą stronę idą dziś nastroje Polaków.

Jak wynika z badań CBOS, w ostatnim roku nastąpił gwałtowny, liczący aż 10 pp. wzrost niechęci do Żydów w Polsce. W tej chwili przyznaje się do niej aż 40 proc. Polaków, choć jeszcze dwa lata wcześniej było to zaledwie 29 proc., a w rekordowym pod tym względem 2017 r. niechęć do Żydów odczuwało jedynie 26 proc. ankietowanych. Powoli wracamy zatem do standardów z lat 90. ub.w., gdy niechętny stosunek do Żydów deklarowało 40 i więcej proc. badanych.

Przytoczone dane wskazują, że opinie o Żydach zaczęły się poprawiać wśród Polaków ok. 2008 r., co zapewne było związane z wymianą pokoleniową. Pierwsze zakłócenia tego trendu pojawiły się w 2018 r. To data nieprzypadkowa, bo właśnie wtedy rozgorzał spór wokół polskiej ustawy antydyfamacyjnej. Po 2023 r. mamy zaś równię pochyłą. To moment, gdy rozpoczęła się wojna w Gazie. Trudno więc nie dostrzec, że za pogorszenie wizerunku Żydów w Polsce odpowiadają przede wszystkim władze Izraela oraz nacjonalistyczny obłęd, który ogarnął tamtejsze społeczeństwo.

Warto w tym kontekście spojrzeć również w drugim kierunku i sprawdzić, jak kształtuje się obraz Polaków w oczach przeciętnych mieszkańców Izraela. Z badań przeprowadzonych w 2024 r. przez Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie wynika, że aż 54 proc. Izraelczyków uważa, że Polacy są „dokładnie w takim samym stopniu" odpowiedzialni za Holokaust jak Niemcy. 28 proc. uznaje częściową odpowiedzialność Polaków, a jedynie 8 proc. sądzi, że Polacy też byli ofiarami. Co szczególnie uderzające, aż 53 proc. mieszkańców Izraela uważa za swojego największego przyjaciela Niemcy. Polska w tym rankingu „przyjaciół" znalazła się na ostatnim miejscu z wynikiem 19 proc.

Z czego to wynika? Bo przecież nie z wiedzy o Polsce i Polakach. To skutek antypolskiej polityki historycznej, wtłaczanej od lat młodym mieszkańcom Izraela w szkołach i podczas osławionych „wycieczek" do niemieckich obozów śmierci w Polsce. W czasie, gdy Polacy próbowali pojednać się z Żydami, druga strona z pogardą odrzuciła ten gest. Warto mieć tego świadomość i wyciągnąć wnioski na przyszłość.

eprasa.pl 9016f0c18b



W proteście na polsko-białoruskiej granicy w listopadzie 2021 r. uczestniczyli m.in. posłanka Magdalena Biejat, aktywista Grupy Granica Jakub Sypniewski, aktorka Maja Ostaszewska oraz Iwo Los także z Grupy Granica

Granica wstydu

Polscy politycy, celebryci i inni przedstawiciele elit mniej lub bardziej świadomie wzięli udział w starannie przygotowanym przez Kreml ataku na Polskę. Nieznane fakty dotyczące genezy i przebiegu operacji „Śluza" ujawni już w poniedziałek 27 kwietnia telewizja wPolsce24



ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Umiejętne kierowanie strumieniami ludzi co najmniej od lat 70. ub.w. jest tajną bronią kremlowskich służb specjalnych. Moskwa używała i używa „inżynierii przymusowej migracji", by destabilizować państwa uważane przez siebie za wrogie.

„Filozoficzną" podbudowę tych działań dał ideolog putinizmu Aleksandr Dugin. Zauważył on, że „kto szybciej opracuje model rozpadu i chaotyzacji społeczeństw innych niż jego własne, ten zwycięży w tej skomplikowanej grze o budowę nowych stosunków międzynarodowych, nowych społeczeństw i nowej filozofii życia".

„Chaos to broń różnorodnego zastosowania" – podkreśla ów najbardziej znany dzisiaj wyraziciel czarnej, mętnej duszy rosyjskiej.

Niechciani, dostający się do danego państwa w niekontrolowany sposób przybysze niosą ze sobą chaos. Zwłaszcza gdy pochodzą z kraju zupełnie obcego kulturowo. Albo gdy mają zadanie robienia krzywdy swoim nowym gospodarzom.

SOWIECKIE MANEWRY

Taki manewr zastosowali Sowieci w latach 70. XX w., kiedy pod naciskiem Amerykanów musieli się zgodzić na wyjazd z ojczyzny proletariatu dużych grup sowieckich Żydów. KGB postanowiła odpowiednio skomponować ten „strumień ludzi". Z gułagów zwalniano najgroźniejszych przestępców: morderców, rządzących sowieckim półświatkiem „worów", co sprytniejszych oszustów. Wystarczył najbardziej mglisty ślad żydowskiego pochodzenia. W ostateczności czekiści po prostu fałszowali dokumenty i delikwent stawał się sowieckim Żydem. Tak wyselekcjonowani emigranci ruszyli do Ziemi Obiecanej. A ponieważ spora część fali nie docierała do Izraela, po drodze kierując się za ocean, „wory", mordercy i pospolici bandyci znaleźli się w Stanach Zjednoczonych. To wówczas rozrosła się słynna „Mała Odessa" w nowojorskim Brighton, to wtedy powstała Organizacja – rosyjska mafia pod wodzą kieszonkowca, recydywisty i jednego z leningradzkich

Fot. WOJTEK RADWANSKI/AFP/East News

eprasa.pl 9016f0c18b

„worów" Jewsieja Agrona, który przybył do Ameryki w 1975 r.

W latach 90. XX w. rosyjska mafia została uznana przez FBI za zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych. Wyrządzane przez nią straty sięgają wielu miliardów dolarów rocznie.

Amerykę zaatakowano w ten sposób jeszcze co najmniej jeden raz. W 1980 r. obywatele państwa Fidela Castro zaczęli przedostawać się na teren ambasady Peru w Hawanie. Zgromadziło się tam ich wiele tysięcy, żądali zezwolenia na migrację do Ameryki. Castro w teorii po prostu ugiął się pod naciskiem międzynarodowym i zezwolił 125 tys. Kubańczykom na opuszczenie wyspy. Tyle że w tym przypadku także doszło do selekcji. Wśród płynących łodziami w kierunku Florydy szczęśliwych uchodźców znaleźli się – wytypowani przez współdziałające z KGB kubańskie służby – gwałciciele, pacjenci szpitali psychiatrycznych, przestępcy i szpiedzy. Efekt? Na Florydzie wybuchły zamieszki, znacznie wzrosła przestępczość, a kubańska diaspora została zinfiltrowana przez wywiad Fidela Castro.

WIEDZA PODRĘCZNIKOWA

Rosjanie uczą o wykorzystywaniu fal migracyjnych jako broni w swoich szkołach wojskowych i podczas kursów dla członków kremlowskiej administracji. Służy do tego np. wydany w 2012 r. podręcznik gen. mjr. Aleksandra Władimirowa „Podstawy ogólnej teorii wojny".

Zagadnienie opisano w rozdziale zatytułowanym „Technologie geopolityczne jako nowe operacyjne środki wojny". Inspirowanie i kontrolowanie przepływu wielkich rzesz ludzi zakwalifikowano jako broń strategiczną z arsenału współczesnej wojny asymetrycznej. Władimirow wskazuje, że jej użycie umożliwia zniszczenie granic politycznych, gospodarczych i kulturowych wrogiego państwa, następnie rozbicie jego integralności terytorialnej, kultury, wartości i sposobu życia danego narodu, a w finale – wymazanie go z mapy i historii.

Na razie Rosjanom to się nie powiodło, choć próby poligonowe wyglądają obiecująco. Jedną z nich było wywołanie przez Putina i Baszszara al-Asada potężnej fali emigracji z ogarniętej krwawą wojną domową Syrii. Operacja udała się doskonale, zwłaszcza że pomogła koleżanka Władimira Angela Merkel, otwierając szeroko europejskie granice w 2015 r. Kryzys, zafundowany Europie przez rosyjsko-niemiecki tandem, trwa do dzisiaj.

Ciekawym studium wymuszenia przez Rosję uległości z wykorzystaniem, jak to mówił całkiem przecież niedawno Donald Tusk, „biednych ludzi szukających swojego miejsca na ziemi", był przypadek Finlandii z przełomu 2015 i 2016 r. Po aneksji Krymu tradycyjnie współpracujące z Moskwą Helsinki ograniczyły dwustronne relacje z Rosją i poparły sankcje gospodarcze nałożone przez Unię Europejską. Putin postanowił ukarać za to Finów, otwierając arktyczny szlak migracyjny. Przybysze z Bliskiego Wschodu i Afryki dostawali się do Moskwy, a potem do Murmańska samolotami, stamtąd zaś byli zwożeni samochodami do Laponii. Wykorzystując lukę w fińskim prawie przekraczali granicę... na rowerach. Helsinki błyskawicznie skapitulowały. W marcu 2016 r. premier Sauli Niinistö udał się z pokutną podróżą do Moskwy, gdzie podpisał stosowne porozumienie z Putinem, przywracające dawną intensywność relacji w zamian za uregulowanie kwestii migracyjnych. Afrykanie nagle przestali pojawiać się w śnieżnej Laponii.

„ŚLUZA" I ŚMIERĆ

Podobnie pomyślana była operacja „Śluza". Zaplanowano ją dzięki wspólnej pracy KGB, Aleksandra Łukaszenki i specjalnej jednostki wojsk pogranicznych OSAM. Początkowo kontrolowane przerzucanie migrantów do państw nadbałtyckich i Polski miało być sposobem na wyduszenie z Unii Europejskiej pieniędzy na „uszczelnienie granicy". Finalnie stało się odwetem za sankcje nałożone na Mińsk po sfałszowanych wyborach z 2020 r.

„Śluza" ruszyła na pełną skalę latem następnego roku. Dziś już wiemy, że Łukaszenka działał w ścisłej współpracy z Rosją, która szykowała się do ataku na Ukrainę i zamierzała zdestabilizować sytuację w państwie mogącym pospieszyć Kijowowi z pomocą – w Polsce.

Na naszą granicę ruszyły hordy zapraszanych na Białoruś nielegalnych imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu. Każda kolejna coraz większa. Każda następna coraz bardziej agresywna. W stronę strażników granicznych i żołnierzy leciały najpierw obelgi i groźby, potem zaś kamienie. Tragicznym finałem tego ciągu zdarzeń było zamordowanie przez próbującego dostać się do Polski bandytę sierż. Mateusza Sitka.

Jak podkreśla najsłynniejsza badaczka „inżynierii przymusowej migracji" Kelly Greenhill, operacja tego typu nie może się udać bez odpowiednio przygotowanych warunków w państwie mającym być ofiarą ataku. Trzeba mieć pewność, że po stronie agresorów stanie przynajmniej część elit: świata nauki, kultury, mediów i polityki. Amerykanka szeroko opisuje działalność spajających te elementy organizacji pozarządowych, działających na rzecz zniesienia ograniczeń migracji. Greenhill wskazuje na zakorzeniony w tych środowiskach paradygmat nakazujący niemal automatyczne działanie „w obronie praw człowieka". Jest on pielęgnowany (materialnie lub choćby propagandowo) przez późniejszych beneficjentów kryzysów migracyjnych.

WSZYSCY LUDZIE PUTINA

Takich ludzi miał w Polsce Putin. Część z nich współpracowała z nim świadomie, część działała na korzyść Kremla nieświadomie, jeszcze inni musieli mieć świadomość, kto jest beneficjentem, ale ich własne korzyści były ważniejsze niż straty państwa.

Byli więc szpiedzy. Na polsko-białoruskiej granicy natychmiast pojawił się Paweł Rubcow, oficer kremlowskich służb znany wówczas jako „hiszpański dziennikarz Pablo González". W listopadzie i grudniu 2021 r. jeździł po Sokólszczyźnie i kręcił się przy przejściach granicznych. W internecie wciąż można zobaczyć wykonane przez niego zdjęcia przedstawiające zamieszki, do których doszło w Kuźnicy. „González" szeroko opisywał brutalność polskich służb

eprasa.pl 9016f0c18b

wobec migrantów, malując obraz „piekła", jakie źli strażnicy graniczni i wojsko zgotowali głodującym i zamarzającym rodzinom z dziećmi. Rosyjski szpieg podawał fałszywe informacje o zabitych przez służby imigrantach, a jego partnerka (do dzisiaj współpracująca z niektórymi polskimi mediami) Magdalena Chodownik płakała nad losem „osób migranckich".

W jednym szeregu z Rubcowem stawały indywidua w rodzaju Bartosza Kramka, współpracującego z politykami Platformy Obywatelskiej działacza finansowanej z zagranicy Fundacji Otwarty Dialog. Kramek wymyślił i przeprowadził akcję niszczenia zasieków postawionych na granicy przez wojsko. Swój happening zapowiedział na łamach „Gazety Wyborczej", która ze wszystkich sił – szczególnie piórami swojej białostockiej redakcji – kreśliła wizerunek imigrantów jako bezbronnych ofiar służb i rządu PiS jako bezwzględnych oprawców. Podobny sznyt miały materiały TVN. Stacja z Wiertniczej bez żenady i żadnej weryfikacji puszczała np. bajki z mchu i paproci o migrancie, którzy przez sześć dni płynął Bugiem ku upragnionemu szczęściu i wolności.

Obok szpiegów, dziwnych ludzi i mediów stanęli oczywiście przedstawiciele trzeciego sektora. Szefowa Strajku Kobiet Marta Lempart obrażała strażników granicznych i wygrażała im. „Wszyscy wiemy, co się dzieje od paru tygodni na granicy, prawda? Co się dzieje? Straż Graniczna robi z ludźmi to, co może najgorszego. Wyrzuca ich z powrotem na Białoruś. Co my na to? Wyp..., Straż Graniczna! Przyjdziemy po was, jeśli będzie taka potrzeba" – wrzeszczała podczas jednej z demonstracji. W walkę z polityką rządu PiS wobec migrantów angażowały się też poważniejsze NGO.

„To są ludzie, którzy umierają w tym momencie pod drzewami" – opowiadała drżącym głosem Marta Górczyńska, prawniczka z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Do akcji wspierania „Śluzy" włączyli się artyści, pisząc listy otwarte do rządu i nagrywając łzawe filmy, w których oskarżali władzę o bezduszność, a czasem wprost o dokonywanie zbrodni. Różnej maści celebryci, jak Piotr Zelt czy Barbara Kurdej-Szatan, w knajackim stylu obrażali funkcjonariuszy. Samorządy, te najbardziej progresywne, jak Gdańsk i Wrocław, nagradzały „aktywistów" pomagających nielegalnie dostać się do Polski ludziom z Bliskiego Wschodu i Afryki.

> Operacja „inżynierii przymusowej migracji" nie może się udać bez odpowiednio przygotowanych warunków w państwie mającym być ofiarą ataku. Trzeba mieć pewność, że po stronie agresorów stanie przynajmniej część elit: świata nauki, kultury, mediów i polityki

Świąteczny klip, w którym pokazywano rodzinę dobrych, oświeconych Polaków pakujących się, by jechać i pomagać migrantom przedostać się do przez zieloną granicę do naszego kraju, nagrali sędziowie z inicjatywy Wolne Sądy. Ciekawe, jak dzisiaj czują się ich koledzy, którzy mają rozpatrywać sprawy działaczy oskarżanych przez prokuraturę o uczestnictwo w przestępstwie handlu ludziom...

Na tym wszystkim kapitał polityczny zbijali politycy ówczesnej opozycji. Ci pomniejsi biegali po granicy z torbami i pudełkami pizzy albo znieważali strażników granicznych. Ich lider Donald Tusk sączył nienawistny przekaz o „pisowskiej propagandzie", która dehumanizuje „biednych ludzi", szukających przecież u nas „swojego miejsca do życia".

WYGRANA I PRZEGRANA

Państwo polskie wytrzymało wówczas presję. Udało się zepsuć „Śluzę". Kiedy Putin szturmował Kijów, w Polsce nie mieliśmy dziesiątek tysięcy imigrantów Łukaszenki. Gdybyśmy ich mieli, nie udzielilibyśmy tak chętnie pomocy prawdziwym uchodźcom z krwawiącej obficie Ukrainy.

Jednocześnie państwo polskie przegrało wojnę z Putinem. M.in. dzięki histerii rozpętanej na przełomie 2021 i 2022 r. Donaldowi Tuskowi udało się namalować obraz PiS jako bezwzględnych bandziorów, dla których ludzkie życie nic nie znaczy. Choć w samej kampanii przekaz był subtelniejszy (z badań wyszło, że Polacy chcą przede wszystkim bezpieczeństwa), to co bardziej wrażliwą na temat praw człowieka grupę elektoratu mobilizowano do samego końca – przypomnijmy, że obrzydliwa „Zielona granica" Agnieszki Holland miała premierę niespełna miesiąc przed wyborami. Cel został osiągnięty, nastąpiła zmiana władzy.

Przegraliśmy też jako społeczeństwo. Gwiazdy ówczesnych protestów i wulgarnych demonstracji wciąż ciągną państwowe pieniądze. Rzucające „k...mi" i „ch...mi" „autorytety moralne" wciąż są przez część z nas uznawane za autorytety. Skompromitowane media mają się dobrze, pożerając tłuste budżety reklamowe spółek Skarbu Państwa. A dyrygent tej orkiestry jest premierem i ma szansę zostać nim na kolejną kadencję.

Nie wyciągnęliśmy wniosków, nie ukaraliśmy winnych. Kolejna operacja z użyciem „inżynierii przymusowej migracji" będzie więc skuteczniejsza. Na Kremlu tym razem strzelą korki od szampana.

wPolsce24

Nieznane fakty dotyczące genezy i przebiegu operacji „Śluza" są tematem reportażu, który będą mogli państwo obejrzeć w poniedziałek 27 kwietnia o godz. 20.10 na antenie telewizji wPolsce24.

eprasa.pl 9016f0c18b

Prywatyzacja wojny



MAREK BUDZISZ

Ewolucja współczesnego pola walki zaciera granicę między światem cywilnym i wojskowym. Coraz więcej prywatnych firm jest zaangażowanych w obronę przestrzeni powietrznej Ukrainy. Dlaczego? Bo charakter wojny zmienił się zasadniczo. Państwo nie może gromadzić szybko starzejącego się sprzętu. Powinno zadbać o to, aby sektor prywatny nadążał za postępem technologicznym i w razie zagrożenia mógł skokowo zwiększyć produkcję. Tylko w ten sposób bez nadmiernych wydatków może zapewnić sobie bezpieczeństwo

W marcu ukraińska korespondentka niemieckiej stacji DW napisała o działalności pierwszych na świecie prywatnych firm broniących przestrzeni powietrznej Ukrainy. Jedna z nich, Carmina Sky, która „realizuje usługi obrony przeciwlotniczej”, od stycznia br. ustawiła w całym kraju wieże, na których zamontowano karabiny maszynowe. Są one połączone w jeden system, którego skomputeryzowane centrum operacyjne jest oddalone o kilkaset kilometrów od miejsc, w których znajdują się stanowiska ogniowe. Na wieżach prócz karabinów zamontowano również zautomatyzowane systemy naprowadzania, co znakomicie redukuje rolę człowieka. Jak powiedział dziennikarzom jeden z menedżerów firmy, ludzie pracujący w centrum sterowania tym systemem „muszą jedynie potwierdzić sytuację”, czyli zweryfikować, czy system naprowadzania rzeczywiście prawidłowo rozpoznał cel w postaci wrogiego Gerana. I na razie to człowiek otwiera ogień. Skuteczność tego systemu wynosi 85 proc., a „operatorami” są ludzie różnych profesji, którzy po to, aby skutecznie bronić ukraińskiego nieba, przeszli krótkie przeszkolenia. Gwardia, inna prywatna firma działająca w branży usług obrony nieba, wybrała inną drogę i jej pracownicy – przede wszystkim weterani, którzy wrócili z frontu i znaleźli nowe miejsce pracy – używają dronów przechwytujących, których obsługi – jak deklarowali menedżerowie firmy – „można nauczyć się w miesiąc”.

Ciekawa była reakcja przedstawicieli ukraińskiego MON pytanych przez zaskoczonych sytuacją dziennikarzy, czy rzeczywiście sprywatyzowali tak ważne zadania. „Nic nie jest przekazywane w ręce prywatne” – brzmiała odpowiedź. „Rząd jedynie daje niezależnym firmom, takim jak Carmine Sky, możliwość włączenia się do systemu obrony powietrznej kraju i samodzielnej ochrony różnych obiektów”. Według wojska do marca 2026 r. niezbędne zezwolenia otrzymało 16 firm, system działa i będzie rozwijany. Jeden z ekspertów potwierdził, że prywatna obrona powietrzna „nie zastępuje państwowej obrony powietrznej, a raczej ją zwielokrotnia”.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9016f0c18b

WSPÓLNE PRZEDSIĘWZIĘCIA

W minionym tygodniu Wołodymyr Zełenski ogłosił plan Drona Deal, czyli system porozumień strategicznych, które państwo ukraińskie chce zawrzeć z 11 partnerami – w tym trzema z regionu Bliskiego Wschodu – w sprawie współpracy obronnej i przemysłowej. Jak informowała niedawno stacja BBC, już obecnie w państwach rejonu Zatoki Perskiej działa 230 ukraińskich pilotów dronów przechwytujących, którym w świetle doniesień anonimowych przedstawicieli władz udało się unieszkodliwić kilkanaście irańskich Shahedów. Musimy przy tym pamiętać, że zapytania ofertowe otrzymują prywatni producenci, a pilotami dronów są najczęściej oficerowie SBU, czyli ukraińskiego wywiadu, lub „pracownicy" firm, takich jak Wild Hornets, produkującej drony przechwytujące. Zresztą granica między statusem żołnierza służby czynnej a przedsiębiorcą i pracownikiem prywatnej firmy jest na Ukrainie płynna. Sam rozmawiałem z właścicielem dużej „firmy dronowej", który „zatrudnia" wyłącznie urlopowanych bądź zdemobilizowanych żołnierzy. Warto też pamiętać, ż każdy z korpusów frontowych ma własne warsztaty, a często już fabryki, w których buduje się, naprawia czy modyfikuje systemy bezzałogowe.

W realiach ukraińskich państwo odgrywa rolę zewnętrznego czynnika, który „nie przeszkadza", stara się wspierać, a tak jak w przypadku relacji z partnerami z rejonu Zatoki Perskiej – wykorzystuje też polityczno-biznesową sposobność, realizując przy okazji cele polityczne. Było to zresztą bardzo wyraźnie widoczne w czasie niedawnego tournée dyplomatycznego Zełenskiego i ministra obrony Fiodorowa po państwach Europy Zachodniej. W Niemczech podpisano sześć umów o współpracy i partnerstwie strategicznym, w których po obu stronach uczestniczą producenci prywatni. Fire Point, największa ukraińska firma będąca dostawcą dronów dalekiego zasięgu i systemów rakietowych, zawarła już porozumienia zakładające budowę fabryk z Niemcami, Danią, Holandią, Norwegią, podobne negocjuje również ze Szwecją i Włochami. Denis Stillerman, założyciel i główny konstruktor tej firmy, zaproponował ostatnio w rozmowie z Agencją Reutera budowę europejskiej Żelaznej Kopuły, czyli systemu ochrony przestrzeni powietrznej bazującej na ukraińskich zdolnościach do przechwytywania rakiet i dronów przeciwnika oraz europejskich stacji radarowych i systemów optycznych. Za realizację tego przedsięwzięcia miałyby odpowiadać firmy prywatne, choć porozumienie między rządami także jest niezbędne, by w ogóle ono wystartowało.

> Paradoksalnie w wojnach przyszłości frontem mogą stać się dzisiejsze tyły, a na linii styczności wojsk będzie względnie spokojnie. Nie jest to dobra wiadomość dla cywili, bo to oni, ich miejsca zamieszkania, urzędy i fabryki będą atakowane w sposób celowy i zmasowany

NIEMIECKIE PLANY I PROBLEMY

Przyszłość – również w segmencie wojskowym – należy do prywatnych podmiotów komercyjnych. Rządy będą realizowały tego rodzaju plany, bo zostaną zmuszone do „prywatyzacji" niektórych rozwiązań. Dobrym przykładem są Niemcy, które właśnie opublikowały swoją pierwszą strategię bezpieczeństwa. Minister Boris Pistorius powiedział na konferencji prasowej, że „naszą ambicją jest stworzenie najsilniejszej armii lądowej w Europie", co Wolfgang Ischinger, szef Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, skwitował lakonicznym wpisem: „Przed nami długa droga". W istocie. Koncepcja Pistoriusa zapowiada rozbudowę kadrową Bundeswehry – jak ujawnił „Tagesspiegel" – do 260 tys. żołnierzy w 2035 r., których dodatkowo ma wspierać 200 tys. przeszkolonych i aktywnych rezerwistów. Sęk w tym, że młodzi Niemcy, mówiąc eufemistycznie, nie garną się do służby w siłach zbrojnych i w ubiegłym roku, mimo głośnych deklaracji polityków, potencjał kadrowy sił zbrojnych naszego zachodniego sąsiada nie uległ znaczącemu zwiększeniu. O ile Pistorius cieszył się, że na koniec 2025 r. liczba żołnierzy służby czynnej wzrosła do 184,2 tys. mężczyzn i kobiet, dane te należy zestawić z 2022 r., kiedy było ich 183 tys. Mimo większych zachęt finansowych w trzy lata udało się przyciągnąć netto – czyli uwzględniając odejścia do rezerwy – jedynie 1,2 tys. ochotników więcej. Nie lepiej jest z rezerwistami i może dlatego skupiająca ich organizacja zaproponowała oficjalnie, aby podnieść wiek, do którego mogą być powoływani na ćwiczenia oraz w razie zagrożenia do wojska. Teraz miałoby to być 70 lat, bo jak oficjalnie uzasadniono, „ludzie są dłużej sprawni". Być może, ale równolegle w Niemczech dyskutuje się o zmianach prawnych, które pozwoliłyby na przyciągnięcie do służby w wojsku cudzoziemców, a niektórzy mówią o prywatnych firmach wojskowych.

DRONOWA REWOLUCJA

Ewolucja współczesnego pola walki zaciera zresztą granicę między światem cywilnym i wojskowym. Clara Kaluderovic, ekspert Atlantic Council, zwróciła uwagę, że już obecnie ukraiński front „obsługuje" 58 centrów danych po ukraińskiej i 251 po rosyjskiej stronie. Te ośrodki obliczeniowe, w których zbierane i przetwarzane są dane pozyskane przez miliony aktywnych na froncie sensorów, nie muszą i w przyszłości nie będą obsługiwane przez klasycznych „wojskowych", nawet jeśli ubierze się w mundury specjalistów. Z podobną sytu-

eprasa.pl 9016f0c18b


Analiza danych zbieranych przez drony jest dokonywana z dala od linii frontu

acją będziemy mieć do czynienia w przypadku operatorów systemów bezzałogowych. Obecnie na Ukrainie szkoli się ich w prywatnych, często organizowanych we współpracy z jednostkami liniowymi szkołach pilotażu dronów. Ci specjaliści frontu raczej oglądać nie będą, bo są zbyt cenni, aby narażać ich życie.

Sergiej Lefter, oficer prasowy 7. Korpusu Wojsk Powietrzno-Desantowych, który odpowiada za obronę na kierunku pokrowskim, opowiedział portalowi NV, jak dziś, czyli w kwietniu 2026 r., wygląda linia frontu. Oprócz strefy walk i przylegającego doń pasa terenu, gdzie atakuje się każdy przemieszczający się cel, ostatnio żołnierze koncentrują się na obszarze „uderzeń głębokich", sięgającym do 100 km od linii styczności z siłami wroga. Przejmuje się w nim kontrolę nad trasami komunikacyjnymi, paraliżując logistykę przeciwnika. W tym opisie istotne dla naszych rozważań jest to, że na Ukrainie można być żołnierzem korpusu liniowego, działając z odległości kilkudziesięciu kilometrów od umownej linii frontu.

Denis Kapustin, stojący na czele rosyjskiego korpusu ochotniczego walczącego po stronie Ukrainy, powiedział niedawno na konferencji prasowej, że Rosjanie są już obecnie w stanie zaatakować dronami na światłowodach stolicę Estonii, nawet nie przekraczając granicy między obydwoma państwami. Czy tego rodzaju „incydenty" mogą stanowić efekt aktywności firm prywatnych? Oczywiście, że tak. Niedawne „naloty" balonów z kierunku Białorusi na Litwę w świetle oficjalnej narracji miały być efektem działań grup przemytniczych. Ale jaki problem, aby uzbroić je w ładunki wybuchowe?

To niejedyny przejaw „prywatyzacji" wojny i rosnącego znaczenia cywilów w tym obszarze. Na Ukrainie rewolucja dronowa była możliwa dlatego, że jest to domena rozwiązań typu *dual use*, czyli podwójnego przeznaczenia. Najlepszym przykładem jest tutaj firma Greentech Harvest, ukraiński podmiot, który wraz z holenderskim koncernem wojskowym VDL ma w Limburgii budować fabrykę dronów. Do wojny ta pierwsza firma zajmowała się lotnictwem precyzyjnym i budowała systemy bezzałogowe, których celem było też realizowanie usługowych oprysków pól z powietrza. Teraz buduje drony zwiadowcze i bojowe, ale po wojnie wróci do swej pokojowej specjalizacji. Dlaczego? Z tego powodu, że produkcja systemów bezzałogowych na zapas nie ma najmniejszego sensu. Ich rozwój jest tak szybki, że statystycznie – jak obliczyli eksperci francuskiego think tanku IFRI – co sześć miesięcy pojawia się nowa generacja sprzętu, który zresztą szybko się starzeje. Ich baterie i systemy optyczne po roku leżenia w magazynach nie będą się nadawały do użytku, co oznacza, iż współczesna armia, gdyby chciała iść tą drogą, wyda setki milionów na zakup systemów, które po 12 miesiącach trzeba będzie gruntownie naprawiać albo wyrzucić.

Jakie jest zatem rozwiązanie tego problemu? Kupowanie zdolności w sektorze prywatnym. Państwo nie zamawia szybko starzejącego się sprzętu, ale dba o to, aby prywatne firmy nadążały za postępem technologicznym i mogły w razie potrzeby skokowo zwiększyć produkcję. W związku z tym to nie armia będzie też szkolić operatorów szybko ewoluującego sprzętu.

Obecnie za rekrutację do brytyjskich sił zbrojnych odpowiada prywatna firma. Efekty nie są może o wiele lepsze niż wówczas, kiedy zadanie to realizowało wojsko, ale z pewnością koszty są niższe. Ukraińcy posługują się systemami łączności prywatnego Starlinka, pozyskują zdjęcia satelitarne od prywatnych podmiotów aktywnych na tym rynku, a w przyszłości prywatni operatorzy mają odpowiadać również za infrastrukturę, której będzie używało wojsko. Z nowego wydania raportu Global AAM/UAM Market Map wynika, że już na świecie buduje się ponad 1,5 tys. westiportów, czyli lotnisk dla dronów i innych systemów pionowego startu. W tej domenie – podobnie jak w wielu innych – przodują Chińczycy, wznosząc ich niemal 800, ale w przyszłości będą one obsługiwane przez firmy cywilne, nawet jeśli zacznie z nich korzystać wojsko.

ZNIKAJĄCA LINIA FRONTU

Jeśli sytuacja na froncie ulega „zamrożeniu" – bo trudno jest pokonać 100-kilometrowy pas terenu nadzorowany przez drony wszystkich możliwych typów i rodzajów – to rośnie znaczenie wojny bezkontaktowej, prowadzonej przy użyciu rakiet i systemów dalekiego zasięgu. Tylko w ten sposób można dosięgnąć i boleśnie ugodzić przeciwnika, starając się złamać jego wolę walki. To oznacza z kolei, że paradoksalnie w wojnach przyszłości frontem mogą stać się dzisiejsze tyły, a na linii styczności wojsk będzie względnie spokojnie. Nie jest to dobra wiadomość dla cywili, bo to oni, ich miejsca zamieszkania, urzędy i fabryki będą atakowane w sposób celowy i zmasowany. Jeśli rozmyciu ulegnie rozróżnienie front–tyły, to z podobną ewolucją będziemy mieć do czynienia w przypadku umownych przestrzeni świata cywilnego i wojskowego. Dzisiejsi „cywile" staną się żołnierzami frontu przyszłej wojny i choćby z tego powodu warto myśleć, jak się przygotować do nadchodzących wyzwań.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9016f0c18b

Na geja, na ateistę, na żonę

Kancelarie prawne i firmy doradcze pobierają tysiące funtów za pomoc migrantom w udawaniu homoseksualistów lub ateistów albo jedno i drugie, by otrzymać azyl w Wielkiej Brytanii. A jak chcą ściągnąć żonę? „To zrobimy z niej lesbijkę"



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W centrum kultury w cichym zakątku Beckton we wschodnim Londynie ponad 175 osób zebrało się na spotkaniu zorganizowanym przez Worcester LGBT, grupę wsparcia dla gejów i lesbijek ubiegających się o azyl. Niektórzy przyjechali z tak odległych miejsc jak południowa Walia, Birmingham i Oksford. Organizacja reklamowała spotkanie jako inkluzyjne wydarzenie dla osób queer. Na ulotce widniał meczet na tle fajerwerków, oczywiście w kolorach tęczy. Tyle że – jak twierdzi brytyjski nadawca publiczny BBC – gejów i lesbijek było tam jak na lekarstwo.

Większość mężczyzn biorących w nim udział otwarcie przyznało, że nie są homoseksualistami. „Nikt tu nie jest gejem. Nawet 1 proc. nie jest gejem. Nawet 0,01 proc. nie jest gejem" – powiedział jeden z uczestników o imieniu Zeeshan. Dlaczego więc przybyli do Beckton? Bo udawanie homoseksualizmu, za co w kraju pochodzenia może im grozić śmierć, jest ich jedyną szansą na pozostanie w Wielkiej Brytanii i otrzymanie azylu.

Dziennikarze publicznego nadawcy działający pod przykrywką odkryli całą sieć firm prawniczych i doradczych, które pobierają tysiące funtów za pomoc imigrantom w udawaniu homoseksualistów. „Migranci, których wizy wkrótce wygasną, otrzymują zmyślone biografie oraz instrukcje, jak zdobyć sfabrykowane dowody, w tym listy, zdjęcia i zaświadczenia lekarskie. Następnie ubiegają się o azyl, twierdząc, że są gejami i obawiają się o swoje życie, jeśli wrócą do Pakistanu lub Bangladeszu, gdzie homoseksualizm jest nielegalny" – czytamy na stronach internetowych BBC.

Często są to osoby, których wizy studenckie, pracownicze lub turystyczne straciły ważność, a nie migranci, którzy przybyli do kraju na małych łódkach lub innymi nielegalnymi szlakami.

WSZYSTKO ZMYŚLONE

Worcester LGBT zostało założone w 2018 r. przez Mazedula Hasana Shakila, asystenta prawnego w kancelarii Law & Justice Solicitors, specjalizującej się w prawie imigracyjnym i posiadającej siedziby w Birmingham oraz Londynie. W ub.r. Shakil oraz jego rzekomo homoseksualni podopieczni wzięli udział w Paradzie Równości w brytyjskiej stolicy. Z tej okazji przekonywał, że jest „przepełniony dumą". Zdjęcia ubranych na pomarańczowo uczestników z Worcester LGBT obiegły media. Dopiero w marcu Shakil ostro skrytykował reformę imigracyjną brytyjskiego rządu, zgodnie z którą osoby, których wnioski o azyl zostaną rozpatrzone pozytywnie, otrzymają teraz jedynie 30 miesięcy pozwolenia na pobyt, natomiast podstawowy okres kwalifikacyjny do uzyskania stałego osiedlenia (pozwolenia na pobyt na czas nieokreślony) zostanie wydłużony z 5 do 20 lat. Mocno ograniczony zostanie także mechanizm łączenia rodzin.

Według Shakila dla wielu uchodźców LGBT+ „odbudowa życia po prześladowaniach wymaga stabilizacji, czasu i dostępu do wsparcia ze strony społeczności". „Polityka zwiększająca niepewność może wywierać dodatkową presję psychologiczną i praktyczną na osoby, które wciąż dochodzą do siebie po traumie" – dodał. Tyle że według BBC ta trauma jest zmyślona, podobnie jak orientacja seksualna migrantów.

Podstawionego przez brytyjskiego nadawcę publicznego dziennikarza udającego studenta z Pakistanu Shakil wysłał do „doradczyni", która mu wyjaśniła, że jego jedyna szansa na pozostanie w Wielkiej Brytanii to udawanie geja. „To wiza azylowa, która dotyczy praw człowieka. Nie ma nadziei na żadną inną wizę. […] Na szczęście nie ma żadnych badań, które pozwoliłyby stwierdzić, czy dana osoba jest gejem" – zaznaczyła. Zaproponowała mu także cały pakiet usług, w tym zrobienie mu zdjęć w klubach gejowskich oraz na wydarzeniach LGBT+, a także pisemne świadectwa od zmyślonych partnerów seksualnych, by uwiarygodnić go jako homoseksualistę. Przy okazji chwaliła się, że fałszywe wnioski o azyl humanitarny sporządza „już

eprasa.pl 9016f0c18b

od 17 lat". Wstępna cena: 2,5 tys. funtów. A gdyby chciał ściągnąć żonę z Pakistanu? „Zrobimy z niej lesbijkę".

BYĆ GEJEM LUB OBRAŻAĆ PROROKA

Według BBC takich kancelarii prawniczych i doradców jest na Wyspach mnóstwo. Ceny za sporządzenie fałszywego życiorysu wraz z dowodami (włącznie z fałszywym gejowskim partnerem) mogą sięgać nawet 7 tys. funtów. Według danych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych liczba osób ubiegających się o azyl w Wielkiej Brytanii spadła w ubiegłym roku o 4 proc. – do 100 625. 35 proc. tych wniosków pochodziła od osób twierdzących, że należą do społeczności LGBT+ lub są prześladowani w swoich krajach pochodzenia z powodu ateizmu lub poglądów politycznych. Jak czytamy na stronach BBC, wiele kancelarii oferuje migrantom właśnie te trzy sposoby na pozostanie w Wielkiej Brytanii. Londyński prawnik Zahid Hasan Akhand poinformował dziennikarza udającego studenta z Bangladeszu, że „ma wybrać, czy chce być gejem, ateistą, czy politycznym aktywistą". Gdyby reporter chciał ogłosić się ateistą, proces rozpocząłby się od zamieszczania w mediach społecznościowych postów obrażających islam lub proroka Mahometa. „Duchowni religijni zaczną pisać komentarze, grożąc, że cię zabiją. No i dowody gotowe" – przekonywał Akhand. Prawnik przedstawił mu wiele organizacji ateistycznych w Wielkiej Brytanii i Bangladeszu, które prowadzą blogi, na których za opłatą mógłby zamieszczać wpisy, co ponownie uwiarygodniłoby jego twierdzenia. Zasugerował także, by korzystał z narzędzi sztucznej inteligencji – takich jak ChatGPT – do pisania postów lub artykułów oraz wystąpił na wydarzeniach organizowanych przez apostatów, czyli muzułmanów, którzy przestali nimi być, by „mieć także nagrania wideo". „Nie da się jednoznacznie stwierdzić, czy ktoś rzeczywiście jest ateistą, inaczej niż w przypadku aktywizmu politycznego" – dodał. Sukces jest więc, jak zaznaczył, „jeśli Bóg chce, gwarantowany".

Przy okazji BBC odkryło fałszywe strony internetowe, gdzie migranci utrzymujący, że są zarówno ateistami, jak i gejami, umieszczali artykuły o doświadczonych przez nich rzekomo prześladowaniach. Załączone były całkowicie sfabrykowane dokumenty sądowe z ich krajów pochodzenia, które miały uwiarygodnić te twierdzenia. A także dokumenty medyczne świadczące o tym, że cierpią na depresję, a nawet są zarażeni wirusem HIV. Wszystko oczywiście zmyślone.

ZEPSUTY SYSTEM

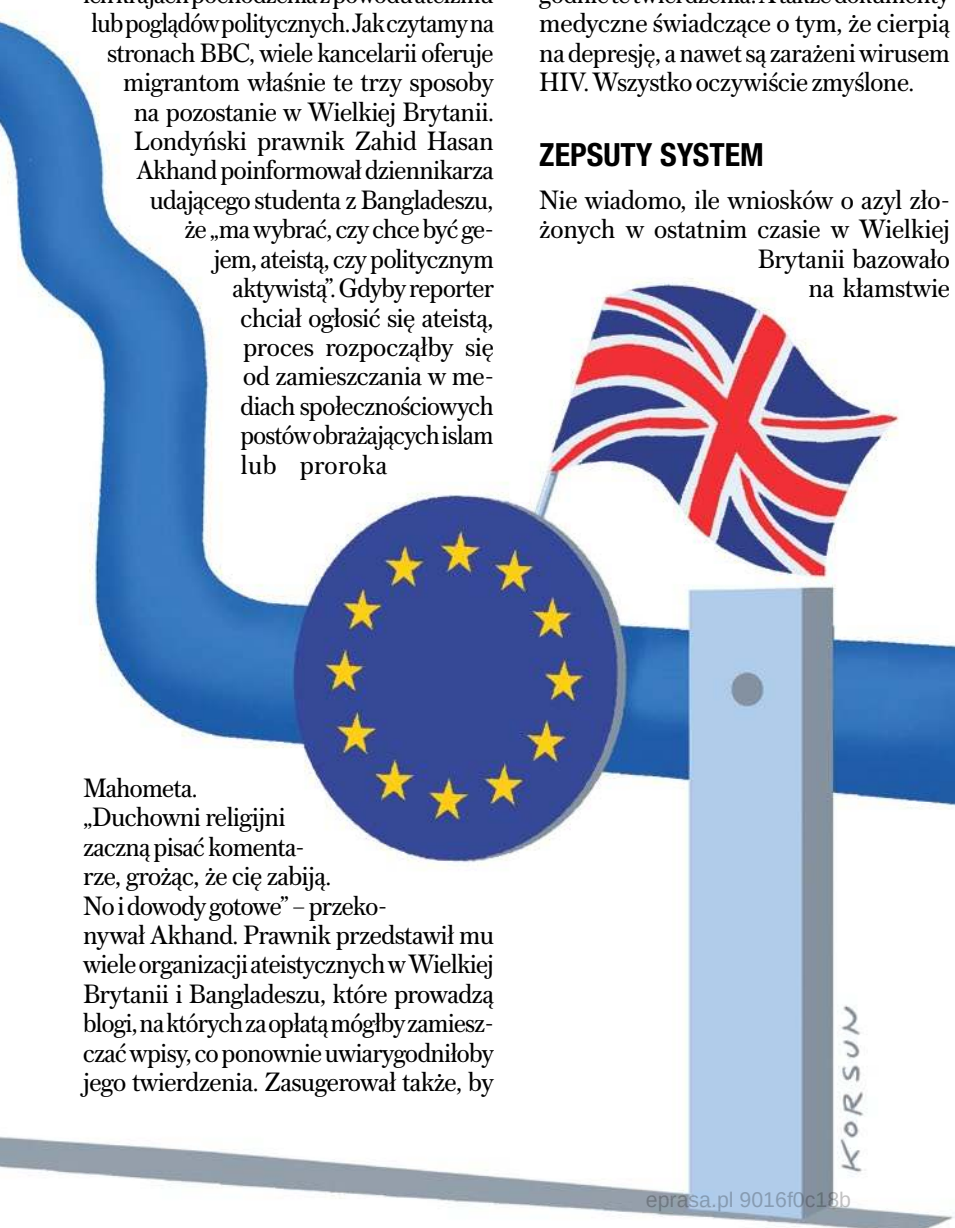
Nie wiadomo, ile wniosków o azyl złożonych w ostatnim czasie w Wielkiej Brytanii bazowało na kłamstwie o homoseksualizmie i ateizmie. Jak pisze BBC, statystyki MSW pokazują tylko, że obywatele Pakistanu stanowią nieproporcjonalnie dużą liczbę osób ubiegających się o azyl ze względu na orientację seksualną. W 2023 r. – ostatnim, dla którego dostępne są dane – podjęto wstępne decyzje w sprawie 3430 wniosków o azyl osób LGBT+ oraz złożono prawie 1,4 tys. nowych wniosków o azyl ze względu na orientację seksualną. Ok. 42 proc. z nich złożyli obywatele Pakistanu, którzy stanowią zaledwie 6 proc. wszystkich wnioskujących o azyl.

Po śledztwie BBC organizacja Worcester LGBT została rozwiązana, a jej strona internetowa przestała działać. Minister spraw wewnętrznych w gabinecie cieni, polityk torysów Chris Philp powiedział, że śledztwo BBC „ujawniło kłamstwo leżące u podstaw wielu wniosków o azyl", a wskazani doradcy prawni „powinni zostać oskarżeni o oszustwa imigracyjne". „Cały system jest zepsuty" – dodał. Jego zdaniem „system azylowy musi zostać gruntownie zreformowany, tak aby azyl otrzymywała jedynie bardzo niewielka liczba osób, którym grożą rzeczywiste prześladowania osobiste i które mają na to dowody". Tyle że azyl można uzyskać także w inny, oszukańczy sposób.

FIKCYJNE MAŁŻEŃSTWA

We Francji, w podparyskim departamencie Val-de-Marne rozbito siatkę, która legalizowała pobyt migrantów przez fikcyjne małżeństwa. Kobietom posiadającym obywatelstwo francuskie płacono nawet 9 tys. euro za każdy ślub. Beneficjentami byli żyjący nielegalnie nad Sekwaną Algierczycy, którzy mają znikome szanse na azyl. Jak twierdzi radio Europe 1, jedna z kobiet wyszła za mąż aż trzy razy. Gdy nadchodził wielki dzień, wprowadzano cały protokół, aby nikt niczego nie podejrzewał. Wzywano fałszywych świadków, wypożyczano prawdziwą suknię ślubną.

System działał przez prawie dwa lata. W sumie w ratuszu w Nogent-sur-Marne zawarto 31 fikcyjnych małżeństw. Spośród ośmiu osób aresztowanych od stycznia sześć otrzymało już formalne zarzuty. Grozi im do 10 lat więzienia, a fałszywym małżonkom – 5 lat i grzywna w wysokości do 15 tys. euro.



eprasa.pl 9016f0c13b

Ryzykowna tranzycja



DOROTA ŁOSIEWICZ

Nastolatkowie trafiający do ośrodków zajmujących się tożsamością płciową znacznie częściej niż ich rówieśnicy potrzebują specjalistycznej pomocy psychiatrycznej – taki wniosek płynie z badań prowadzonych przez fiński zespół prof. Riittakerttu Kaltiali. Podobne spostrzeżenie formułuje Grzegorz Górny w książce „Kto chce ukraść ciała naszych dzieci" i podaje wiele argumentów uderzających w obecny model opieki nad osobami z dysforią płciową

Badacze przeanalizowali częstotliwość występowania poważnych zaburzeń psychicznych wśród fińskiej młodzieży poniżej 23. roku życia kierowanej do klinik tożsamości płciowej w latach 1996–2019. Z ustaleń wynika, że po 2010 r. profil pacjentów uległ istotnym zmianom. Najbardziej zauważalny jest gwałtowny wzrost liczby zgłoszeń – od tego czasu liczba osób trafiających do takich placówek zwiększyła się 10-krotnie. Zmieniła się też struktura wiekowa i płciowa pacjentów: obecnie dominują nastolatki urodzone jako dziewczęta. Osoby zgłaszające się po 2010 r. wykazują wyraźnie większe potrzeby w zakresie leczenia psychiatrycznego niż wcześniejsze grupy. Odsetek pacjentów wymagających specjalistycznej opieki jeszcze przed pierwszym kontaktem z kliniką wzrósł z 23,7 proc. (lata 1996–2010) do 47,9 proc. (lata 2011–2019). Co więcej, wysoki poziom problemów psychicznych utrzymuje się także po rozpoczęciu leczenia – wśród osób zgłaszających się po 2010 r. aż 61,3 proc. nadal potrzebowało opieki psychiatrycznej co najmniej dwa lata po pierwszej wizycie.

ŹRÓDŁO PROBLEMÓW

Zdaniem fińskich naukowców wzrost zapotrzebowania na pomoc psychiatryczną po tranzycji może mieć kilka przyczyn. Jedną z nich jest wpływ hormonów na nastrój – estrogeny stosowane w procesie feminizacji mogą sprzyjać objawom depresyjnym, natomiast hormony maskulinizujące mogą poprawiać samopoczucie tylko przejściowo. Kolejnym czynnikiem są niespełnione oczekiwania. Część pacjentów może doświadczać rozczarowania efektami leczenia, które nie odpowiadają ich wcześniejszym wyobrażeniom. Badacze zwracają też uwagę, że u niektórych młodych osób dysforia płciowa może być wtórna wobec innych, poważnych zaburzeń psychicznych. W takich przypadkach interwencje medyczne nie rozwiązują podstawowych problemów, które wymagają odrębnej terapii. Nie można też wykluczyć, że same procedury medyczne u części pacjentów mogą negatywnie wpływać na ich stan psychiczny i przyczyniać się do jego pogorszenia.

I to jest jeden z najciekawszych wątków, który wyłania się z badań, czyli pytanie o źródła cierpienia młodych ludzi. Czy dysforia płciowa jest główną przyczyną problemów psychicznych? Czy raczej współwystępuje z innymi trudnościami? A może kluczową rolę odgrywa środowisko społeczne – akceptacja lub jej brak? Zespół Kaltiali sugeruje, że w wielu przypadkach dysforia pojawia się w kontekście szerszych trudności rozwojowych i psychicznych.

Jeszcze kilkanaście lat temu Finlandia podążała podobną drogą co wiele krajów Europy Zachodniej, inspirując się tzw. modelem holenderskim. Zakładał on, że wczesna interwencja – blokery dojrzewania, a następnie hormony – może poprawić dobrostan młodych osób z dysforią płciową. Od 2020 r. Finowie przyjęli bardziej zachowawcze podejście: priorytetem stała się diag-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9016f0c18b

nostyka psychiatryczna i wsparcie psychologiczne, a interwencje medyczne przesunięto na dalszy plan.

POLSKI PUNKT WIDZENIA

Do wyników fińskich badań odniósł się na platformie X użytkownik Adam Gwiazda, wskazując, że medyczna tranzycja płci nie zawsze zmniejsza problemy psychiczne, a niekiedy może je nasilać lub maskować inne zaburzenia. Jego zdaniem w sytuacjach, w których konieczna jest klasyczna opieka psychiatryczna, bywa ona zastępowana przez działania związane z tranzycją. Zwrócił również uwagę na dynamiczny wzrost liczby przypadków dysforii płciowej w ostatnich latach w różnych krajach.

Niech ta refleksja płynnie przeniesie nas od fińskich badań do spostrzeżeń polskiego publicysty i pisarza Grzegorza Górnego, który w książce „Kto chce ukraść ciała naszych dzieci" formułuje wiele argumentów uderzających w obecny model opieki nad osobami z dysforią płciową, skupiając się na trzech płaszczyznach: medycznej, społecznej i ideologicznej.

Górny interpretuje podobne co fińskie dane jako dowód na systemowy problem: jego zdaniem współczesna medycyna pod wpływem presji ideologicznej i kulturowej zbyt łatwo kieruje młodych pacjentów na ścieżkę tranzycji, pomijając konieczność długotrwałej terapii psychiatrycznej. W jego ujęciu dochodzi do swoistego „przesunięcia diagnozy", w którym objawy kryzysu psychicznego są reinterpretowane jako problem tożsamości płciowej.

NIEODWRACALNOŚĆ INTERWENCJI

Oczywiście taki sposób przedstawiania sprawy budzi sprzeciw wielu specjalistów, którzy podkreślają, że współczesne standardy opieki nad osobami z dysforią płciową zakładają wieloetapową diagnozę i indywidualne podejście. Niemniej krytyka Górnego trafia w słaby punkt systemu: ryzyko uproszczeń i presji czasu w pracy z młodymi pacjentami, którzy często oczekują szybkich i jednoznacznych rozwiązań.

Szczególnie mocno wybrzmiewa tu kwestia nieodwracalności interwencji medycznych. Blokery dojrzewania, hormonoterapia czy operacje chirurgiczne mogą prowadzić do trwałych zmian w organizmie, które określa mianem „nieodwracalnego okaleczenia". Górny słusznie twierdzi, że dzieci i młodzież nie są wystarczająco dojrzałe emocjonalnie i poznawczo, aby podejmować decyzje o tak radykalnych ingerencjach medycznych, które wpłyną na całe ich dorosłe życie. Wskazuje też na rosnące zjawisko retranzycji (powrotu do płci biologicznej). Okazuje się, że wiele osób po jakimś czasie żałuje podjętych decyzji, borykając się z tragicznymi skutkami ubocznymi. Także badania Kaltiali wspierają potrzebę ostrożności: jeśli znaczna część pacjentów zmaga się z poważnymi problemami psychicznymi, to proces podejmowania decyzji o leczeniu powinien być szczególnie wnikliwy.

SPOŁECZNA EPIDEMIA

Kolejnym punktem stycznym obu perspektyw jest zjawisko rosnącej liczby diagnoz dysforii płciowej. Dane epidemiologiczne potwierdzają ten trend. Górny mówi o „społecznej epidemii", wskazując, że gwałtowny wzrost liczby diagnoz dysforii płciowej na Zachodzie nie wynika z biologii, lecz z presji rówieśniczej i mody kreowanej w mediach społecznościowych. Zwraca też uwagę na zjawisko zastraszania specjalistów i rodziców, którzy kwestionują zasadność szybkiej ścieżki tranzycji, zmuszając ich do uległości wobec dominującej narracji.

Z kolei podejście naukowe skłania się ku bardziej złożonym wyjaśnieniom. Wzrost liczby diagnoz może wynikać z większej świadomości społecznej, lepszego dostępu do opieki zdrowotnej oraz zmniejszenia stygmatyzacji. Nie można jednak całkowicie wykluczyć wpływu czynników kulturowych – szczególnie w świecie, w którym tożsamość coraz częściej kształtuje się w przestrzeni cyfrowej.

Górny interpretuje współczesne podejście do płci jako element szerszego projektu kulturowego, który redefiniuje podstawowe kategorie antropologiczne. Twierdzi, że współczesne podejście do płci jest wynikiem „ideologicznej manipulacji", która odrywa tożsamość człowieka od jego uwarunkowań biologicznych.

ZALECENIA DLA RODZICÓW

Z książki „Kto chce ukraść ciała naszych dzieci" wynikają konkretne zalecenia i wskazówki dla rodziców, szczególnie w kontekście omawianego problemu dysforii płciowej i decyzji o tranzycji. Po pierwsze, zdobywanie wiedzy i zachowanie krytycyzmu. Rodzice powinni się edukować i nie ulegać bezrefleksyjnie opiniom specjalistów czy trendom społecznym, bo brak wiedzy może prowadzić do podejmowania decyzji pod presją. Po drugie, ostrożność wobec szybkich, nieodwracalnych decyzji. Górny zwraca uwagę, że dzieci często nie są wystarczająco dojrzałe, by podejmować decyzje o poważnych interwencjach medycznych, dlatego rodzice powinni działać bardzo rozważnie. Po trzecie, nieuleganie presji emocjonalnej i społecznej. W książce pojawia się ostrzeżenie przed tzw. szantażem emocjonalnym (np. dramatyczne alternatywy stawiane rodzicom), który może skłaniać do zgody na działania, których konsekwencji rodzice nie rozumieją. Po czwarte, większe zaangażowanie w życie dziecka. Górny uważa, że rodzice powinni poświęcać dzieciom więcej uwagi i czasu, bo brak relacji i poczucia bliskości może sprzyjać problemom tożsamościowym. Po piąte, ochrona dzieci przed wpływem mediów i presji kulturowej. Górny podkreśla rolę mediów społecznościowych i kultury popularnej w promowaniu określonych postaw, dlatego zaleca czujność i kontrolę nad tym, z czym dziecko ma kontakt. Po szóste wreszcie, szukanie rozwiązań innych niż medyczna tranzycja. Zdaniem Górnego rodzice powinni rozważać różne formy pomocy psychologicznej i wsparcia zamiast traktować interwencje medyczne jako jedyne wyjście.

Na koniec wróćmy do fińskich badań. Z pewnością nie zakończą one debaty o tranzycji. Pokazują jednak, że w sprawach tak złożonych potrzebna jest ostrożność, rzetelność i gotowość do zmiany zdania w świetle nowych danych. Bo ostatecznie nie chodzi o wygranie sporu, lecz o to, by młodzi ludzie otrzymali pomoc, która naprawdę odpowiada na ich potrzeby.

eprasa.pl 9016f0c18b



Z Polski nikt mnie nie zwolnił

W wolnej Polsce, w wieku 89 lat i po 66 latach pracy na scenie, jestem artystą absolutnie zakazanym

Z Janem Pietrzakiem, artystą kabaretowym, twórcą i liderem Kabaretu pod Egidą, rozmawia Jerzy Szmit

Istnieje powiedzenie: „Życie przerosło kabaret". Czy według pana życie polityczne w Polsce można porównywać do kabaretu?

Jan Pietrzak: Nie! Kabaret jest sztuką, ma swój charakter, wymagania – to sztuka, która ma pomagać ludziom złapać dystans do rzeczywistości. A rzeczywistość czasami bywa nie tylko pozytywna, lecz także okropna, przykra i nieznośna. Często słyszę, że w Sejmie mamy kabaret. To mnie ogromnie denerwuje! Kabaret jest sztuką, która wymaga pewnej estetyki, pewnego ładu moralnego, a tam jest łajdactwo, dziadostwo i chamstwo. Taką mam opinię.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9016f0c18b

Cofnijmy się do początków: kiedy trafił pan do klubu Hybrydy, miał pan 23 lata. Był pan świeżo usuniętym z wojska oficerem radiolokacji, wzywanym zresztą później na ćwiczenia.

Z wojska mnie wyrzucili, ale jest normą, że oficerów rezerwy co dwa, trzy lata zaprasza się na ćwiczenia. Trzeba było znowu usiąść do stacji radiolokacyjnej i przypomnieć sobie, jak to działa. Spotkało mnie to dwa razy. Nie ma to żadnego związku z insynuacjami, które wypisują o mnie jacyś przekupieni idioci, że byłem oficerem politycznym. To bzdura.

Życie zaczynał pan jednak w wojsku?

Jestem z pokolenia wojennego. Wojna zdemolowała moją rodzinę. Mojego ojca zabili, mama zupełnie się pogubiła. No i byłem w gruzach Warszawy właściwie jak dziecko ulicy. Miałem dramatyczne dzieciństwo. To, że trafiłem do wojska, prawdopodobnie uratowało mi życie, bo w tamtych czasach chłopcy w Warszawie uczyli się rzucać granatami i strzelać z prochu, który wysypywało się ze znalezionej amunicji. Jednak w wojsku byłem z przymusu i gdy tylko mogłem, uciekłem z niego. Życie mojego pokolenia ustawili Hitler ze Stalinem, a potem Churchill z Roosevelt. Taki był los Polaków.

Czego nauczyło pana wojsko?

Lojalności wobec kolegów. To była podstawa w zespole młodych chłopaków, rozwydrzonych i rozwalonych przez wojnę tak jak ja – bez żadnych zasad. Żyliśmy w dramatycznym czasie i ciągle byliśmy głodni. Ratowała nas lojalność i koncentracja na współpracy. W następnych latach, kiedy zacząłem funkcjonować w kabarecie i sztuce, było to bardzo cenne.

W 1967 r., w wieku 30 lat, założył pan Kabaret pod Egidą. Jak się wtedy zakładało kabaret?

Jak się zakładało?! Wyrzucili mnie z Hybryd i dlatego założyłem kabaret! Na początku Hybrydy były amatorską zabawą. Wyróżniałem się tym, że w gronie chętnych do mówienia wierszy i pisania piosenek miałem jeszcze zmysł organizacyjny i potrafiłem zorganizować przedstawienia. Awansowałem nawet na dyrektora Studenckiego Teatru „Hybrydy", który był pierwszym ważnym etapem rozwoju świadomości. W ciągu siedmiu lat pod moim kierownictwem wystawiliśmy pięć sztuk teatralnych, spektakl pantomimy, sześć przedstawień kabaretowych. Pokazaliśmy twórczość m.in. Krzysztonia, Odojewskiego, Górzańskiego. Trafiłem w zupełnie inne rejony życia, ale to było fantastyczne doświadczenie.

> W Polsce trwa walka, aby zniszczyć polską tożsamość. Na tym tle powstają podziały, a artyści są na to szczególnie podatni. Pozostają uzależnieni od instytucji, które ich zatrudniają

Ale to się skończyło?

W 1967 r. okazało się, że jest to placówka antypolska i antyrządowa. Były jakieś zebrania, narady i wyrzucili nas za deprawację młodzieży socjalistycznej (takie były argumenty). Nie miałem pojęcia, o co chodzi, bo nie czułem się wojownikiem. Z cenzurą walczyłem, ale to była banalna urzędowa konieczność. Z Hybryd wyrzucili nas całą grupą, w której byli Jonasz Kofta, Adam Kreczmar i muzycy Janek Raczkowski, Krzysztof Paszek. Postanowiliśmy, że nie damy się rozpędzić. Będziemy grać, występować gdzieś w Polsce, niezależnie od struktur studenckich. Okazało się, że byliśmy już dosyć popularni w wielu miejscach. Udało się znaleźć małą, ale stałą salkę na 90 osób w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. Tak powstał Kabaret pod Egidą. Powstał, bo byli artyści, a także publiczność, która chciała nas oglądać. Dlatego graliśmy – niezależnie od tego, czy była zgoda, czy nie. I to się powiodło.

Z szerokim gronem najlepszych polskich artystów. Ma pan rękę do kreowania ludzi sceny?

Jestem stary i swoje wiem. Wtedy tego nie wiedziałem, bo człowiek się uczy. To było zdumiewające, że ja – oficer radiolokacji – radziłem sobie z tym. Poza tym od razu, jak wyszedłem z wojska, żeby się czegoś nauczyć, zacząłem studiować zaocznie socjologię. Zarabiałem na chleb, pracując w fabryce telewizorów. To wszystko nałożyło się na działania artystyczne. Z dzisiejszej perspektywy to jest szokujące. Dlaczego? Bo można było osiągnąć bardzo wiele, jeżeli miało się dobre nastawienie i desperację.

A talent?

Talent mam w genach, ale tego nie wiedziałem. W pierwszych latach moich występów z wielkim zaskoczeniem przyjmowałem to, że ktoś chce mnie słuchać. Ludzie się śmieją, biją brawo. Dla młodego chłopaka z koszar to było coś niesamowitego. Dzisiaj niektórym trudno sobie wyobrazić, jak funkcjonowała kultura w PRL. A to była wtedy bardzo istotna rzecz, dlatego że dodawała społeczeństwu ducha. Pokazywała, że może być inaczej, przypominała stare wzorce mistrzów polskiej sztuki. Kultura – ta autentyczna – była w PRL w dużym stopniu albo zupełnie podziemna, albo zepchnięta na margines. To wszystko było dla mnie nowe i ogromnie mnie pociągało.

Czy utrzymuje pan kontakt z artystami swojego pokolenia?

Mam 89 lat i nie ma już mojego pokolenia, oni w większości nie żyją. Młodsi oczywiście istnieją, ale mamy słabe relacje. Dotykają nas różne wstrząsy społeczne. Ludzie się pogubili, podzielili. W Polsce trwa walka, aby zniszczyć polską tożsamość. Na tym tle powstają podziały, a artyści są na to szczególnie podatni. Pozostają uzależnieni od instytucji, które

eprasa.pl 9016f0c18b

ich zatrudniają. Jeżeli ktoś przez dziesiątki lat ma władzę w telewizji, w teatrach, to rządzi kulturą. Dlatego kultura jest tak wykrzywiona, dlatego nie jest prawdziwa. Czasami mówię, że pora wrócić do podziemia – jak w stanie wojennym.

W czasach PRL był pan na czarnej liście artystów pod szczególnym nadzorem. Wtedy cenzura kontrolowała każde wasze słowo, w każdej formie.

W pierwszych latach mojej pracy ingerencje cenzury były mniejsze. W połowie lat 70. nastąpiło wyraźne zaostrzenie kursu cenzorskiego. Szczególnie w stosunku do mnie. Każde przedstawienie było straszliwie cięte, czasem do połowy. Doszło do tego, że zamknęli mi kabaret raz, drugi, trzeci. Grałem jako artysta zupełnie zakazany, więc trzeba widzieć także różne etapy, różne okoliczności. Nie wolno nam było występować. A na koniec, np. w Mrągowie, w trakcie występu przyszła milicja i nas zwinęli. Po prostu!

W trakcie?

W połowie przedstawienia. Potem sprawa w sądzie i trzy miesiące aresztu z zamianą na grzywnę. Tak to wyglądało. Jednak legenda moja i moich kolegów żyła w Polsce. W środowiskach studenckich, a później szerszych, patriotycznych. Dlatego byliśmy zapraszani, często miało to jednak przykre konsekwencje.

Jak pokazują dokumenty IPN, był pan stale inwigilowany, miał wokół siebie donosicieli, którzy informowali, co pan robi, mówi, planuje...

Od początku wiedziałem, że na widowni zawsze jest jakiś ubek. Potem pisali raporty, a w nich takie sformułowania: „Całość programu dyskredytowała, ośmieszała, wyszydzała i poniżała PZPR, ustrój socjalistyczny, władze, organy ścigania itd.". Ubecy wielokrotnie pisali, że zmierzam do obalenia ustroju. Pierwsze dokumenty dostałem, gdy prezesem IPN był śp. Janusz Kurtyka. Potem rozmawiałem z prezesem Instytutu Karolem Nawrockim, gdy jeszcze nie był prezydentem. Mówiłem, że zgłoszę się po kolejne materiały, bo oni odkrywali sporo nowych rzeczy. Część tych materiałów opublikowałem w książce „Jak obaliłem komunę". Zachęcam do lektury.

Jak Jan Pietrzak patrzy na współczesną Polskę?

Powiem rzecz może niepopularną. Kiedyś sytuacja była w gruncie rzeczy uczciwsza. Przychodziłem do cenzury z tekstem, oni mi połowę skreślali, mówili: „To trzeba zmienić, tego nie puścimy, a to niech idzie". Jak chciałem grać oficjalnie, musiałem się do tego stosować albo wyrzucałem tekst i pisałem nowy. Natomiast teraz nie ma cenzury, jest niby wolna Polska, a ja jestem kompletnie zakazany. Jestem absolutnie nielegalnym artystą. Nie wolno mi występować nigdzie – w żadnym mieście, w którym rządzi Platforma Obywatelska, PSL czy ktokolwiek z tej paczki. Strona tzw. prawicowa, którą popieram, też mnie nie puszcza – ze strachu. Jeszcze do niedawna występowałem w jakiejś telewizji. Teraz nie wolno mi występować w żadnej telewizji, w żadnym radiu nie ma żadnej mojej piosenki. Hymnu Solidarności „Żeby Polska była Polską" ze strachu nie śpiewa się nawet w Solidarności. Nawet jak mają ważne rocznice. A przecież służyła narodowi w najtrudniejszych czasach.

Skąd się bierze ten strach?

Nie wiem. Nawet jak premier Tusk wrócił do władzy, to jednym z poleceń wydanych Bodnarowi było: „Zamknąć tego Pietrzaka". Byłem przesłuchiwany w prokuraturze! Odpuścili, ale to pokazuje atmosferę, w której pracuję. W wolnej Polsce, w wieku 89 lat i po 66 latach pracy na scenie, jestem absolutnie zakazany. W Warszawie są dwie sale, w których mogę wystąpić, ale muszę tam płacić duże pieniądze, których nie mam i nie mają ich moi widzowie. Występuję w enklawach, w których są odważni ludzie. Piszę cotygodniowy felieton do tygodnika „Sieci", uruchomiłem też kanał na YouTube „Pietrzak na emeryturze" – zapraszam do oglądania.

W czasach PRL wygrał pan festiwal w Opolu...

To był 1981 r., dlatego pozwolili mi wystąpić. Zaśpiewałem „Żeby Polska...". W tamtym czasie musiałem wygrać. Dzisiaj prezydent Opola powiedział, że nie mogę wystąpić i tego zaśpiewać, bo obrażą się Niemcy mieszkający na Opolszczyźnie. Takie czasy! Ale jakoś funkcjonuję, wychowałem dzieci, żona trzyma się w formie. Dajemy radę.

Do ruchu solidarnościowego przyłączył się pan bez żadnego wahania.

W latach 70. byłem przekonany, że nadciąga przełom i trzeba pracować w tym kierunku. Dojrzewałem w sensie ideowym i publicznym. Zacząłem mieć szersze poglądy niż w początkach uprawiania tego zawodu. Zrozumiałem, że podpowiadała publiczność, oceniając utwory. Są takie, które przebrzmiewają, oraz takie, które wywołują emocje, i to emocje patriotyczne. W czasach Gierka były one bardzo silne i Kabaret pod Egidą był wtedy bardzo popularny. Młodzież szukała odpowiedzi, jak ma się zachowywać. My pokazywaliśmy, że można być odważnym, mówić rzeczy, których władza nie pozwala mówić. Nocami młodzi kopiowali kasety z naszymi nagraniami i puszczali w obieg, bo chcieli prawdy. To przełamywało strach i monopol władzy.

Czy dzisiejsza Polska pana rozczarowuje?

Najbardziej rozczarowuje mnie to, że tak wielka część narodu dała się zmanipulować i w gruncie rzeczy mamy władzę niemiecką. Premier Tusk realizuje powiedzenie, że „polskość to nienormalność" i wprowadza normalność germańską. Ten rząd niszczy Polskę i ją okrada. Niemcy wymordowali ponad 6 mln polskich obywateli, a mimo to w Niemczech narasta kult Hitlera, robią filmy o generałach Hitlera, zamkach Hitlera, młodości Hitlera. O reparacjach wojennych nie chcą rozmawiać. Chcą znowu zobaczyć, jak zbieramy u nich szparagi. Nie godzę się na to! A walkę o dobro Polski traktuję jako mój obowiązek, z którego nikt mnie nie zwolnił.

Autopromocja

eprasa.pl 9016f0c18b

O kulisach polityki
WIEMY WSZYSTKO

Subskrypcja SIECI

wPolityce.pl Premium +

ponad **50% taniej**



WIESZ PIERWSZY:
Pełne e-wydania tygodnika „Sieci”
już w niedzielę o 18:00.
Zanim inni omówią przekaz, Ty znasz scenariusz.

WIDZISZ WIĘCEJ:
Nielimitowany dostęp do zamkniętych artykułów
na wPolityce.pl Premium+. Dziennikarstwo
bez cenzury i politycznej poprawności.

ROZUMIESZ KONTEKST:
Dostęp do pełnego archiwum wydań
oraz unikalnych e-booków „Sieci Extra”.

WSPIERASZ NIEZALEŻNOŚĆ:
Twoja subskrypcja to potężny oręż i cegiełka
do budowy prawdziwie wolnych mediów w Polsce.

SPRAWDŹ NA

siec.wpolityce.pl/oferta

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 9016f0c18b



Pod kopułą świętego Piotra

Najsłynniejszy i najbardziej rozpoznawalny kościół na świecie przygotowuje się do jubileuszu 400-lecia swojego istnienia. Ale budzi też wiele kontrowersji. Dlaczego?



GRZEGORZ GÓRNY

Bazylika św. Piotra w Rzymie została konsekrowana 18 listopada 1626 r. przez Urbana VIII. Przez kilka wieków była największą świątynią katolicką na naszym globie – do czasu, gdy w 1990 r. w Jamusukro na Wybrzeżu Kości Słoniowej wybudowano jeszcze większą bazylikę Matki Bożej Królowej Pokoju.

Wbrew temu, co sądzi wiele osób, watykańska budowla nie jest katedrą papieską – tę rolę odgrywa bazylika św. Jana na Lateranie, nazywana Matką i Głową Wszystkich Kościołów Miasta i Świata.

OD LATERANU DO WATYKANU

Wiąże się to z wydarzeniami, do których doszło w 313 r. Imperator Konstantyn Wielki nie tylko wydał wówczas edykt mediolański, przyznający wolność religijną prześladowanym wcześniej wyznawcom chrześcijaństwa, lecz także podarował papieżowi Milcjadesowi dawny budynek koszar gwardii cesarza Maksencjusza na Wzgórzu Laterańskim w Rzymie. To miejsce na kolejne tysiąc lat stało się główną siedzibą zwierzchników Kościoła.

Powstał tam rozległy kompleks architektoniczny, którego najważniejszymi obiektami były rezydencja papieska, czyli Pałac Laterański, jedno z najstarszych na świecie baptysteriów, wzniesione w latach 314–320, kaplica papieska ze Świętymi Schodami przywiezionymi przez św. Helenę w 327 r. z Jerozolimy, a przede wszystkim wspomniana już bazylika, której pierwszym patronem był Najświętszy Zbawiciel.

Budowę okazałej świątyni rozpoczęto w 314 r., a konsekrował ją 10 lat później Sylwester I. Została ona poważnie zniszczona w czasie trzęsienia ziemi w 896 r. i odbu-

Fot. Right Perspective Images/Shutterstock.com

eprasa.pl 9016f0c18b



dowana za pontyfikatu Sergiusza III w latach 904–911. W 1144 r. kościół otrzymał dwóch nowych patronów: św. Jana Chrzciciela i św. Jana Ewangelistę. Od tamtego czasu nazywany jest potocznie bazyliką św. Jana. To właśnie tam w XII i XIII w. odbyły się cztery sobory Kościoła katolickiego, zwane laterańskimi.

Przełomowy moment w dziejach obiektu nastąpił w 1308 r., gdy potężny pożar strawił świątynię. Rok później papież Klemens V przeniósł się do Awinionu we Francji. Jego następcy pozostali tam przez kolejnych 70 lat. Przez ten czas znaczenie Lateranu zmalało. Po powrocie do Rzymu w 1377 r. następni papieże nie zdecydowali się osiąść na stałe w swej dawnej siedzibie. Bazylika była wówczas poważnie zniszczona po kolejnym pożarze, który wybuchł w 1360 r. W tej sytuacji głównym ośrodkiem papiestwa został Watykan. To tam przeniosło się centrum życia politycznego i religijnego Stolicy Apostolskiej.

NAD GROBEM ŚW. PIOTRA

Pierwsza świątynia chrześcijańska na Wzgórzu Watykańskim została zbudowana przez Konstantyna Wielkiego w 324 r. Była to pięcionawowa bazylika św. Piotra, wzniesiona nad miejscem grobu pierwszego papieża, który zginął śmiercią męczeńską podczas prześladowań chrześcijan zorganizowanych przez cesarza Nerona w latach 64–67. Według najstarszych przekazów przywódca apostołów został ukrzyżowany głową w dół w pobliżu tzw. obelisku watykańskiego – tego samego, który stoi dziś w centrum Placu św. Piotra. Wspomniany monument pochodzi z Egiptu. W 40 r. na rozkaz cesarza Kaliguli został przywieziony do Rzymu i umieszczony w Cyrku Nerona na Wzgórzu Watykańskim. Była to arena, na której masowo ginęli chrześcijanie. Wśród nich był także św. Piotr, którego ciało pochowano nieopodal miejsca kaźni.

> Pierwsza świątynia chrześcijańska na Wzgórzu Watykańskim została zbudowana przez Konstantyna Wielkiego w 324 r. Była to pięcionawowa bazylika św. Piotra, wzniesiona nad miejscem grobu pierwszego papieża, który zginął śmiercią męczeńską podczas prześladowań chrześcijan zorganizowanych przez cesarza Nerona w latach 64–67

W połowie II w. teren cyrkowy opustoszał i popadł w ruinę, a na jego miejscu powstało cmentarzysko. W 258 r. w trakcie prześladowań wszczętych przez cesarza Waleriana szczątki apostoła przeniesiono potajemnie do katakumb św. Sebastiana, jednak w następnym stuleciu – za pontyfikatu Sylwestra I – powróciły one na Wzgórze Watykańskie. Właśnie to okazało się decydujące, gdy cesarz Konstantyn wybierał lokalizację dla bazyliki św. Piotra.

Świątynia powstała najprawdopodobniej w latach 319–333. Aby ją zbudować, imperator nakazał zniwelowanie niemal wszystkich mauzoleów znajdujących się na terytorium cmentarza – zburzono krypty wystające ponad planowany poziom oraz zasypano już istniejące komory grobowe. Było to przedsięwzięcie nietypowe, ponieważ zazwyczaj unikano wznoszenia monumentalnych budowli w tak niekorzystnych warunkach terenowych. Wiązało się to bowiem z wieloma komplikacjami prawnymi i religijnymi, trudnościami logistycznymi oraz dodatkowymi kosztami. Jedynym wyjaśnieniem podjęcia tak niecodziennej inwestycji było przekonanie ówczesnych

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9016f0c18b

chrześcijan, że na Wzgórzu Watykańskim znajduje się miejsce pochówku św. Piotra.

W MIEŚCIE LEONOWYM

W późniejszych wiekach świątynia była miejscem wielu wydarzeń historycznych. Wśród nich na pierwszy plan wysuwa się zwłaszcza koronacja Karola Wielkiego na cesarza rzymskiego. Miała miejsce w Boże Narodzenie 800 r., gdy papież Leon III nałożył cesarski diadem na głowę władcy Franków. Później w bazylice koronowano wielu cesarzy, m.in. Karola Łysego, Ottona I, Ottona III, Fryderyka I Barbarossę czy Fryderyka II Hohenstaufa.

W 846 r. Rzym został zaatakowany przez saraceńskich piratów. Muzułmanie nie zdołali zawładnąć miastem, zdobyli jednak dwie bazyliki – św. Piotra oraz św. Pawła, które znajdowały się wówczas poza murami miejskimi. Watykańskiej świątyni dzielnie bronił garnizon złożony z Franków, Longobardów, Sasów i Fryzów, jednak mimo zaciekłego oporu został pokonany i wyrżnięty przez najeźdźców. Mahometanie zagrabili wszystkie drogocenne przedmioty, w tym sprzęty i szaty liturgiczne, a ołtarze i tabernakula zbezcześcili.

Ta dramatyczna historia sprawiła, że na polecenie papieża Leona IV w latach 848–852 bazylikę św. Piotra otoczono wysokimi obronnymi murami, które nazwano murami leonowymi. Obszar w ich obrębie, zwany Miastem Leonowym, do XVI w. posiadał własną administrację i w dużej mierze pokrywał się z terenem dzisiejszego Państwa Watykańskiego.

Średniowieczny Rzym był centrum pielgrzymkowym ówczesnej Europy. Licznych pątników przyciągała do Wiecznego Miasta zwłaszcza chusta z wizerunkiem twarzy Chrystusa, która przywędrowała nad Tyber z Bizancjum, by trafić do bazyliki św. Piotra. Do obrazu przylgnęła nazwa Weronika, która powstała z połączenia dwóch słów: łacińskiego przymiotnika vera (prawdziwy) i greckiego rzeczownika eikon (obraz). Z czasem powstała legenda, która miała tłumaczyć odbicie twarzy Jezusa utrwalone na tkaninie. „Jak głosi ustna tradycja – pisał XII-wieczny autor – Chrystus otarł płótnem swoje najświętsze Oblicze przed męką, kiedy Jego pot stał się jak krople krwi, które spływały na ziemię". W późniejszych czasach opowiadanie zostało wzbogacone o nowe szczegóły, m.in. wzmiankę, że chustę miała podać Zbawicielowi św. Weronika. Zachowało się wiele świadectw opisujących wrażenia osób, które oglądały tę relikwię, m.in. Dantego Alighieri czy św. Brygidy Szwedzkiej.

NOWA ŚWIĄTYNIA

Znaczenie bazyliki św. Piotra wzrosło zwłaszcza po 1377 r., gdy papiestwo powróciło z tzw. niewoli awiniońskiej do Rzymu. Papieże nie zdecydowali się, by ponownie zamieszkać na Lateranie, który popadł w ruinę, lecz wybrali na swą nową rezydencję Watykan. Jednak również on nie prezentował się okazale. W XV w. papież Mikołaj V podjął decyzję o gruntownej renowacji całego kompleksu architektonicznego, ale wiele budynków znajdowało się w tak złym stanie, że nadawały się bardziej do rozbiórki niż do remontu. W opłakanej kondycji była także bazylika św. Piotra – rozpadał się dach i północna ściana kościoła. Co prawda próbowano naprawiać ubytki, lecz przypominało to naszywanie nowych łat na podarte ubranie. Świątyni w każdej chwili groziło zawalenie. Na początku XVI w. postanowiono zatem rozebrać stary gmach, a na jego miejscu wznieść nowy. Podobno stało się to za radą Michała Anioła, który przekonał do tego pomysłu papieża.

Budowę rozpoczęto 18 kwietnia 1506 r., za pontyfikatu Juliusza II. Równolegle demontowano pierwszą bazylikę i stawiano drugą. Prace trwały ponad 120 lat. Ostatni fragment obiektu z czasów Konstantyna rozebrano w 1609 r., a nowa świątynia została konsekrowana w 1626 r. W następnych latach kontynuowano zagospodarowywanie terenu przed budynkiem. Dopiero w 1667 r. ostatecznie ukończono wznoszenie zaprojektowanej przez Giovanniego Berniniego kolumnady, która do dziś okala Plac św. Piotra.

Świątynia liczy 218 m długości i 136,5 m wysokości. Może pomieścić 60 tys. osób. Posiada 45 ołtarzy i 11 kaplic, w których zgromadzono wiele bezcennych arcydzieł sztuki, najsłynniejsze z nich to Pieta wyrzeźbiona przez Michała Anioła



NARODZINY REFORMACJI

Nowa bazylika – według śmiałego planu Donata Bramantego – miała być największym kościołem świata. Nie wszystkim podobało się to, że nie pozostawiono żadnej części ze starego gmachu. Decyzję tę krytykowali m.in. Michał Anioł i Erazm z Rotterdamu. Znacznie więcej kontrowersji wywołała jednak inna kwestia związana z budową świątyni. Inwestycja wymagała olbrzymich nakładów finansowych, a papiestwo nie miało na to wystarczających środków. W związku z tym Juliusz II uznał, że jednym ze sposobów zbierania funduszy będzie sprzedaż odpustów.

Odpust oznaczał darowanie kar doczesnych za grzechy, jednak w praktyce często przedstawiano go jako korzyść duchową uzyskiwaną w zamian za wpłatę pieniężną. To nadużycie stało się bezpośrednią przyczyną buntu Marcina Lutra i zapalnikiem, który wywołał reformację. Spór szybko wykroczył poza kwestię odpustów, do-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9016f0c18b

tykając tak fundamentalnych spraw, jak władza papieża, struktura Kościoła, rozumienie doktryny czy natura sakramentów. W efekcie nastąpił głęboki podział wewnątrz chrześcijaństwa. Nie wiadomo, czy by do tego doszło, gdyby nie zdecydowano się na budowę bazyliki św. Piotra, jednak system jej finansowania niewątpliwie stał się impulsem, który doprowadził do powstania protestantyzmu.

ODKRYCIE W GROTACH

W ciągu 120 lat budowy bazylika miała wielu architektów, którzy często zmieniali projekty swoich poprzedników. Byli wśród nich tacy mistrzowie, jak Bramante, Rafael Santi, Michał Anioł czy Bernini. Każdy z nich odcisnął na budowli piękno swego geniuszu, np. Rafael zaprojektował ją na planie krzyża łacińskiego, a dziełem Michała Anioła była wieńcząca gmach kopuła, która stała się symbolem Rzymu.

Świątynia liczy 218 m długości i 136,5 m wysokości. Może pomieścić 60 tys. osób. Posiada 45 ołtarzy i 11 kaplic, w których zgromadzono wiele bezcennych arcydzieł sztuki – najsłynniejsze to Pieta wyrzeźbiona przez Michała Anioła. W kościele znajdują się też miejsca pochówku ponad 90 papieży, wśród których są święci, m.in. Leon Wielki, Grzegorz Wielki, Pius X, Jan XXIII czy Jan Paweł II. Część z nich spoczywa w Grotach Watykańskich pod posadzką bazyliki. Najważniejszym miejscem jest tam oczywiście grób św. Piotra, który został odnaleziony dopiero w XX w. Jak do tego doszło?

Gdy w 1939 r. zmarł Pius XI, podczas przygotowań do jego pogrzebu pod powierzchnią świątyni odkryto pozostałości starożytnej nekropolii. Pius XII polecił więc rozpoczęcie tajnych wykopalisk, podczas których odkopano pogańskie i chrześcijańskie groby pochodzące z pierwszych trzech stuleci po Chrystusie. W trakcie prac natknięto się m.in. na czerwony mur, a na nim napis z II w.: „Petros eni" („Piotr jest tutaj"). Znaleziono tam również ludzkie szczątki. Dzięki włoskiej archeolog Margherice Guarducci udało się zidentyfikować kości mężczyzny w wieku 60–70 lat, datowane na I w., które były owinięte w purpurową tkaninę ze złotą nicią, co stanowiło oznakę niezwykłej czci i uszanowania. Zdaniem dużej części naukowców zgodność tradycji, miejsca i danych archeologicznych wskazywała, iż przechowywane tam szczątki należały do apostoła. Na podstawie tych badań w 1968 r. Paweł VI ogłosił, że odnaleziony grób to miejsce pochówku św. Piotra.

ZAGINIONA CHUSTA

Dokładnie nad tym grobem, a pod kopułą, w głównym punkcie bazyliki znajduje się Ołtarz Papieski. Nad nim wznosi się liczący prawie 30 m monumentalny Baldachim św. Piotra, zaprojektowany przez Berniniego. Jest on otoczony przez cztery potężne kolumny, które podtrzymują kopułę świątyni. Każdy z owych filarów ma swojego wyrzeźbionego patrona: św. Helenę, św. Andrzeja, św. Longina, św. Weronikę. We wnętrzu ostatniej z kolumn jest ukryty skarbiec, w którym przechowuje się wiele cennych przedmiotów. Można tam zobaczyć m.in. grot włóczni, którą rzymski legionista Longin miał przebić bok Chrystusa wiszącego na krzyżu.

> Finansowy system budowy bazyliki św. Piotra stał się jednym z impulsów, który doprowadził do powstania protestantyzmu

Wśród relikwii nie ma jednak chusty Weroniki, która przez wieki była największą atrakcją pielgrzymkową średniowiecznego Rzymu. Okazało się, że zaginęła podczas budowy nowej bazyliki w niewyjaśnionych okolicznościach. Odnalazła się dopiero po wielu latach, i to zupełnie w innym miejscu, a mianowicie w kościele kapucynów w Manoppello we włoskiej prowincji Abruzja. Jej odkrycie na nowo na początku XX w. zawdzięczamy trójce niemieckich katolików: zakonnicy s. Blandinie Paschalis Schlömer, historykowi sztuki ks. Heinrichowi Pfeifferowi i dziennikarzowi Paulowi Baddemu.

MIASTO-PAŃSTWO

Obok bazyliki św. Piotra wzniesiono Pałac Apostolski, którego budowę rozpoczęto w 1589 r. Stał się on główną rezydencją kolejnych papieży, którzy byli nie tylko najwyższymi zwierzchnikami Kościoła katolickiego, lecz także władcami świeckimi, stojącymi na czele Państwa Kościelnego, istniejącego przez ponad tysiąc lat: od 755 do 1870 r. Kres położyło mu dopiero zjednoczenie Italii. Gdy wojska włoskie zdobyły Rzym, w bazylice św. Piotra trwał akurat sobór watykański I, który dwa miesiące wcześniej ogłosił dogmat o nieomylności papieża. Pod wpływem inwazji zbrojnej Pius IX był zmuszony do przerwania obrad soborowych, których nigdy już nie wznowiono.

Papiestwo nie chciało się pogodzić z utratą własnej państwowości, dlatego przez kilkadziesiąt lat nie nawiązano stosunków dyplomatycznych między Królestwem Italii a Stolicą Apostolską. W tej sytuacji pięciu kolejnych papieży (w latach 1870–1929) ogłosiło się „więźniami Watykanu", zamkniętymi w obrębie Miasta Leonowego i otoczonymi przez wrogie im państwo włoskie. Porozumienie między obydwoma zawarto dopiero na podstawie traktatów laterańskich, podpisanych w 1929 r. za pontyfikatu Piusa XI i rządów Benita Mussoliniego. Na ich mocy powstało najmniejsze państwo świata – Watykan, liczący 44 ha powierzchni.

Później bazylika św. Piotra była miejscem wielu znaczących wydarzeń, z których najbardziej brzemiennym w skutki okazał się sobór watykański II. Było to największe zgromadzenie biskupów w dziejach Kościoła, które w latach 1962–1965 zebrało łącznie 3058 ojców soborowych.

Po skończonym konklawe na balkonie świątyni po raz pierwszy prezentuje się światu nowo wybrany papież. 16 października 1978 r. był nim ówczesny metropolita krakowski Karol Wojtyła. Wielu Polakom bazylika będzie się jednak kojarzyć głównie z pogrzebem Jana Pawła II, który odbył się 8 kwietnia 2005 r. Szacuje się, że do Rzymu przybyło wówczas ponad milion naszych rodaków, co stanowi największy w historii Polski zbiorowy wyjazd zagraniczny. Bazylika św. Piotra jest też najczęściej odwiedzaną przez Polaków świątynią katolicką poza granicami naszego kraju.

eprasa.pl 9016f0c18b



Polowanie na podmorską biżuterię

Prawie 2 tys. lat temu Pliniusz Starszy pisał o bursztynie, iż „cena jego jako przedmiotu zbytku jest tak wysoka, że nawet niewielka statuetka ludzka droższa jest niż człowiek żywy i zdrowy". Dziś każdy może znaleźć taki przedmiot zbytku



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Spacer, morze, przygoda... piękna sprawa. Ale choć obecnie bursztyn jest nieporównanie tańszy niż dawniej, to jednak został rozwinięty rabunkowy proceder jego pozyskiwania, wiążący się z płukaniem, rozkopywaniem i rozorywaniem, czyli niszczeniem rozległych terenów po to, by zdobyć i sprzedać „złote łzy". Rzeczywiście, przyroda opłakuje takie działania. W szczególności dotyczy to zdobywania bursztynu na wschodzie, lecz ten, kto za to płaci, tak samo przyczynia się do wielkich zniszczeń.

Bursztyn lepiej więc znaleźć samemu pod postacią niewielkiej grudki wyrzuconej przez morze podczas wędrówki po bałtyckiej plaży. Nawet mała ilość znaleziona samodzielnie cieszy nieporównywalnie bardziej, a trzeba wiedzieć, że w okresach poza szczytem sezonu, czyli wakacjami, szanse na to są znacznie większe – nie tylko ze względu na mniejszą liczbę poszukiwaczy, lecz także na większą liczbę bryłek pradawnej żywicy wyrzucanych na plaże.

STAROŻYTNE CIEKAWOSTKI

W „Historii naturalnej" Pliniusz Starszy poświęcił bursztynowi długi i ciekawy opis. Można w nim przeczytać, że najwyższe ceny osiągały tylko niektóre rodzaje zakrzepłej żywicy, np. tzw. falerneńskie (od barwy słynnego wina), przezroczyste, lecz nie za bardzo, i błyszczące – lecz również nie nadmiernie.

Pliniusz opisuje również rzymskiego ekwitę, który aby pozyskać bursztyn w celu ozdobienia areny igrzysk zorganizowanych przez Nerona, wyprawił się nad – ogólnie mówiąc – Ocean Północny czy też „wybrzeże germańskie", jak określa je starożytny badacz. Podaje długość trasy, bardzo zbliżoną do tej, którą rzeczywiście musiałby przebyć człowiek wędrujący z tak daleka nad Morze Północne lub Bałtyk. Rzymianin przywiózł tak dużo jantaru, „że nawet siatka mająca powstrzymywać dzikie bestie i osłaniać loże miała w każdym węzełku bursztyn, arena zaś, mary i wszelki sprzęt przez jeden dzień – aby różnił się od innych

fot. Shutterstock

eprasa.pl 9016f0c18b

rodzajem wystawy – były bursztynowe". Największa przywieziona bryła jantaru ważyła dużo ponad 4 kg.

Pliniusz wiedział również o tym, że bursztyn powstaje z żywicy, trafnie opisał ten proces i znał przypadki odnajdywania zatopionych w nim zwierząt – choć raczej nie zakładał znanej nam dziś skali czasowej tych zjawisk. Wiedział też o zjawisku elektryzowania się bursztynu przez potarcie oraz przyciągania niektórych materiałów, co rzeczywiście odróżnia go od podobnych na pierwszy rzut oka kamieni. Opisał również interesującą metodę farbowania jantaru przez gotowanie go w miodzie z dodatkiem koziego łoju i roślin barwierskich, a także purpury pochodzącej z drapieżnych ślimaków rozkolców.

O WYSTĘPOWANIU, POCHODZENIU I POWSTANIU BURSZTYNU

Choć jantar bałtycki jest najsłynniejszy i jego złoża są największe na świecie, żywice kopalne występują na wszystkich kontynentach. Znamy ok. 60 odmian bursztynu, niedawno odkryto go nawet na Antarktydzie.

W Polsce poza wybrzeżem ogromne złoża bursztynu znajdują się na Lubelszczyźnie w rejonie Parczewa i miejscowości Niedźwiada, gdzie obecnie funkcjonuje regularna kopania odkrywkowa. Na jantar można się też natknąć w osadach polodowcowych na Kurpiach czy w okolicach Możdżanowa koło Słupska.

Choć obecnie ojczyzną bursztynu są polskie plaże, jego historia zaczęła się zupełnie gdzie indziej. Prawdziwą kolebką jantaru jest Fennoskandia, prehistoryczny ląd obejmujący dzisiejszą Skandynawię, głównie Szwecję i Finlandię, oraz północno-zachodnią część Rosji – Karelię. W eocenie, 40–50 mln lat temu, tereny te porastał bursztynowy las. Były to gigantyczne, gęste drzewostany mieszane z przewagą sosny bursztynowej (*Pinus succinifera*). Panował tam klimat subtropikalny – było znacznie cieplej i wilgotniej niż dzisiaj. Z nie do końca jasnych powodów – prawdopodobnie wskutek zmian klimatu, gwałtownych burz lub aktywności szkodników – drzewa produkowały ogromne ilości żywicy. Spływała on do gleby, gdzie przez miliony lat twardniała i przeobrażała się w bursztyn.

Dlaczego dziś skamieniałą żywicę znajdujemy w Bałtyku? Odpowiedzią jest rzeka Eridan. Ten potężny ciek istniał od ok. 40 do 12 mln lat temu (miocen). Był jednym z największych systemów rzecznych w historii Europy, porównywalny wielkością do dzisiejszej Amazonki, obejmujący dorzecze o powierzchni 1,1 m². W szczytowym okresie Eridan liczył 2,7 tys. km długości. Wody rzeki mającej źródła w obecnej Laponii i delcie w okolicach Zatoki Gdańskiej, a w innym okresie w obecnej Holandii, niosły skamieniałe żywice na południe, w głąb obecnej Europy. Resztę zrobiły lodowce, wolno sunące przez kontynent, które nie tylko orały krajobraz, lecz także pchały bursztynowe bryły. Tak powstało np. saksońskie złoże Bitterfeld czy złoża na Ukrainie, stąd też rumanit w Rumunii – bardzo ciemny, brunatny, niemal czarny.

Rumanit jest bardzo ciekawy, bo choć przeszedł tę samą drogę, co pozostałe europejskie kontynentalne bursztyny, wygląda zupełnie inaczej, bowiem podlegał także przeobrażeniu termicznemu. Materiał wyjściowy był ten sam, jednak rumuński jantar został poddany ekstremalnym procesom geologicznym, których nie doświadczył bursztyn bałtycki. Rumanit znalazł się w warstwach fliszu karpackiego w okresie oligocenu. Podczas formowania się Karpat osady te były poddawane wysokiemu ciśnieniu i podwyższonej temperaturze. Ten proces podgrzewania wewnątrz ziemi spowodował zmiany w strukturze chemicznej – żywica uległa częściowej pirolizie. To właśnie ten proces odpowiada za jego ciemną barwę, liczne pęknięcia i charakterystyczny połysk.

Skamieniałą żywicę znajdziemy też na Karaibach. Bursztyn dominikański nie przypłynął jednak z Europy, lecz powstał na miejscu. Choć mechanizm twardnienia żywicy był podobny jak u nas, wszystko działo się w zupełnie innym otoczeniu. 40–15 mln lat temu, czyli w czasach oligocenu i miocenu, tereny dzisiejszej Dominikany porastały gęste lasy tropikalne. W przeciwieństwie do europejskich sosen tamtejszym źródłem żywicy były wymarłe drzewa liściaste z gatunku *Hymenaea protera*, blisko spokrewnione z dzisiejszymi roślinami bobowatymi (strączkowymi). Żywica spływała z drzew, więziła tropikalne owady i rośliny, a następnie trafiała do ziemi. Podobnie jak Eridan lokalne rzeki transportowały te bryłki do delt i płytkich wód morskich, gdzie zostały przykryte warstwami piasku i gliny. Historię dominikańską od bałtyckiej odróżnia to, że później złoża bursztynu zostały wypiętrzone wraz z górami. Dlatego dziś dominikańskiego jantaru nie szuka się na plażach, lecz w kopalniach wysoko w górach, np. Cordillera Septentrional, gdzie górnicy drążą wąskie tunele w poszukiwaniu „niebieskiego złota". Bursztyn dominikański jest wyjątkowo przejrzysty, często ma kolor zielony i właśnie błękitny.

Na Sycylii z wymarłych drzew – także należących do rodziny bobowatych – powstał czerwony i niebieski symetyt. Żywica była produkowana lokalnie przez lasy tropikalne lub subtropikalne porastające ówczesną wyspę i sąsiednie tereny.

Gdzie jeszcze spotkamy skamieniałą żywicę, skoro jest obecna na wszystkich kontynentach? W Birmie wydobywa się birmit, który jest znacznie starszy od bałtyckiego bursztynu – ma ok. 100 mln lat i charakteryzuje się dużą twardością. W stanie Chiapas w Meksyku znajduje się bursztyn o soczystej, żółto-pomarańczowej barwie. Powstał w kenozoiku, 34–5 mln lat temu. Pozyskuje się go w kopalniach w ilości do 300 kg miesięcznie. Najstarszy jest bursztyn australijski. W rejonie Fingal Valley na Tasmanii znaleziono jego odmiany triasowe, powstałe ok. 230 mln lat temu! Wierzenia australijskich Aborygenów przypisywały bursztynowi szczególne, mistyczne znaczenie.

ZNALEZISKA SPRZED MILIONÓW LAT

Wydawało się, że bursztynu nie ma w Afryce, jednak odkrycia z ostatniej dekady całkowicie zmieniły nasz pogląd. Na kontynencie tym znajdują się zarówno jedne z najstarszych śladów żywic na świecie, jak i unikalny, młodszy bursztyn o ogromnej wartości naukowej. Początkowo sądzono, że bursztyn etiopski ma ok. 95 mln lat,

eprasa.pl 9016f0c18b



co czyniłoby go świadkiem czasów dinozaurów w Afryce. Nowsze badania wskazują na 15–20 mln lat. Rozwiązanie tej zagadki to obecnie jeden z ciekawszych tematów w paleobotanice. Wyjątkowość inkluzji z bursztynu etiopskiego wynika przede wszystkim z tego, że stanowią one pierwsze w historii afrykańskiej paleontologii tak dobrze zachowane znaleziska mszaków, wątrobowców oraz porostów, co pozwala na bezprecedensową rekonstrukcję flory tamtego okresu. Odkryto w nim również liczne nowe gatunki mrówek, np. z podrodziny *Dolichoderinae*, które są endemiczne dla tego konkretnego złoża i nie występują w żadnym innym miejscu na świecie.

Duża bioróżnorodność tych skamieniałości sprawia, że w pojedynczych bryłkach często występuje jednocześnie wiele różnych gatunków, umożliwiając naukowcom badanie całych mikroekosystemów dawnych afrykańskich lasów. Ponadto ze względu na niezwykłą przejrzystość żywicy i doskonały stan zachowania tkanek okazy te stanowią idealny materiał dla zaawansowanych badań z użyciem mikrotomografii komputerowej oraz promieniowania synchrotronowego, co pozwala na analizę anatomii uwięzionych organizmów w trójwymiarze z mikroskopową precyzją.

Choć jantar bałtycki jest najsłynniejszy i jego złoża są największe na świecie, żywice kopalne występują na wszystkich kontynentach. Znamy ok. 60 odmian bursztynu, niedawno odkryto go nawet na Antarktydzie



Do najstarszych okazów dawnej fauny zakonserwowanych w bursztynach należy natomiast odnaleziony w Libanie doskonale zachowany ryjkowiec sprzed 130 mln lat. 90 mln lat temu w złotych bryłkach odkrywanych obecnie w New Jersey zastygły na zawsze mrówki, muchówki i pluskwiaki.

BAŁTYCKI I DOMINIKAŃSKI

Dwie najpopularniejsze odmiany na świecie to bursztyn bałtycki i dominikański, które różnią się wiekiem, składem chemicznym oraz unikalnymi efektami optycznymi. Bursztyn bałtycki jest znacznie starszy, ponieważ powstał 40–50 mln lat temu, podczas gdy bursztyn dominikański liczy sobie 15–30 mln lat. Najważniejsza różnica chemiczna to zawartość kwasu bursztynowego – odmiana bałtycka posiada od 3 do 8 proc., dzięki czemu ma właściwości prozdrowotne, natomiast w bursztynie z Dominikany kwas ten praktycznie nie występuje.

Przypomnijmy, że różnica dotyczy także pochodzenia roślinnego: jantar bałtycki powstał z żywicy drzew iglastych, a dominikański – z żywicy wymarłych drzew liściastych z rodziny bobowatych. Bursztyny z Bałtyku często są mętne lub mleczne przez uwięzione pęcherzyki powietrza, podczas gdy te z Karaibów słyną z niemal krystalicznej przejrzystości. Ostatnią istotną cechę stanowią inkluzje – w bursztynie dominikańskim owady i rośliny są spotykane znacznie częściej i zazwyczaj zachowały się w lepszym stanie.

Oba rodzaje inaczej reagują na światło. W świetle słonecznym bursztyn dominikański może naturalnie mienić się na niebiesko dzięki zjawisku fluorescencji. Choć rzadki niebieski bursztyn bałtycki istnieje, jego barwa wynika zazwyczaj z obecności pirytu (siarczku żelaza) i jest mniej intensywna. Pod lampą UV oba rodzaje wykazują fluorescencję. Bursztyn bałtycki świeci zazwyczaj na niebiesko-biało lub jaskrawożółto. Odmiana dominikańska pod wpływem ultrafioletu daje bardzo mocny, neonowo-niebieski blask.

Jeżeli chodzi o właściwości fizyczne, to bursztyn bałtycki jest nieco twardszy i bardziej odporny na uszkodzenia mechaniczne niż jego dominikański odpowiednik.

A który jest cenniejszy? Bursztyn bałtycki jest polecany z powodu swoich właściwości zdrowotnych (zawartość kwasu bursztynowego) oraz tradycji jubilerskiej. Jednak to niebieski bursztyn dominikański często osiąga wyższe ceny na rynku kolekcjonerskim ze względu na swoją rzadkość i spektakularny wygląd.

Ale przecież, gdy na spacerze na Bałtykiem znajdziemy taki skarb, nie o cenę chodzi.

eprasa.pl 9016f0c18b



KTO *ubiera się* u PRADY

Dla Meryl Streep rola Mirandy Priestly była potwierdzeniem klasy i talentu. Anne Hathaway, Emily Blunt i Stanley Tucci – za sprawą filmu „Diabeł ubiera się u Prady" – wspięli się nie tylko na modowy szczyt. Po dwóch dekadach cała czwórka znów zadaje szyku

Fot. Macall Polay/© 2026 20th Century Studios/Disney

eprasa.pl 9016f0c18b



Czasy i trendy się zmieniają, ale nie ikoniczność Mirandy Priestly. Od chwili, gdy zaczęto zapowiadać jej powrót, kolejne wieści na ten temat podgrzewają emocje nie tylko u fanów. To jest jej rok. I jej reaktywowanego zespołu. Wraz ze swoją ekranową świtą od kilku miesięcy przemierza czerwone dywany, wkracza na prestiżowe imprezy i okładki. 29 kwietnia zacznie przejmować wielkie ekrany. 1 maja dotrze do polskich kin.



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W ŚWI(E)CIE MIRANDY

Film „Diabeł ubiera się u Prady" z 2006 r. został zrealizowany na podstawie bestsellerowej powieści Lauren Weisberger, z czasem zdobywając też status kultowej ekranowej produkcji. Opowieść o młodej dziennikarce Andrei Sachs i jej wymagającej szefowej, redaktor naczelnej magazynu „Runway", na stałe zapisała się w popkulturze. Wciąż żywe są sceny i cytaty z filmu, niezwykle ważnego również dla aktorskiej świty głównej bohaterki.

Bo o ile lodowa królowa świata mody Miranda Priestly potwierdziła, że dla grającej ją wspaniałej Meryl Streep nie ma aktorskich ograniczeń, o tyle odtwórcom pozostałych ról dała bardzo wiele.

Anne Hathaway dzięki ekranowej Andy Sachs udowodniła, że „księżniczka Disneya" (znana z „Pamiętników Księżniczki") dorosła już do poważniejszych ról. Także w produkcjach z dużym budżetem.

Emily Blunt za sprawą Emily Charlton (walczącej o trwałe miejsce u boku Mirandy) stała się jedną z najbardziej rozchwytywanych hollywoodzkich aktorek.

A Stanley Tucci? Utrwalił pozycję jednego z najlepszych (na dodatek zawsze świetnie ubranych) aktorów charakterystycznych.

PODGRZEWANIE ATMOSFERY

Po dwóch dekadach kultowy film przypomina się w kontynuacji zrealizowanej z rozmachem i aktualnym kontekstem. Nowa część opowiada o zmieniającym się świecie mediów,



eprasa.pl 9016f0c18b



mody i hierarchii władzy, które w erze cyfrowej wyglądają zupełnie inaczej niż w czasach pierwszej odsłony. Jednocześnie pokazuje, że pewne mechanizmy pozostają niezmienne.

Miranda Priestly musi się zmierzyć z upadkiem prasy drukowanej, a na jej drodze staje Emily. Już nie asystentka, a wpływowa menedżerka w luksusowym koncernie. Stawką są ogromne budżety reklamowe, których „Runway" desperacko potrzebuje. W tym samym czasie do redakcji powraca Andrea Sachs, która ma pomóc zażegnać narastający kryzys medialny...

Obok pamiętnej aktorskiej czwórki na ekranie pojawią się także inne głośne nazwiska, m.in. Kennetha Branagha, ale to udział Lady Gagi dodatkowo podgrzewa atmosferę wokół produkcji. Nie bez powodu wprowadzanej na ekrany właśnie teraz.

NIESZCZĘŚLIWA KRÓLOWA LODU

Początek maja uważa się w Ameryce za start kinowego lata. „Diabeł ubiera się u Prady 2" ma wielkie szanse spektakularnie otworzyć sezon. Od miesięcy jest wspomagany licznymi wydarzeniami. Takimi jak m.in. pojawienie się słynnej redaktorki amerykańskiego „Vogue" Anny Wintour oraz Anne Hathaway na gali Oscarów, podczas której wręczały nagrodę za kostiumy i charakteryzację. Zanim jednak ogłosiły zwycięzców, odegrały krótką scenkę inspirowaną filmem „Diabeł ubiera się u Prady".

Elektryzująca okazała się też okładka amerykańskiego „Vogue", na której Wintour spotkała się z Meryl Streep. Za obiektywem stanęła Annie Leibovitz: mistrzyni portretu, która od lat potrafi wydobyć z największych osobowości świata znacznie więcej niż tylko wizerunek. Przy okazji Meryl Streep zdradziła, że choć na ekranie perfekcyjnie wciela się w postać redaktorki naczelnej, w rzeczywistości nie wyobraża sobie pracy na czele modowego imperium.

Aktorka przypomniała też, jak dwie dekady temu rodziła się Miranda Priestly – ikona stylu, a także symbol bezwzględnego świata mody. Jej chłód i dystans nie były dziełem przypadku. Meryl inspirowała się zwłaszcza wspomnianą Anną Wintour, ale nie kopiowała jej wprost. Od początku postawiła na psychologiczną precyzję i napięcie między bohaterami. By je osiągnąć, na planie utrzymywała emocjonalny dystans wobec reszty obsady. Takie podejście wiązało się też z obciążeniem. Po latach przyznała: „Byłam nieszczęśliwa w swojej przyczepie. Słyszałam, jak wszyscy się śmieją i dobrze bawią, a ja czułam się taka przygnębiona".

MODOWY ZWROT AKCJI

Premierę filmu „Diabeł ubiera się u Prady 2" poprzedza seria precyzyjnie przygotowywanych wydarzeń. Większość z nich jest spektakularna, widowiskowa, ale zdarzają się też zaskakujące momenty promocyjnej trasy. Tak jak występ Meryl Streep w „The Late Show with Stephen Colbert". Aktorka pojawiła się na nim w zapamiętanym z pierwszej części (tak surowo ocenionym przez Mirandę) „lumpy blue sweater". To był modowy zwrot akcji, „odważne, świadome i bardzo czytelne odniesienie do jednej z najbardziej kultowych scen filmu »Diabeł ubiera się u Prady«" – podkreślali amerykańscy dziennikarze. Czy podobnych nawiązań możemy się spodziewać w kontynuacji? Okaże się na ekranie.

REKLAMA



33/0326/F

Fot. Macall Polay/© 2026 20th Century Studios/Disney (2x), © 2026 20th Century Studios/Disney

eprasa.pl 9016f0c18b





HITY i KITY ZAREMBY

Argentyńska dezercja Gombrowicza

„Trans-Atlantyk" według powieści Witolda Gombrowicza, wystawiony w lubelskim Teatrze im. Juliusza Osterwy, to jeden z najefektowniejszych spektakli w tym roku. Spójnej adaptacji dokonali Jarosław Cymerman i Łukasz Wit-Michałowski. Ten ostatni wyreżyserował olśniewającą teatralną formą opowieść. Ale wciąż nie mogę się zmusić do polubienia tego tekstu

„Trans-Atlantyk", wydany w 1953 r., to jeden z najbardziej autobiograficznych utworów Gombrowicza. W sierpniu 1939 r. pisarz przypłynął statkiem Chrobry do Argentyny. Kiedy wybuchła wojna, odmawiał powrotu do ogarniętej pożogą Europy. Witold, bohater literacki, to oczywiście on. Jego tyrady wymierzone w cechy narodowe Polaków brzmią tu fałszywie – jako zasłona dymna dla jego dezercji. Nie wystarczy mi karykaturalny portret sanacyjnego poselstwa czy wiecznie skłóconej tutejszej Polonii, aby się wyzwolić od tego wrażenia. Choć Gombrowicz nazywał swój utwór „patriotycznym" i zaprzeczał, jakoby kierował się tchórzostwem.

Mój opór budzi też jego okrutny stosunek do świata. Zostaje zaplątany w intrygę bogatego homoseksualisty Gonzala, który uwodzi Ignaca, syna starego wiarusa Tomasza. Witold niby współczuje, niby próbuje pomóc, a coraz mocniej uczestniczy w aranżowaniu rodzinnej tragedii. Gonzalo wygłasza mowy przeciw władzy ojców nad synami, nawołuje do ich uwolnienia, podważa miłość do ojczyzny, wymyślając na jej miejsce „synczyznę". Nawet gdyby się z tym zgodzić, to przecież homoseksualna inicjacja nie jest jedyną drogą do wolności. To zapis obsesji biseksualnego Gombrowicza.

W 2018 r. w Ateneum Artur Tyszkiewicz naszpikował swoją adaptację „Trans-Atlantyku" współczesnymi aluzjami politycznymi wymierzonymi w polską prawicę. Chyba jedyny raz polemizowałem z inscenizacją tego reżysera. Cymerman z Witem-Michałowskim nie zniżają się do publicystyki.

Zamiast niej fundują nam oszałamiające sekwencje. „Debata" Witolda z argentyńskim pisarzem zjeżdżającym z nieba (świetny Michał Czyż), kolejne pojawienia się jakby wyjętych z komedii slapstickowej, kapitalnych Polonusów: Barona (Michał Zgiet), Pyckala (Daniel Salman) i Ciumkały (Wojciech Dobrowolski), surrealistyczny pojedynek bez kul w pistoletach nieszczęsnego Tomasza (Włodzimierz Dyła) z Gonzalem (Wojciech Rusin), wreszcie rozgrywka w palanta na „dworze" Gonzala, ożywiająca Ignaca (Maciej Grubich), upozowanego na białą rzeźbę. Długo będę to wszystko pamiętał.

Wojciech Rusin jest innym Gonzalem niż soczyście perwersyjni Jan Peszek czy Krzysztof Dracz z wcześniejszych inscenizacji. On się dopiero zmienia na naszych oczach z przerażonego człowieczka we władcę ludzkich losów. To wybitna kreacja tego aktora. Trudno nie pochwalić Artura Kocięckiego za rolę pompatycznego kretyna posła-ministra. Wrażenie szaleństwa oblepiającego głównego bohatera wzmacniają scenografia Jarosława Koziary – od blaszanych ścian imitujących Buenos Aires po cudowności pałacu Gonzala, fantazyjne kostiumy Marii Wit-Michałowskiej i nakręcająca wrażenie permanentnej groteski muzyka Piotra Bańki.

To wszystko nie wystarczy, abym się pogodził z „Trans-Atlantykiem", aczkolwiek... Jarosław Tomica jako Witold cały czas jest na scenie. To bohater i narrator, zagrany perfekcyjnie, naładowany toksycznością samego pisarza. Nagle doznałem wrażenia, że autorzy tej wersji kibicują mu tylko do pewnego stopnia. Równie dobrze można odczytać historię Witolda jako opowieść o kimś, kto stopniowo osuwa się w otchłań cynizmu i okrucieństwa. Możliwe, że dramaturg i reżyser chcieli powiedzieć coś innego. Ale pozostawili mi wybór interpretacji. I za to dziękuję.

Piotr Zaremba

Fot. Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie



Czy Pan Bóg grywa w scrabble?

„Piekło-Niebo" to bajka Marii Wojtyszko, z powodzeniem przeniesiona ze sceny Teatru Narodowego do Teatru Telewizji. Mamy tu anioły, diabły i samego Pana Boga. Ale to nie kpina z religii, a zabawna, ciepła przypowieść o nieuchronności ludzkiego losu

Rzecz dotyczy DJ-ki Joli, która po śmierci w wypadku ma zostać przyjęta do nieba, ale opiera się temu, bo w domu czeka na nią siedmioletni synek Tadek (skądinąd narrator całej historii). W następstwie buntu przeciw woli Pana Boga błąka się po piekle, a potem próbuje z niego uciec – wraz z pozyskanym nieudacznym diabłem Osmółką.

Gdy oglądałem to w Narodowym, w pierwszych minutach miałem odruch odrzucenia. Poetyka dworowania sobie z chrześcijańskiej metafizyki wydała mi się zbyt łatwa. Wprawdzie żarty z aniołów, diabłów i świętych były już obecne w kulturze uznającej autorytet religii. Ale np. Boga zwykle nie pokazywano, tu zaś jest siwobrodym rezonerem. Obawiałem się przewidywalnego kontrastu: młoda kobieta ośmiesza i niebo, i piekło, bo jest nowoczesna.

Ale ta przypowiastka wydobywa paradoksy religijnego postrzegania świata z dobrotliwym uśmiechem, a nie z szyderstwem. To jest zresztą bardziej o czymś innym: o bliskości i stracie, o ludzkich błędach, a także możliwości ich naprawienia, a wreszcie o tym, że istnieje utrwalony porządek świata. Z finałem, który jest prawdziwy, a przecież smutny. Jako widz nawet buntowałem się przeciw owemu smutkowi i nadal się buntuję.

Czeski reżyser Jakub Krofta dobrze wyczuł ten klimat zabawy prowadzącej do smuteczku. Na tle syntetycznych dekoracji Matyldy Kotlińskiej jesteśmy zaskakiwani kolejnymi dziwami. Anioły grają z Panem Bogiem i Matką Boską w scrabble. Diabeł Osmółka czyta „Nieboską komedię". Aktorzy grają to leciutko. Bez psychologizowania – na to nie ma w tym tekście miejsca – ale także bez nadmiernych krzyków, typowych dla scen komercyjnych.

Zuzanna Saporznikow jako mama Jola jest taka, jak być powinna: chwilami nieznośna, a jednak czuła i pełna dobrych emocji. Choć trochę kradnie jej show Robert Czerwiński, jeden z najciekawszych aktorów młodego pokolenia, jako pierdołowaty, ale zyskujący tożsamość Osmółka. Robert Jarociński jako drapieżny Lucyfer i trudny do rozpoznania Paweł Paprocki jako Belzebub doskonale czują tę konwencję. Wzrusza Waldemar Kownacki jako odnaleziony przez córkę w piekle marnotrawny ojciec. No i na przemian ironiczny, to znów dobrotliwy Pan Bóg Piotra Grabowskiego w asyście Grzegorza Kwietnia (służbista św. Piotr), Adama Szczyszczaja (Anioł) i Anny Lobedan (Maria) – w ich wykonaniu niebo jest urokliwe, bynajmniej nie nudne, jak w innych utworach o podobnej tematyce.

Im więcej takich spektakli, tym może stalibyśmy się lepsi – tak sobie myślę.

Fot. TVP, materiały prasowe

O SPECJALISTCE OD POSTKOMUNIZMU

Dopiero co minęła druga rocznica śmierci Jadwigi Staniszkis i oto dostajemy książkę „Radykalna", która opowiada o niej poprzez świadectwa jej znajomych. Próba udana, nawet jeśli pewne wątki wybrzmiały nie w pełni

Podtytuł książki to „Wszystkie sprzeczności Jadwigi Staniszkis". Autorem jest związany z Krytyką Polityczną Krzysztof Katkowski. Chwilami te jego konotacje wychodzą, choćby wtedy, gdy nazywa Zbigniewa Ziobrę „politykiem faszyzującym". A jednak tę publikację chwali wypowiadający się w niej były wicepremier z PiS Piotr Gliński. Rozmawiał z politykami prawicy, ale nie tylko. Całość jest zbudowana ze wspomnień, czasem miniwywiadów, galerii postaci. Ktoś się nawet zdziwił, że w jednej książce udało się pomieścić wypowiedzi PZPR-owskiego profesora Jerzego Wiatra i antykomunistycznego prawicowca Bronisława Wildsteina. W epoce baniek to rzadkość.

Niektórych rzeczy nie wiedziałem. Znałem rodzinną tradycję córki i wnuczki dwóch narodowców, ale jeszcze bardziej wyrazistą endeczką, a przy okazji mocną kobietą, była jej matka. Dostajemy świadectwa rodziny: dwóch braci i siostry, z którymi Katkowski roztrząsa ekscentryczny charakter Staniszkis, w tym próbuje zweryfikować jej własne twierdzenie, jakoby była osobą w spektrum autyzmu.

Dostajemy rzetelną opowieść o zaangażowaniu socjolożki w wydarzenia Marca 1968 r., a zwłaszcza w Solidarność. Dla mnie jej podstawową sprzecznością były niejako dwie natury: z jednej strony specjalistki od konstruowania dość hermetycznym językiem modeli społecznych, z drugiej – amatorki nie zawsze należycie sprawdzanych wieści zza kulis. Sam przeprowadziłem kilka wywiadów z nią, więc potwierdzam.

Pewną słabością książki jest niepełne zrozumienie przez autora związków Staniszkis z pisowską prawicą. Rozmawia m.in. z Mateuszem Morawieckim, nie jest jednak w stanie uchwycić, co łączyło jej teorie na temat „postkomunizmu" z praktycznym programem Jarosława Kaczyńskiego, od którego w końcu się odwróciła. Najbardziej groteskową opinią cytowaną przez Katkowskiego jest za to pogardliwa wypowiedź Magdaleny Środy o pani profesor. Ta kobieta jak zwykle niczego nie rozumie.





Maciej ***Walaszczyk***

Ambasador słusznej sprawy

W 1981 r. „Ambasadora" wystawił Teatr Polski w reżyserii Kazimierza Dejmka, z Andrzejem Szczepkowskim, Tadeuszem Łomnickim i Stanisławem Zaczykiem w rolach głównych. Ale chwilę po prapremierze nastał stan wojenny i spektakl zdjęto z afisza. W latach 90. do sztuki, zdawałoby się z minionej epoki, wracał m.in. Erwin Axer.

Od kilku lat z dużym powodzeniem znów wystawia ją Teatr Klasyki Polskiej. Znak czasów – Mrożka w świetnej, klasycznej inscenizacji można dziś obejrzeć w jednym czy drugim domu kultury. Taką misję spełnia właśnie TKP, którego styl, repertuar, a może i samo istnienie drażni luminarzy nowej estetyki teatralnej, za sprawą których teatry zalewa repertuarowa tandeta. Mniej w niej literatury, a więcej tanich prowokacji.

„Ambasador" to historia pracownika fabryki globusów, prostolinijnego Człowieka (Dariusz Kowalski) w kufajce, który w stolicy wschodniej despocji przeniknął do ambasady kraju zachodniej demokracji i poprosił o azyl. Interpretacja inscenizacji z lat 80. była oczywista. Mrożek to jednak znakomity dramaturg, więc za sprawą reżysera Jarosława Gajewskiego widz ma dziś szansę dostrzec głębszą i bardziej uniwersalną wymowę tej sztuki. Napisanej przecież przez bystrego obserwatora, który kilkanaście lat później będzie przerażony kryzysem kultury świata zachodniego. W „Ambasadorze" owo fikcyjne europejskie państwo więc zanikło, „rozlało się", pozostawiając – dosłownie – na polu walki osamotnionego Ambasadora (Andrzej Mastalerz). Dlaczego jednak ten decyduje się na pozbawiony nadziei heroizm w obronie zbiega? W imię honoru, wiary, człowieczeństwa, idei, by z bronią w ręku iść na zderzenie z siłą totalitarnej machiny? Wtedy istniał Związek Sowiecki, a zachodnie liberalne demokracje były uznawane za oazy wolności. Jednak dziś gwałci się w nich wolność słowa, wyznania, testuje narzędzia masowej kontroli, manipulacji i inwigilacji.

Czyżby Mrożek celnie przewidział nasz los? Rosja i Chiny znakomicie zarządzają strachem. Europa zapada się pod własną niemocą, choć jest na tyle silna, by rozpuścić suwerenność państw, a rozbite społeczeństwo uczynić wspólnikiem degradującego ją zła. Pełnomocnik (Bartosz Turzyński) znakomicie opisuje te metody – rządzić, kontrolując namiętności, przez strach i nienawiść. Ambasador dojrzewa, by się im przeciwstawić.



„Ambasador" według S. Mrożka, reż. Jarosław Gajewski, Teatr Klasyki Polskiej, Warszawa

Tropiąc Sergiusza Piaseckiego

Kogo uwiodło awanturnicze pisarstwo Sergiusza Piaseckiego i jego „legenda literacka", ten być może zetknął się z wydaną wiele lat temu książką „Żywot człowieka uzbrojonego". Można się było z niej dowiedzieć wielu ciekawych informacji o jego pełnym zagadek życiu przemytnika, szpiega, więźnia i pisarza emigranta. Po ponad 25 latach, pod redakcją naukową autora tamtej biografii Krzysztofa Polechońskiego oraz Doroty Heck, ukazuje się zbiór tekstów będących owocem dużej konferencji naukowej zorganizowanej we Wrocławiu w 2024 r.

Pełna dramatycznych przełomów biografia Piaseckiego i znakomity literacki styl wciąż budzą zrozumiałą ciekawość oraz mnożą pytania. Choćby o kulisy jego pobytu w Zakopanem, gdzie znalazł się na początku 1939 r., by podleczyć gruźlicę, na którą zapadł, odsiadując wyrok na Świętym Krzyżu. Zaprzyjaźnił się wtedy z Witkacym. Mówią o tym strzępy listów napisane przez Piaseckiego, wspomnienie pt. „Prometeusz" i kilka portretów machniętych przez „pontifexa maximusa katastrofizmu". Scementowały ich młodzieńcze doświadczenia z czasów rewolucji bolszewickiej, o których – szczególnie Witkacy – nie opowiadali postronnym, literatura, humor, wyprawy na piwo i narkotyczne eksperymenty.



„Tropami Wielkiej Niedźwiedzicy. Z nowych badań nad życiem i dziełem Sergiusza Piaseckiego" (pod red. K. Polechońskiego i D. Heck), LTW 2026

Pytania mnożą się też na temat rekonstruowanego przez Wojciecha Śleszyńskiego przebiegu pracy wywiadowczej Piaseckiego na pograniczu polsko-sowieckim, do której został zwerbowany w 1922 r. Szczególnie interesująca jest też szczegółowa konfrontacja powieściowych opisów topografii ówczesnego Mińska i okolic. Okazuje się, że szlaki przemytnicze i wywiadowcze w rejonie dawnej granicy polsko-sowieckiej zostały – jak ocenia Zdzisław J. Winnicki – opisane niemal dokumentacyjnie. Ale już w warstwie moralnej Piasecki zacierał granice między „wydziedziczonymi przez los" przestępcami a nieprzestępcami, odróżniał pozorną uczciwość od tej wynikającej z autentycznej postawy człowieka wobec człowieka. Ale, jak dowodzi Maciej Urbanowski, badający obecny w jego twórczości motyw diabła, był człowiekiem niezwykle wrażliwym na zło. To, któremu ulegają ludzie i to, jakim był komunizm.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 9016f0c18b

Ród niemal królewski

Radziwiłłowie byli jedną z najpotężniejszych rodzin możnowładczych Europy Środkowo-Wschodniej. Zapisali się w polskiej historii zarówno jako wybitni wodzowie, mecenasi kultury i politycy, jak i postaci tragiczne, a nawet zdrajcy. Kluczowym okresem był XVI w., kiedy Mikołaj Radziwiłł „Rudy" i Mikołaj Radziwiłł „Czarny" stali się najważniejszymi magnatami Rzeczypospolitej. Jak litewski ród osiągnął pozycję niemal równą królom?



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Ród Radziwiłłów wywodził się z Wielkiego Księstwa Litewskiego i już w XV w. należał do kręgu miejscowej elity politycznej. Na kartach historii rodzina pojawia się po raz pierwszy przy okazji porozumienia polsko-litewskiego z 1401 r., znanego jako unia wileńsko-radomska, potwierdzająca zwierzchnictwo Władysława II Jagiełły nad Litwą rządzoną przez Witolda Kiejstutowicza. Na dokumencie widnieje imię Krystyna Ościka, członka rady wielkoksiążęcej i późniejszego kasztelana wileńskiego.

Początkowo Radziwiłłowie byli jedną z wielu rodzin bojarskich, jednak trafnie wykorzystali moment formowania się nowego układu politycznego po objęciu władzy przez dynastię Jagiellonów. Władcy, obawiając się potęgi dawnych rodów wywodzących się z Rusi Kijowskiej, zaczęli budować nową elitę opartą na lojalnych współpracownikach, oferując im urzędy i nadania ziemskie w zamian za poparcie. Kontynuatorem rodzinnego dzieła był syn Ościka Radziwiłł Ościkowicz. Początkowo pełnił funkcję marszałka nadwornego, później marszałka ziemskiego oraz wojewody trockiego. Tuż przed śmiercią w 1474 r. udało mu się – tak jak ojcu – zostać kasztelanem wileńskim.

WOJEWODOWIE, KANCLERZE, MAGNACI

Nazwisko rodowe utrwaliło się później. Przyjął je syn Radziwiłła Ościkowicza Mikołaj Radziwiłłowicz zwany „Starym". Dzięki służbie u boku Kazimierza IV Jagiellończyka i jego synów osiągnął najwyższe godności w państwie – został m.in. namiestnikiem smoleńskim, później kasztelanem trockim, by w końcu objąć funkcję kanclerza wielkiego litewskiego i wojewody wileńskiego. Od tego momentu rozwój rodu bazował na spójnej strategii łączenia kariery urzędniczej z rozbudową majątków ziemskich oraz zawieraniem korzystnych małżeństw. Pozwoliło to Radziwiłłom wejść do ścisłego grona najważniejszych rodzin regionu.

Rosnącemu znaczeniu rodziny nie zaszkodziło nawet jego poparcie dla buntów przeciwko królowi, które w latach 50. XV w. wstrząsnęły Wielkim Księstwem Litewskim. Wiele rodów nie było zadowolonych z coraz silniejszego związku z Polską oraz z tego, że monarcha częściej przebywał w Krakowie niż w Wilnie. Kazimierz Jagiellończyk próbował załagodzić sytuację, prowadząc politykę rozdawnictwa i lawirując między możnymi. W efekcie Radziwiłłowie stopniowo powiększali swoje dobra, rozwijając je poprzez wycinkę lasów, zakładanie nowych wsi i miast. O ich rosnącej pozycji świadczyło także to, że kolejni przedstawiciele rodu piastowali najwyższe urzędy w Wielkim Księstwie Litewskim.

ZŁOTY WIEK

Prawdziwy przełom nastąpił jednak w XVI w., gdy Rzeczpospolita pod rządami ostatnich Jagiellonów przeżywała złoty wiek. Syn Mikołaja Radziwiłłowicza, Mikołaj II zwany „Amorem", podobnie jak ojciec objął najwyższe urzędy na Litwie: kanclerza wielkiego i wojewody wileńskiego. Jego brat, Jerzy I Radziwiłł zwany „Herkulesem", zasłynął jako uczestnik wielu zwycięskich bojów, m.in. pod Orszą, a później



Fot. Muzeum Narodowe w Krakowie

Nieśwież. Zamek Radziwiłłów – widok od rzeki Uszy

eprasa.pl 9016f0c18b

pełnił urząd hetmana wielkiego litewskiego. W 1515 r. Mikołaj II wziął udział w polskim poselstwie na rokowania jagiellońsko-habsburskie, zakończone traktatem wiedeńskim.

Oprócz realizacji zadań powierzonych przez Zygmunta Starego dążył również do podniesienia prestiżu swojej rodziny. 27 lutego 1518 r. cesarz Maksymilian I nadał linii Radziwiłłów z Goniądza i Mendel tytuł książąt Rzeszy. W realiach Rzeczypospolitej było to wyróżnienie wyjątkowe – dotąd tytuł książęcy przysługiwał bowiem potomkom Giedymina, rodom ruskim wywodzącym się od Rurykowiczów oraz rodzinom od dawna noszącym miano kniaziów. Pierwsza książęca linia Radziwiłłów wygasła jednak szybciej, niż można się było spodziewać. Po śmierci Mikołaja II jego majątek odziedziczył syn Jan, który zmarł w 1542 r. bez męskiego potomka, co oznaczało wygaśnięcie tej gałęzi rodziny i utratę tytułu.

Kluczową rolę w stworzeniu potęgi rodu Radziwiłłów odegrało kolejne pokolenie, tym razem wnuków Mikołaja Radziwiłłowicza: Mikołaj „Czarny” z linii nieświeskiej oraz Mikołaj „Rudy” z linii birżańskiej. „Rudy” przyszedł na świat w 1512 r., a „Czarny” w 1515 r. Choć ich rodzina była silna w Wielkim Księstwie Litewskim, obaj zdobyli rzeczywisty wpływ na politykę dopiero w połowie lat 40. XVI w.

KRÓLEWSKI SKANDAL

Wszystko zmieniło się za sprawą Barbary Radziwiłłówny, siostry Mikołaja „Rudego”. Zygmunt August od 1529 r. rezydował w Wilnie jako wielki książę Litwy. 20 lutego 1530 r. arcybiskup gnieźnieński i prymas Polski Jan Łaski koronował go *vivente rege*, czyli jeszcze za życia jego ojca Zygmunta I Starego, na króla Polski w katedrze wawelskiej. W tym samym roku zaaranżowano małżeństwo między młodym, 10-letnim Zygmuntem Augustem, a liczącą zaledwie 4 lata Elżbietą Habsburżanką. Zgodnie z ustaleniami obu rodzin ślub odbył się 13 lat później, 6 maja 1543 r. w katedrze na Wawelu. Małżonkowie zamieszkali w Wilnie, jednak ich pożycie nie było udane, głównie z powodu epilepsji, na którą cierpiała królowa.

W tym czasie Zygmunt August poznał Barbarę Radziwiłłównę, wdowę po wojewodzie trockim Stanisławie Gasztołdzie. Między młodymi zawiązał się romans. Po śmierci schorowanej Elżbiety w 1545 r. król jeszcze silniej związał się z Barbarą, a Mikołaj „Rudy” oraz jego brat stryjeczny Mikołaj „Czarny” przekonali go do poślubienia jej. Ślub odbył się w tajemnicy w 1547 r., a jego ujawnienie wywołało ogromne poruszenie i sprzeciw.

> Ok. 1750 r. Radziwiłłowie posiadali 23 zamki, 426 miast, 2032 majątki ziemskie oraz ponad 10 tys. wsi. Przy populacji Rzeczypospolitej szacowanej na ok. 10 mln ludzi liczba poddanych Radziwiłłów sięgała nawet 2,5 mln



Jeden z herbów Radziwiłłów

Związek ten spotkał się z gwałtowną reakcją zarówno Zygmunta I Starego, jak i królowej Bony, ponieważ był sprzeczny z ich planami politycznymi i został uznany za mezalians uderzający w powagę państwa oraz wywyższający ród Radziwiłłów.

Małżeństwo monarchy z przedstawicielką magnackiej rodziny oznaczało realne wzmocnienie pozycji całego rodu. Sytuację dodatkowo zmieniła śmierć Zygmunta Starego 1 kwietnia 1548 r., kiedy jego syn przejął samodzielne rządy w państwie. Elity Rzeczypospolitej sprzeciwiały się koronacji Barbary, jednak Zygmunt II August dopiął swego. Radziwiłłówna została królową Polski 7 grudnia 1550 r.

Wydarzenia te miały istotny wpływ na pierwsze lata panowania Zygmunta Augusta oraz na stosunki wewnętrzne w państwie. Król przeforsował koronację, składając obietnice ustępstw wobec duchowieństwa i szlachty. Jednocześnie pozostawał przekonany do współpracy przede wszystkim z magnaterią i senatorami oraz opierał swoją władzę na dziedzicznym tronie litewskim. Wobec szlacheckiego stronnictwa reform prowadził politykę odkładania decyzji na później. Najbliżej monarchy pozostawali Mikołaj „Rudy” i Mikołaj „Czarny”, którzy jako jego krewni znacząco wzmocnili swoją pozycję polityczną i prestiż.

KSIĄŻĘTA RZESZY

Obaj bracia byli hojnie obdarzani przez króla urzędami i nadaniami. Mikołaj „Czarny” objął funkcje kanclerza i wojewody wileńskiego, natomiast „Rudy” został wojewodą trockim. Jako szwagier monarchy i dotychczasowy opiekun Barbary cieszył się on szczególnym zaufaniem Zygmunta Augusta. Wobec powszechnej niechęci na tle królewskiego małżeństwa oraz częstej nieobecności władcy na Litwie „Rudemu” powierzono pieczę nad Wielkim Księstwem Litewskim oraz nadzór nad działaniami nieprzychylnych możnych. W praktyce odgrywał on rolę namiestnika Litwy. Nie zmieniła tego nawet śmierć Barbary w 1551 r. Wkrótce król zawarł trzecie, również nieudane małżeństwo – poślubił Katarzynę Habsburżankę, siostrę Elżbiety. Mimo to relacje między monarchą a Mikołajami „Rudym” i „Czarnym” pozostały bliskie.

Jeszcze przed śmiercią Zygmunta Starego Radziwiłłowie podjęli starania o odzyskanie tytułu książąt Rzeszy. Dzięki poparciu Zygmunta Augusta 10 grudnia 1547 r. cesarz Karol V nadał Mikołajowi „Rudemu” tytuł księcia na Birżach i Dubinkach. Kilka dni później analogiczny przywilej otrzymał Mikołaj „Czarny”, którego linia została uhonorowana godnością książąt na Ołyce i Nieświeżu. W ten

Fot. Tadeusz Gaj/CC BY-SA 4.0

eprasa.pl 9016f0c18b



Książę Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, zwany „Czarnym”

Mikołaj Radziwiłł „Rudy”

Portret królowej Barbary Radziwiłłówny, według obrazu Lucasa Cranacha Młodszego

sposób tytuł książęcy objął cały ród Radziwiłłów. 25 stycznia 1549 r. nadania te potwierdził Zygmunt II August.

Było to nie tylko prestiżowe wyróżnienie, lecz także wyraz wyjątkowej pozycji rodu, który pod względem znaczenia i majątku stawał się niemal równy monarchom. W drugiej połowie XVI w. Radziwiłłowie osiągnęli szczyt potęgi. Ród wywierał znaczący wpływ na decyzje królewskie, obsadzanie urzędów oraz kierunki polityki państwa. Ich dobra na Litwie i w Koronie obejmowały setki wsi, liczne miasta, zamki i folwarki. Rezydencje w Nieświeżu czy Ołyce stały się ważnymi ośrodkami życia politycznego i kulturalnego.

PRZECIWNICY UNII, PROTEKTORZY PROTESTANTÓW

W dobie reformacji Radziwiłłowie umiejętnie wykorzystali przemiany religijne w Europie. Działalność ta miała wymiar przede wszystkim polityczny. Wspieranie reformacji umożliwiało ograniczanie wpływów Kościoła katolickiego i budowanie niezależności od samego króla. Mikołaj „Czarny”, który początkowo interesował się luteranizmem, w 1553 r. zerwał z katolicyzmem, a następnie stał się najważniejszym promotorem kalwinizmu w Rzeczypospolitej. W 1564 r. dołączył do niego „Rudy”.

Radziwiłłowie finansowali zbory, drukarnie, wspierali rozwój szkół religijnych i propagowali nowe wyznanie, zwłaszcza wśród polskiej i litewskiej szlachty. Po śmierci „Czarnego” w 1565 r. przywództwo ruchu różnowierczego w Wielkim Księstwie Litewskim przejął „Rudy”. Objął również po kuzynie urzędy kanclerza i wojewody wileńskiego, a także wielokrotnie sprawował funkcję hetmańską. Przez niemal trzy dekady skutecznie dowodził armią litewską, uczestnicząc m.in. w interwencji w Inflantach oraz walkach z Moskwą. Jego największym sukcesem było zwycięstwo nad wojskami Iwana IV Groźnego w bitwie nad Ułą w 1564 r.

Unia lubelska z 1569 r. nie osłabiła znaczenia Radziwiłłów. Choć przez lata sprzeciwiali się zacieśnieniu związku Korony z Litwą, ostatecznie potrafili wykorzystać nowe realia do umocnienia swojej pozycji. Kontrola nad Litwą w praktyce nie była możliwa bez ich udziału. „Rudy” cieszył się również zaufaniem króla Stefana Batorego, który rozpoczął rządy w Rzeczypospolitej w 1575 r. Hetman brał udział w kampaniach króla przeciwko Moskwie, walczył pod Połockiem, Wielkimi Łukami i Pskowem. Zmarł 27 kwietnia 1584 r. w Wilnie, pozostawiając po sobie ugruntowaną potęgę rodu Radziwiłłów.

NAJWIĘKSZY RÓD RZECZYPOSPOLITEJ

W kolejnych stuleciach Radziwiłłowie nadal odgrywali kluczową rolę w życiu politycznym i społecznym kraju. Z czasem stali się symbolem najwyższej arystokracji Rzeczypospolitej Obojga Narodów. O ich wyjątkowej pozycji świadczy także to, że używali przydomków dodawanych do imion, co było przywilejem zarezerwowanym zazwyczaj dla władców. Z tego rodu wywodziło się siedmiu hetmanów, siedmiu kanclerzy, trzech biskupów oraz dziesiątki wojewodów, starostów i kasztelanów, a także trudną do podsumowania liczbę mniejszych urzędów. Swoją potęgę utrzymywali przez wieki m.in. dzięki systemowi ordynacji, który skutecznie zapobiegał rozdrobnieniu rodowego majątku.

Żaden inny ród w dziejach Rzeczypospolitej nie dorównywał Radziwiłłom pod względem bogactwa i wpływów. W ich rękach znajdowała się znaczna część ziem litewskich, a w połowie XVIII w. w dobrach należących do tej magnackiej familii mieszkała nawet jedna czwarta ludności całego państwa. Ok. 1750 r. Radziwiłłowie posiadali 23 zamki, 426 miast, 2032 majątki ziemskie oraz ponad 10 tys. wsi. Przy populacji Rzeczypospolitej, szacowanej na ok. 10 mln ludzi, liczba poddanych Radziwiłłów sięgała nawet 2,5 mln. Skala tej fortuny była wręcz trudna do wyobrażenia, nawet na tle najpotężniejszych rodów Europy.

Trudno jednak wskazać inną rodzinę budzącą równie skrajne emocje. Z jednej strony jej przedstawicielami byli zasłużeni wodzowie, jak wspomniany Jerzy „Herkules”, bohater spod Orszy, czy zwycięzca spod Kokenhausen Krzysztof „Piorun”, z drugiej – książęta Janusz i Bogusław, którzy za sprawą „Potopu” Henryka Sienkiewicza są pamiętani jako jedni z największych zdrajców Rzeczypospolitej. Dziedzictwo Radziwiłłów do dziś pozostaje jednym z najbardziej wyrazistych symboli potęgi dawnej Rzeczypospolitej – zarówno jej wielkości, jak i wewnętrznych sprzeczności.

Fot. (od lewej): Muzeum Narodowe w Krakowie/Chęć Andrzej, Muzeum Narodowe w Krakowie/Ewelina Stowińska, Muzeum Narodowego w Warszawie

eprasa.pl 9016f0c18b

Reforma pełna błędów

O potrzebie zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym





ALEKSANDER NALASKOWSKI

Reforma szkolnictwa wyższego i nauki wprowadzona przez Jarosława Gowina, znana potocznie jako Konstytucja dla Nauki, od samego początku budziła silne emocje w środowisku akademickim. Jej deklarowanym celem było zwiększenie konkurencyjności polskich uczelni na arenie międzynarodowej, poprawa jakości badań naukowych oraz bardziej efektywne zarządzanie instytucjami szkolnictwa wyższego. Jednak kilka lat po jej wdrożeniu coraz wyraźniej widać, że oprócz nieznacznych i w gruncie rzeczy mało istotnych pozytywnych impulsów reforma przyniosła również wiele poważnych problemów, pospolitych idiotyzmów i kontrowersji, które skłaniają do krytycznej refleksji nad jej rzeczywistymi skutkami. Dzisiaj już mało kto interesuje się uczelniami i nauką. Spory wyłom zrobiło Prawo i Sprawiedliwość, niedawno poświęcając nauce osobną konferencję. Ale to wyjątek. Na co dzień jesteśmy przygniatani przez politykę, sprawy bieżące, kwestie międzynarodowe i nie bardzo chce nam się zaglądać za mury uniwersytetów.

ODEJŚCIE OD IDEI UNIVERSITAS

Jednym z najczęściej podnoszonych zarzutów wobec reformy jest postępująca centralizacja władzy na uczelniach. Wzmocnienie pozycji rektorów, którzy zyskali szerokie kompetencje kosztem kolegialnych organów, takich jak rady wydziałów, co doprowadziło do ograniczenia wpływu społeczności akademickiej na kluczowe decyzje.

W teorii miało to usprawnić zarządzanie i umożliwić szybsze reagowanie na wyzwania, jednak w praktyce prowadzi do marginalizacji głosu pracowników naukowych oraz zwiększenia ryzyka arbitralnych decyzji. Model zarządzania inspirowany logiką korporacyjną nie przystaje do specyfiki instytucji akademickich, których fundamentami powinna być autonomia i pluralizm. To odejście od idei *universitas*, której jądrem jest wspólnotowość.

WYJAŁAWIAJĄCA „PUNKTOZA"

Kolejnym istotnym problemem jest system ewaluacji działalności naukowej. Reforma wprowadziła rozbudowany mechanizm oceny, bazujący w dużej mierze na wskaźnikach bibliometrycznych oraz punktacji publikacji. Choć celem było podniesienie jakości badań, w praktyce system ten sprzyja „punktozie" – zjawisku polegającemu na podporządkowaniu działalności naukowej zdobywaniu punktów, a nie rzeczywistej wartości poznawczej. Badacze coraz częściej wybierają tematy „bezpieczne"

Fot. Radek Pietruszka/PAP

eprasa.pl 9016f0c18b

i publikują w czasopismach gwarantujących wysoką punktację, zamiast podejmować ryzykowne, innowacyjne projekty.

W efekcie może dochodzić do paradoksalnego obniżenia jakości nauki, mimo formalnego wzrostu jej „mierzalnych" wskaźników. Już nieważne, co się publikuje, ale za ile punktów. Zaczynają dominować tematy dobrze się „sprzedające", w tym problematyka LGBT+ czy gender. Problemy naprawdę istotne z punktu widzenia nauki zostają wyparte przez słowa wytrychy, takie jak różnorodność, tożsamość płciowa, równouprawnienie czy tolerancja. Badania wywodzące się z paradygmatu konserwatywnego mają niemal zerowe szanse na wysoko punktowane publikacje i finansowanie. Tutaj daje o sobie znać akademicki skręt w lewo, dostrzegalny gołym okiem.

WADLIWY MODEL FINANSOWANIA

Nie mniej kontrowersji budzi właśnie sposób finansowania uczelni i instytutów badawczych. Reforma wzmocniła mechanizmy konkurencyjne, uzależniając wysokość finansowania od wyników ewaluacji. Choć idea premiowania najlepszych wydaje się słuszna, w praktyce prowadzi ona do pogłębiania nierówności między jednostkami. Jest bowiem patologiczna. Najsilniejsze ośrodki zyskują jeszcze większe środki, podczas gdy słabsze – często odgrywające ważną rolę regionalną – tracą możliwości rozwoju. Taki model sprzyja koncentracji zasobów w kilku największych miastach, co negatywnie wpływa na dostępność edukacji i badań w mniejszych ośrodkach akademickich. Dochodzi do ich upośledzenia. Działanie odległe od idei zrównoważonego rozwoju.

DRENAŻ TALENTÓW

Reforma Gowina znacząco wpłynęła także na sytuację młodych naukowców. Z jednej strony wprowadzono szkoły doktorskie, które miały uporządkować system kształcenia doktorantów i zapewnić im lepsze warunki finansowe. Z drugiej jednak zwiększono wymagania i presję na szybkie osiąganie wyników naukowych. Młodzi badacze funkcjonują w warunkach dużej niepewności, często zmuszeni do pracy na umowach krótkoterminowych i uzależnieni od grantów. Takie rozwiązanie wręcz zachęca do naukowej drogi na skróty. W rezultacie wielu młodych rezygnuje z kariery naukowej lub decyduje się na wyjazd za granicę, co prowadzi do drenażu talentów. Stwierdzenie, że środki na naukę to inwestycja w przyszłość, pozostaje pustym sloganem.

DYDAKTYKA NA DRUGIM PLANIE

Istotnym aspektem reformy jest także jej wpływ na dydaktykę. W dyskusji o jakości nauki często pomija się fakt, że uczelnie pełnią również funkcję edukacyjną.

> Reforma szkolnictwa wyższego autorstwa Jarosława Gowina stanowi przykład ambitnej, ale problematycznej i w wielu wymiarach po prostu głupiej próby modernizacji systemu akademickiego w Polsce. Krytyczna analiza tych procesów jest niezbędna, aby w przyszłości uniknąć powielania tych samych błędów

Tymczasem nacisk na publikacje i wyniki badań sprawia, że działalność dydaktyczna bywa traktowana jako mniej istotna. Może to prowadzić do obniżenia jakości kształcenia, szczególnie na kierunkach, które nie generują wysokiej punktacji naukowej. Studenci stają się w pewnym sensie „produktem ubocznym" systemu nastawionego na mierzalne efekty badawcze.

UDRĘKA PAPIEROLOGII

Nie można również pominąć kwestii biurokratyzacji. Reforma, zamiast uprościć funkcjonowanie systemu, w wielu obszarach wprowadziła dodatkowe procedury i obowiązki sprawozdawcze. Naukowcy coraz więcej czasu poświęcają na wypełnianie raportów, przygotowywanie dokumentacji i dostosowywanie się do zmieniających się wymogów formalnych. To z kolei ogranicza czas, który mogliby przeznaczyć na rzeczywistą działalność badawczą i dydaktyczną. Widziałem wnioski o grant naukowy liczące ponad 100 stron!

Z ZACHODU NIE ZAWSZE LEPSZE

Warto także zwrócić uwagę na kontekst międzynarodowy, który często był przywoływany jako uzasadnienie reformy. Dążenie do poprawy pozycji polskich uczelni w globalnych rankingach stało się jednym z kluczowych argumentów jej twórców. Jednak bezrefleksyjne kopiowanie zachodnich modeli zarządzania i ewaluacji nie zawsze przynosi oczekiwane rezultaty. Jedynym wyraźnym efektem jest plasowanie się naszych najlepszych uczelni (Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego) w piątej setce w światowych rankingach.

SYSTEM DO POPRAWKI

Nie oznacza to, że reforma nie przyniosła żadnych pozytywnych zmian. W niektórych obszarach udało się zwiększyć przejrzystość zasad finansowania czy umiędzynarodowić część badań. Jednak bilans całościowy pozostaje katastrofalny. Zbyt wiele rozwiązań, które miały poprawić jakość nauki, w praktyce prowadzi do jej standaryzacji i podporządkowania logice mierzalnych wskaźników. Wymaga tego wskazana wcześniej „produkcja punktów".

Podsumowując, reforma szkolnictwa wyższego i nauki autorstwa Jarosława Gowina stanowi przykład ambitnej, ale problematycznej i w wielu wymiarach po prostu głupiej próby modernizacji systemu akademickiego w Polsce. Jej skutki ujawniają napięcie między efektywnością a autonomią, między konkurencją a solidarnością oraz między mierzalnością a rzeczywistą wartością nauki. Krytyczna analiza tych procesów jest niezbędna, aby w przyszłości uniknąć powielania tych samych błędów i stworzyć system, który będzie sprzyjał zarówno wysokiej jakości badań, jak i rozwojowi społeczności akademickiej jako całości.

eprasa.pl 9016f0c18b



MACIEJ WALASZCZYK

Kiedy opuścimy betonowe klatki?

Betonowe bloki bez wyrazu, zabudowa łanowa, wielkopowierzchniowe markety, puste ulice. Na polu architektury i urbanistyki też toczy się wojna o tożsamość. Nie budujmy pod dyktando deweloperów i podtrzymujmy ciągłość historycznych założeń urbanistycznych



Fot. Andrzej Skwarczyński

Trudno sobie wyobrazić sytuację, by ktoś, kogo gościmy w naszym domu, zwiedzał okoliczne blokowiska, parkingi i supermarkety, a nawet odarte z *sacrum* kościoły, które powstały w ciągu ostatnich 40–50 lat. Choć trzeba przyznać, że tłumy zwiedzających wciąż widać w centrach handlowych, które w ostatnich latach wdarły się także na prowincję.

Typowym przykładem są warszawskie Złote Tarasy, które obok Starówki i Łazienek awansowały do rangi atrakcji turystycznej i są uwzględniane w planie wycieczek szkolnych. Oprócz sklepów funkcjonują tam pralnie, apteki, przychodnie, kawiarnie, kina, restauracje, bawialnie dla dzieci, salony piękności i kluby fitness. To wszak świątynie masowej konsumpcji. Zaprojektowane zgodnie ze standardami architektury komercyjnej, której założenia wypracowali specjaliści od marketingu i sprzedaży do spółki z architektami. Efekt jest taki, że ta najbardziej zaawansowana technologicznie epoka pozostaje jednocześnie najbrzydszą pod względem estetyki zabudowy.

W Polsce mamy jeszcze inny paradoks, gdyż dziedzictwo modernizmu, głównie z czasów PRL, wciąż przeżywamy jako „ruinę przyszłości". Stalin, proklamując socrealizm i definiując sztukę jako inżynierię społeczną, organizował także przestrzeń, by w imię nowoczesności rewolucyjnie zmieniać społeczeństwo. Właśnie tak wygląda budynek Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, który celowo – jako prowokacyjna inscenizacja – odwołuje się do estetyki manifestacyjnie zrywającej z przeszłością.

ZANIEDBANA URBANISTYKA

W połowie maja br. w stolicy odbędzie się Kongres Architektury Polskiej. Będzie się toczyć debata m.in. o konieczności nauczania wrażliwości przestrzennej i estetycznej, związanym z urbanistyką problemem zdrowia psychicznego i fizycznego, bezpieczeństwa energetycznego oraz więzi społecznych. Rok temu rząd powołał nawet specjalną grupę roboczą do opracowania polityki architektonicznej państwa.

Na razie wiemy jedno – w PRL istniała bardzo dobra urbanistyka przy koszmarnej architekturze. Znaczenie miała odległość od domu do sklepu, apteki i szkoły. Dziś urbanistyki nie ma, ale jest możliwie dobra architektura, tylko nad wszystkim dominuje nadrzędny dyktat ekonomiczny. Bieguny zostały odwrócone – miasta jałowieją, wszystko reguluje rynek, a nie człowiek. „Obszary podmiejskie wymazują pojęcie miasta" – napisał Jean-Luc Debry, który poświęcił jedną ze swoich broszur zjawisku porozciąganych miast bez centrum i rozrastających się wokół nich obszarów podmiejskich, które także w naszym kraju są konsekwencją sił rynkowych – kredytu hipotecznego i ekspansji interesów tzw. deweloperów. Ich rozrost pogłębia izolację od centrów miast, które już utraciły przypisaną im kiedyś rolę kulturową i handlową. Na dodatek dynamiczny rozwój komunikacji, rozrost centrów handlowych i rewolucja cyfrowa powodują, że aby wyjść „pogadać na rynek", pojawiamy się w sieci społecznościowej. To sprawia, że można skutecznie obywać się bez miast.

Jednocześnie zanika także tradycyjna wieś – kolonizowana zabudową łanową domków traci swój charakter. Potwierdza to także praktyczne zniknięcie zwykłych ulic na wielu przedmieściach. Tymczasem żywa ulica jest właśnie oznaką zdrowego społeczeństwa, podczas gdy jej brak wskazuje na jego pogłębiającą

eprasa.pl 9016f0c18b

się chorobę. W przeciwieństwie do tradycyjnego miasta to nowoczesne nie jest już postrzegane jako całość, pieczętując koniec wspólnego poczucia przynależności jego mieszkańców.

ZERWANIE I UNIFORMIZACJA

Styl architektoniczny jest unikalnym sposobem bycia w historii, podobnie jak gastronomia, literatura czy muzyka. Bez tej świadomości jesteśmy skazani na nicość, a w najlepszym razie wtłoczeni w otoczenie zdominowane przez innych, czego wyrazem jest dziś architektura Nowego Europejskiego Bauhausu. Tych niemieckich, energooszczędnych brył forsowanych przez Ursulę von der Leyen, gdzie estetykę zastępuje „jakość doświadczenia". Wawrzyniec Rymkiewicz, redaktor naczelny pisma „Kronos", pisał, że już corbusierowskie blokowiska miały właśnie wyłącznie sens praktyczny, ale zgodnie z założeniami nie miały i nie mogły zadowolić estetycznie. „Okazało się, że ta architektura była błędem. Urzeczywistniona w kamieniu i wielkiej płycie, poddana została negatywnej weryfikacji. Chcemy żyć wśród pięknych budowli i pięknych przedmiotów. Taka potrzeba jest czymś naturalnym" – podkreśla filozof.

MODERNIZM ZŁY I DOBRY

Modernizm był dzieckiem rewolucji francuskiej i przemysłowej. Od przełomu XIX i XX w. architektura jest areną zaciętych walk ideologicznych. Rugowanie tradycyjnej estetyki stało się realizacją obietnicy nadejścia „lepszych czasów", budynki miały być pozbawione wszelkich metafizycznych odniesień i symboli, a realizować jedynie ideę domu jako „maszyny do mieszkania". To, co np. budowano wcześniej, stanowiło kumulację doświadczeń i było pomyślane tak, aby wykorzystać pasywne światło słoneczne do oświetlenia budynków. Nowoczesne źródła energii pozwoliły jednak zakwestionować te praktyki.

Od rewolucji bolszewickiej debata wokół form architektonicznych stała się wręcz wybitnie polityczna, a odmienne światopoglądy polityczne XX w., wyrażane m.in. przez sowiecki konstruktywizm i prokapitalistyczny racjonalizm Le Corbusiera, okazały się brzemienne dla architektury i otaczającego nas krajobrazu. Szczególnie po fali zniszczeń wywołanych II wojną światową i oddaniem części Europy Sowietom zwyciężył model dążący do zastępowania starych domów „nowoczesnymi" betonowymi klocami. Duże osiedla mieszkaniowe, także w Polsce, powstawały zazwyczaj przez przesiedlanie mieszkańców ze slumsów czy wsi i proces ten trwa do dziś.

Dziś jednak wiemy, że była to słaba odpowiedź na realną potrzebę. Duże osiedla mieszkaniowe zaspokajają potrzeby ilościowe, ale nie ludzkie. Korzyści płynące z polityki masowej budowy mieszkań przesłoniły ich długoterminowe konsekwencje, którymi są anonimowe sypialnie bez trwałego zakorzenienia, bez własnego miejsca, dzielnice bez punktów orientacyjnych i odizolowane od starych centrów miast. Architektura dużych osiedli mieszkaniowych to monotonia, równoważność frontu i tyłu budynków oraz często nadmierne rozmiary. W końcu era Fukuyamy, a więc globalizacji i turbokapitalizmu, to triumf kultury uniwersalnej konsumpcji, gdzie standaryzowany człowiek kupuje standardowe produkty, gubiąc swą indywidualność w standardowych mieszkaniach. Blokowiska – a także przedmieścia – szerzą bowiem wyłącznie nudę i monotonię.

> Najbardziej zaawansowana technologicznie epoka, w której żyjemy, jest jednocześnie najbrzydszą pod względem estetyki zabudowy

STYLE NIEZRYWAJĄCE Z TRADYCJĄ

Ale nic straconego – znane są przecież tendencje nowoczesne, a niezrywające radykalnie z przeszłością, choćby wszelkie odmiany europejskiej secesji. Mamy węgierski styl narodowy Ödöna Lechnera czy wspaniałe dziedzictwo harmonizowania nowego ze starym Karola Sicińskiego.

Jednym z przykładów humanizacji miast jest dość udana reurbanizacja przemysłowych terenów Saint-Denis, z wąskimi uliczkami, tramwajem i metrem. Albo rozbudowa brytyjskiego Poundbury w Kornwalii według projektu Léona Kriera. Miasto zostało celowo pozbawione strefy podmiejskiej i stanowi spójną całość, bez wyszczególnionych stref. W ten naturalny sposób ograniczono potrzebę jazdy samochodem, ożywiono ulice i ruch pieszych.

Wspierający właśnie takie podejście do architektury i urbanistyki Roger Scruton wskazywał na zachowanie tonujących emocje ludzkich miar i proporcji oraz na fakt, że tego rodzaju architektura wcale nie musi być oryginalna. „To skromna próba poprawy tego, co jest przez podążanie za dobrymi wzorcami. To nie nostalgia, lecz wiedza przekazywana z pokolenia na pokolenie" – wyjaśniał. Podobnie myślą Quinlan Terry i jego syn Francis, w sposób wręcz radykalny kontynuując styl architektury gregoriańskiej, elastycznie łącząc formy tradycyjne z nowoczesnymi. Albo wręcz ikoniczny Frank Lloyd Wright i jego ekstrawagancka architektura organiczna, całościowo jednak integrująca budynki z otoczeniem i przyrodą. Claude Parent zdecydowanie zerwał z modernizmem i przewodził grupie projektującej wygląd francuskich elektrowni jądrowych, szukając sposobów na ich lepszą integrację z krajobrazem. Fernand Pouillon był z kolei architektem odpowiedzialnym za projektowanie nowoczesnych, ogromnych powojennych osiedli mieszkaniowych, ale gardził „mentalnością króliczej klatki".

Pamięć historyczna i nostalgia zamieszkują nie tylko przedmioty, lecz także miejsca, a o piękno, które jest kruche, trzeba zabiegać i dbać. Być może nowe pokolenie znajdzie sposób na kształtowanie nowej zabudowy w takim duchu. Ktoś w końcu musi ujarzmić tę blaszano-betonową pustynię.

eprasa.pl 9016f0c18b



Demokratura nad Motławą

Fot. Shutterstock

Od lat rządzący, rozzuchwaleni politycznym status quo, są całkowicie odporni na krytykę niezadowolonych i zawiedzionych, bo i tak na nich zagłosują, nawet wbrew swoim interesom. Jakby „kochanych Gdańszczan" dopadł syndrom sztokholmski

Prominenci uważają, że mieszkańcy Gdańska oraz wspierający jego dobrobyt kupcy, hotelarze i restauratorzy są niegrzeczni, mruczą po kątach, więc należy ich poskramiać i trzymać w ryzach. Do tego służy m.in. straż miejska – „sekcja specjalna zawsze lojalna". Taki lot nad gdańskim kukułczym gniazdem

Nic tak nie otwiera umysłu jak drenowanie portfeli i gonitwa za miejscem parkingowym po przyjeździe do pracy. Coraz więcej „przebudzonych" czuje więc, że coś jest nie tak, ma dość opresyjnej polityki administracji i uważa, iż miarka się przebrała.

Nie bacząc na to, włodarze wciąż przykręcają śrubę. Parkingi w cenach europejskich! A do tego krok po kroku dla „kochanych Gdańszczan" puchnie kuriozalny regulamin zakazów i nakazów, właściwych, pozwalający z zachwytem i bez szemrania nakładać i przyjmować kary, ochoczo składać daniny na rzecz miasta. Wspólnotowość i demokracja demokracją, ale twarda ręka musi być.

Od lat rządzący, rozzuchwaleni politycznym *status quo*, są całkowicie odporni na krytykę niezadowolonych i zawiedzionych, bo i tak na nich zagłosują, nawet wbrew swoim interesom. Jakby „kochanych Gdańszczan" dopadł syndrom sztokholmski. „Drodzy, jak co roku podnosimy wam opłaty i... nasze wynagrodzenia". By żyło się lepiej.

Jest już plan, jak przepędzić – a w najnowszej historii wiceprezydent Lisicki polewał krnąbrnych wodą z miejskiego hydrantu – gastronomów i kupców z miasta, a powołać bardziej posłusznych i zdyscyplinowanych. Nadto zmarginalizować Główne Miasto, dziś tętniące jeszcze życiem po latach wysiłków byłego prezydenta. Powołać nowe, hałaśliwe centra rozrywki, gdzie bez apki się nie obejdzie. Ambicją jest też wybudowanie wokół stoczni jeszcze większej liczby blokowisk, bez dróg dojazdowych i parkingów, zaburzanie pięknej architektury, co już się udało np. w starej Oliwie. Tylko czekać, jak decydenci podchwycą zachodnią modę na zamienianie świątyń w kawiarnie i restauracje.

Marzenie gdańskiej władzy o zamienieniu przyjaznego miasta w posłuszną korporację przybiera niestety realne kształty. Monitorowanie gminnego dobytku z lądu i z powietrza przez drony, chęć zaglądania do prywatnych domostw, narzucanie infantylnych mód ideologicznych, nękanie drobnych przedsiębiorców, a przymilanie się do „wyższej klasy średniej".

Nadzieja, że lud się wzburzy i dojdzie do wywrócenia stolika, dociera z Krakowa. Będzie tam referendum, jest więc szansa, że buta włodarzy i dociskanie „poddanych" zostaną ukarane. Obalenie przez grodzkie pospólstwo prezydenta Miszalskiego może fermentować również w Gdańsku.

W Gdańsku pani prezydent, śląc całusy i serduszka z Instagrama czy Facebooka, jest spokojna o władztwo swojej gildii, bo wie, że straż miejska nad nią czuwa, a nad strażą czuwa jej zastępca.

Wrażenie, że mieszkańcy Gdańska bywają jednak bardzo niegrzeczni – a przez to niebezpieczni – potęgują statystki straży miejskiej, której budżet z tytułu wlepiania mandatów z roku na rok rośnie, z czego formacja ta jest dumna. Jej prezydent też! W ubiegłym roku niczym orkiestra Owsiaka zanotowali kolejny rekord. W trakcie 12 miesięcy 2025 r. funkcjonariusze podjęli 39 897 interwencji, czyli o 11,6 proc. więcej niż rok wcześniej.

Raport formacji potwierdza to, co jest widoczne gołym okiem i opresyjne dla mieszkańców – że 79 proc. interwencji dotyczy obszaru ruchu drogowego, czyli parkowania. Na koła źle zaparkowanych pojazdów założono 10 498 blokad, w tym

21/0426/F

eprasa.pl 9016f0c18b

jedną pewnej kobiecie przy kościele, po 10-minutowej spowiedzi. Na szczęście za likwidację miejsc do parkowania nikt w urzędzie blokady na fotel nie otrzyma.

Strażnicy bardzo niebezpiecznie uaktywnili się też w obszarze ochrony środowiska. W pogoni za trendy ekoobsesją kręcą po mieście kilometry i produkują własne spaliny. Przeprowadzili 2987 kontroli miejsc gromadzenia odpadów, 2298 kontroli pieców pod kątem spalania odpadów – i nic. Smród z Szadółek bywa nie do zniesienia.

„Sekcja specjalna" włodarzy raportuje, że reaguje na zgłoszenia obywatelskie, czemu zaprzecza znajoma, wielokrotnie zgłaszająca inwazję dzików na swoją posesję, co być może poskutkowało dla niej mandatem za psa.

W ramach interwencji aktywni stróże prawa wymierzyli też solidne kary za „groźne" przewinienia, takie jak nieregulaminowe picie alkoholu i palenie papierosów w miejscu publicznym, o 2 cm za blisko przystanku. „Nie pal peta na trawniku, nie pij piwa na chodniku. Zajrzyj najpierw do ustawy, zanim cukier dasz do kawy" – to apel o czujność mieszkańców.

> W Gdańsku pani prezydent, śląc całusy i serduszka z Instagrama czy Facebooka, jest spokojna o władztwo swojej gildii, bo wie, że straż miejska nad nią czuwa, a nad strażą czuwa jej zastępca

Migające światła straży miejskiej i agresywne najazdy na ulice i parkingi, zwiastujące niechybne nieszczęście, powodują u bardziej wrażliwych mieszkańców lęk, a w niektórych przypadkach nerwicę. Zdyscyplinowani rodzice straszą nimi niegrzeczne dzieci.

Z najnowszych doniesień wynika, że funkcjonariusze są przezorni i dlatego dla bezpieczeństwa na ich piersiach zawisną kamery odstraszające mieszkańców. By miarkowali się obywatele czy władza, sięgając po paralizator?

Tej zimy w ramach dbałości o miasto i mieszkańców dzielni strażnicy ukryli się w ogrzewanych radiowozach, unikając niebezpiecznych, oblodzonych ulic i chodników. Gdyby mieli dostateczną liczbę łopat i polecenie władz, mogliby przecież popędzić obywateli do odśnieżania, dając osobisty przykład zarządzania kryzysowego. Uzbrojony w łopatę strażnik nadałby gdańskiej władzy demokratyczny, równościowy sznyt. A tak obywatele ględzą po kątach o demokraturze nad Motławą, spiskują, jak zmienić reżim na mniej uciążliwy.

Joanna Formela

REKLAMA



eprasa.pl 9016f0c18b


Kompozycja astronomiczna, Olsztyn



TOMASZ SZYMAŃSKI*

W poszukiwaniu tego, co na widoku

Popularność Tomasza Szymańskiego – i jego przekazu – wzięła się z przełamania sposobu, w jaki nierzadko nadal mówi się o sztuce. Album, wydany właśnie przez Znak Koncept, to przewodnik po często nietypowych miejscach, w których umieszczono dzieła wybitnych artystów. Mijamy je, nie zwracając uwagi, oswojeni z ich obecnością albo nie zdając sobie sprawy, na czym nie skupiliśmy uwagi. A może w nadchodzącą majówkę wspierani przez autora postawmy sobie zadanie: odnaleźć w najbliższej lub nieco dalszej przestrzeni to, co „ukryte na widoku".

„Pierwszym impulsem do powstania tej książki był materiał o mozaikach na dworcu Warszawa Śródmieście" – pisze Szymański. „Wrzuciłem film na social media i natychmiast pojawiły się dziesiątki, a potem setki komentarzy. Ludzie byli zachwyceni, ale znacznie bardziej zdumieni – wspominali, że codziennie tamtędy przechodzą, ale nigdy nie zwrócili uwagi, że mijają dzieło jednego ze swoich ulubionych artystów, Wojciecha Fangora – jedynego polskiego twórcy docenionego indywidualną wystawą w nowojorskim Muzeum Guggenheima. Okazało się, że mamy na wyciągnięcie ręki, w ogólnodostępnej przestrzeni, ikonicznego artystę, ikoniczne dzieło, o którego istnieniu wie tylko wąski krąg profesjonalistów. A co, gdyby to nie był wyjątek? Gdyby się okazało, że fascynującej sztuki w przestrzeni publicznej wcale nie brakuje, tyle że jej nikt nie widzi? [...]

Głównym kryterium przy wyborze obiektów i miejsc, będących bohaterami i bohaterkami tej książki, nie była dla mnie ich popularność, wielkość ani rozpoznawalność – właściwie wręcz przeciwnie. Im bardziej nienarzucające się i mniej dosłowne, tym bardziej mnie ekscytowały. Kiedy myślę o idei stojącej za tym wyborem, wraca do mnie Pomnik Neurotyków. Jeśli nie wiesz o jego istnieniu i idziesz Alejami Ujazdowskimi, a nad tobą świeci słońce – za nic go nie zauważysz. Ale wystarczy, żeby spadło choć trochę deszczu, a z gładkiej równości chodnika wyłania się idealnie okrągła kałuża, na jakieś trzy centymetry głęboka. To cały pomnik. Unikat w bezkałużowym, elegancko odnowionym centrum miasta. Jedna z najbardziej niezwykłych i poetyckich realizacji, każdego dnia mijana przez tysiące nieświadomych osób".

Jolanta Gajda-Zadworna

**Promotor sztuki współczesnej, youtuber, instagramer, autor albumu „Ukryte na widoku. 101 opowieści o sztuce w przestrzeni publicznej"*


100 ton, Szklarska Poręba


Pomnik Fryderyka Chopina, Kraków



Fot. Piotr Maślanka, Szymon Sokołowski (3x)



SŁODKO-SŁONY

Wiosenne smaki

ANNA MONICKA

Od dawna śledzę poczynania organizacji konsumenckiej Pro-Test, która prowadzi testy rynkowe rozmaitych produktów: maszynek do golenia, blenderów, pralek, odkurzaczy, suszarek do włosów i oczywiście jedzenia. Czytanie wyników często przypomina oglądanie filmu grozy, ale i tak warto, zwłaszcza gdy wszystkich ogarnia przedświąteczna gorączka (o czym producenci i sprzedawcy dobrze wiedzą, więc żerują jak rekiny) i robimy się mało asertywni na bombardowanie reklamami oraz kuszenie promocjami, które skończą się za ileś tam sekund, a jak nie skorzystasz, to jesteś kiep.

Szczególnie ciekawie wyglądają testy żywności – zarówno polskiej, jak i zagranicznej – z popularnych sieciówek. I nie dotyczą tylko obecności pestycydów. Startuje właśnie sezon na nowalijki, więc szczególnie polecam zaglądać na stronę pro-test.pl. Mimo wszystko lepiej wiedzieć, co wkładamy do lodówki albo kładziemy na talerz dziecka. Przyznam, że zmroziły mnie wyniki badań szpinaku baby, jabłek i aronii sprzedawanych jako „bio", bo nawet w nich znaleziono ślady pestycydów, chociaż ten ze szpinaku był akurat dozwolony w uprawie ekologicznej (!). Ponieważ dopadła mnie ostatnio „jelitówka", wciąż się zastanawiam, czy przeczołgał mnie wirus, czy jednak smakowicie wyglądające i pyszne zielone jabłka z chemiczną wkładką.

By jednak nie biadolić, jeśli znajdziecie bezpieczną zieleninę – choćby właśnie młody szpinak czy szparagi lub groszek cukrowy albo śnieżny – polecam szybki obiad z makaronem typu wstążki, idealny na humorzastą wiosnę. Gotujemy kluski, a na dużej patelni podsmażamy na oliwie posiekaną cebulkę i trochę rozgniecionego czosnku (ok. 2 minut, żeby się zazłociły, ale nie zbrązowiały), dodajemy pokrojone młode listki szpinaku (lub innej zieleniny albo mieszamy groszek ze szparagami czy szpinakiem), znów podsmażamy, odparowujemy, zaprawiamy śmietanką lub jogurtem, przyprawiamy solą, pieprzem oraz gałką i dodajemy świeżo ugotowane wstążki. Mieszamy, żeby makaron był idealnie otoczony sosem, możemy podlać wodą z gotowania, bo szybko pije wilgoć. Przekładamy na talerze, posypujemy świeżo startym parmezanem i skórką z limonki (porządnie wyszorowaną). Rzucamy na wierzch odrobinę wyhodowanych w domu kiełków rzodkiewki i cieszymy się wiosennym smakiem.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Kwiaty wczesnowiosenne

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zanim rozwiną się liście drzew, a wnętrze lasu pogrąży się w zielonym półmroku, mamy krótką szansę na zaobserwowanie geofitów, czyli roślin, których nadziemny cykl rozwojowy – wyrośnięcie ponad powierzchnię gleby, zakwitnięcie, zapylenie, wydanie nasion i obsianie się – trwa bardzo krótko. Niekiedy geofity są widoczne zaledwie przez kilka tygodni. Za to ich pojaw bywa bardzo spektakularny: wyścielają dno lasu gęstym, zielonym dywanem, który nagle pokrywa się wielką liczbą białych, złocistych albo fioletowych kwiatów – zależnie od gatunku. Równie szybko przekwitają, zaraz potem ich liście żółkną i obumierają, a geofity chowają się pod ziemią – aż do następnej wiosny.

Strategia roślin zaliczanych do geofitów polega na tym, aby wykorzystać dużą ilość światła słonecznego wiosną, zanim korony drzew się zazielenią i przechwycą tę energię. Geofity nie chcą się bawić w przystosowanie i strategie inne niż ta: być pierwszymi, nasycić się światłem słonecznym i przy jego wykorzystaniu, fotosyntetyzując, wytworzyć substancje odżywcze wystarczające zarówno do błyskawicznego przejścia całego cyklu rozwojowego, jak i do przetrwania pod ziemią w postaci kłącz oraz bulw pozostałej części wiosny, lata, jesieni i zimy – aż do kolejnej krótkiej pory wczesnowiosennej.

Właśnie teraz przypada szczyt ich kwitnienia. W niektórych, cieplejszych rejonach Polski mogą powoli przekwitać. W innych dopiero zakwitają – najlepiej po prostu pójść do lasu i przekonać się samemu. Które gatunki geofitów można nazwać emblematycznymi?

W większości lasów różnego typu możemy liczyć na zawilce gajowe (*Anemone nemorosa*) o kwiatach dużych, białych, z żółtym środkiem (wysokość całej rośliny – podobnie jak pozostałych tu wymienionych – to przeciętnie kilkanaście centymetrów). Biało kwitnie również szczawik zajęczy (*Oxalis acetosella*) – jego kwiaty są mniejsze, a liście przypominają trójlistną koniczynę.

W Karpatach można z kolei zaobserwować fioletowo kwitnącego żywca gruczołowatego (*Dentaria glandulosa*), od którego pochodzi nazwa zbiorowiska – buczyny karpackiej.

Na terenie zaś całej Polski, w lasach wilgotniejszych, złocistymi, promienistymi kwiatkami zakwita ziarnopłon wiosenny (*Ficaria verna*).

eprasa.pl 9016f0c18b

3 MIŁOŚCI

Monsieur Jourdain i Obcy



ROBERT TEKIELI

„Wszystkie kwiaty w domu mi zmarły. Zdrowe kwiaty doniczkowe w ciągu jednej [doby] opuściły wszystkie liście, więc już wiedziałam, że coś złego dzieje się z energią. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak silną mam energię przy wypowiadaniu jakichkolwiek słów. Teraz to wiem, więc nie używam żadnych intencji negatywnych, tylko pozytywne, bo wiem, że ta energia jest bardzo silna" – wspomina Edyta Górniak czas rozstawania się ze swoim mężem-oprawcą. Głęboko wierzy w sprawczą moc słów. A za nią w te wierzenia wchodzą tysiące ludzi.

Dziś o sposobie myślenia milionów nie decydują już kultura, obyczaj i wielkie koncerny medialne – narzędzia sprawowania władzy przez reprezentantów elity starych, dużych pieniędzy. Ten monopol wymknął się z rąk liberalno-lewicowego establishmentu. Na naszych oczach władza nad umysłami została zdecentralizowana. Realny rząd dusz sprawują ci, którzy są w stanie tworzyć samoreplikujące się narracje. Tysiące, dziesiątki tysięcy charyzmatycznych influencerów, odtwarzając semantyczne matryce, włada wyobraźnią ludzi Zachodu. Opowiadają rzeczy równie prawdziwe co Edyta Górniak, czasami skrajnie nieprawdopodobne i głupie. I mają słuchaczy.

Rewolucja 1968 r. zapoczątkowała kopernikański przewrót w stosunku do rzeczywistości i prawdy. Marksizująca filozofia postmodernistyczna została przejęta przez masy w jej najważniejszym aspekcie. Wrogiem zwykłego człowieka stał się System. Skojarzony z racjonalizmem, religijną wiarą, władzą państwa i obyczajem. Każdy konsument popkultury stał się miarą dla własnych rzeczy. Kategoria prawdy przestała cokolwiek znaczyć. Hipisowski stosunek do rzeczywistości zawitał pod strzechy. To nie realność jest punktem odniesienia współczesnego człowieka, lecz System.

Monsieur Jourdain stał się hipisem. Nie mając o tym pojęcia, wyznaje nihilistyczny światopogląd, przez trzy stulecia zarezerwowany dla europejskich elit. Hedonistyczny cynizm i skarlała wola mocy spauperyzowała się. Elitom został już tylko satanizm.

W najbardziej znanym mi nurcie narracyjnym tysiące mentorów, sansanimów i kołczów na dziesiątkach tysięcy kursów każdego dnia „uczą" ludzi Zachodu, jak „blokować negatywną energię", jak „chronić swoje pole", uruchomić „moc czakr" i poczuć „przepływ". Duchowością naszej cywilizacji jest dziś religia samo-zbawienia człowieka.

Człowiek, który regularnie grzeszy, przestaje zauważać, że grzeszy. Przestaje mu to przeszkadzać. A to oznacza, że kolejne, coraz cięższe przestępstwa przychodzą mu coraz łatwiej

Ta „wiedza" jest całkowicie bezużyteczna. Ale kto przekona o tym ludzi zafascynowanych pewnością wypowiadanych opinii przez Edytę Górniak, Justynę Steczkowską czy Roberta Bernatowicza? Opinii w dużej części całkowicie absurdalnych. „Robert Bernatowicz w rozmowie z Kubą Wojewódzkim opowie o dowodach na istnienie UFO...". „Muszę wam opowiedzieć historię, która odmieni wasze życie. Byłem w podróży do Wałbrzycha i tam był taki pan Zenon...". „Za częścią objawień maryjnych stoją Obcy...". Justyna Steczkowska nagłaśniająca satanistyczną metodę Berta Hellingera ma na TikToku 12,6 mln polubień.

Ludzie chcą całościowej opowieści o świecie. Wyjaśnienia wszystkiego, co nie układa im się w całość. Rozpoczęcia narracji od fundamentów, dojścia do ich problemów i w końcu do niewymagających trudu propozycji ich rozwiązania. Tak, ale to nie wszystko. Świat, jaki znamy od czterech stuleci, już się rozpadł. Choć nie wszyscy chcą to zobaczyć. Nowa opowieść o rzeczywistości czerpie siłę z całych kontynentów prawdy, o których w interesie swych właścicieli nie mówiły i dalej nie mówią dominujące dotąd media tradycyjne. Dlatego tracą odbiorców. Ale dzięki nowym narracjom świat nie staje się bardziej zrozumiały. Wprost przeciwnie. Sieć to dziś opowieść idioty. W filmie Monty Pythona „Żywot Briana" jest genialna sekwencja. Przy drodze stoi kilkudziesięciu proroków. Każdy bredzi, poza jednym. Ten opisuje dziejącą się właśnie rzeczywistość. Jest ona jednak tak nieprawdopodobna, że ta opowieść brzmi jak raport z paranoi.

I takiemu stanowi rzeczy absolutnie nie można się dziwić. Odkąd europejska filozofia zarzuciła jedyne sensowne kryterium prawdy, czyli zgodność słowa z rzeczą, za prawdziwe uznaje się np. opowieści spójne. A przecież nie ma bardziej spójnego zestawu słów niż opowieść człowieka chorego na paranoję. Rzeczywistość społeczna po wiekach dorosła do filozoficznych założeń nowożytności. Każdy ma swoją prawdę, co oznacza, że prawie każdy błądzi.

Już dziś na Zachodzie idzie się do więzienia za modlitwę myślną, wkrótce ludzie upierający się, że obiektywna prawda istnieje, zaludnią szpitale psychiatryczne, bo „ich prawda" będzie urażać czyjeś uczucia.

Z jednej strony pogubiony, ślepy tłum gromadzący się wokół jednookich, z drugiej wyzwolone z wszelkich zasad elity kumulujące kolejne biliony. Ratuje nas jedno – sprzeczne plany cyfrowych i fi-

eprasa.pl 9016f0c18b



nansowych baronów. Jest jednak coś, co łączy wszystkie nurty nowożytnego buntu. Odrzucenie kategorii grzechu.

Na zdjęciu trzech dorosłych mężczyzn i noworodek. W Kalifornii grupa homoseksualistów może adoptować dziecko. W akcie urodzenia ma ono trzech ojców. Polska, przyjmując agendę zrównoważonego rozwoju, zobowiązała się do wprowadzenia aborcji na życzenie i deprawacji dzieci poprzez permisywną edukację seksualną. Tkankę społeczną zachodniej cywilizacji miażdży odwrócenie ról płciowych i zanegowanie tradycyjnej, monogamicznej rodziny. Żyjemy w świecie odwróconych znaczeń. Odrzucono kulturową, społeczną i antropologiczną mądrość Objawienia.

Umysł jest narzędziem, czyniący go miarą rzeczy to pyszni głupcy. To tak jakby z kompasu czynić cel. Popatrzmy na początki człowieka. Bóg tchnął mu w nozdrza sumienie. Człowiek stanął wobec losu. Przypadku, fatum, przeznaczenia. Kombinował, kombinował, wymyślił instytucję ofiary.

Czym jest ofiara? Czemu świątynia w Jerozolimie spływała potokami zwierzęcej krwi? Dlaczego w ogóle powstała idea ofiary?

Człowiek, który mierzył się z rytmem przyrody, którego dzieci ginęły rozszarpywane przez dzikie zwierzęta, który widział nieskończone, nieludzkie piękno gór, którego morski połów i życie zależały od kaprysu nieczułej pogody, bezradny i oniemiały zaczął się domyślać, że za tym wszystkim stoi jakaś inteligencja, Osoba. I postanowił ją obłaskawić. Ofiarowywał jej cenne dla siebie rzeczy, zwierzęta, ważnych ludzi. Izaak przeżył, bo ojciec nas kocha.

Ale niektórzy zgodnie ze swoim charakterem wymyślili złośliwych bogów, głodnych krwi, dziewic czy pierworodnych synów.

Ofiarą z Jezusa Bóg Ojciec dał ostateczny wyraz swojej miłości do nas. Nie miał nic cenniejszego niż mordercze cierpienie swego syna. Bóg chciał nas przebłagać, niewinnie cierpiącym chciał pokazać, że jego syn za każdego z nas oddał swoje życie.

Jezus na krzyżu był całkowicie samotny. Ojciec go opuścił, abyśmy nie mogli zarzucić Wszechmocnemu, że chciał ochronić syna przed choć jedną torturą. Ofiara Jezusa przywróciła nam perspektywę raju. Znów otworzyła drzwi do niego. Nasz grzech już nigdy ich nie zamknie. Mamy walczyć jedynie o podobieństwo do Chrystusa. Kochając tak jak on każdego najbiedniejszego, najgłupszego, najgrzeszniejszego człowieka.

I taką właśnie historię, w której mit się ucieleśnił, odbiera nam współczesna kultura, skazując nas na samotność. Na świat bez Boga.

A także bez Maryi. Kobiety będące architektkami rewolucji seksualnej – Simone de Beauvoir, Margaret Sanger, Shulamith Firestone, Kate Millett i Betty Friedan – nie były obojętne wobec Maryi. Były anty-Maryjne. Odrzuciły wszystko, czym ona jest: domagając się wyzwolenia seksualnego, odrzuciły jej dziewictwo, domagając się aborcji i antykoncepcji, odrzuciły jej macierzyństwo, domagając się całkowitej emancypacji, odrzuciły jej posłuszeństwo, domagając się władzy, odrzuciły jej pokorę, domagając się komfortu, odrzuciły jej cierpienie. Feministyczna rewolucja jest – na najgłębszym poziomie – rewolucją anty-Maryjną. To „nie" dla jej „tak".

Nowożytna rewolucja skonstruowała świat bez możliwości odkupienia win. Świat smutku i beznadziei.

I ostatnia dziś intuicja: 23 proc. treści Ewangelii dotyczy działań Chrystusa w związku z demonami. Nowożytna manipulacja sferą poznawczą i duchową człowieka to nie tylko porzucenie kategorii grzechu, odcięcie nas od miłości Jezusa, Boga Ojca i Maryi. Ważnym elementem odwróconej narracji jest zaprzeczenie istnienia nieprzyjaciela natury ludzkiej. Części faktów składających się na historię gatunku ludzkiego nie da się zrozumieć bez świadomości istnienia przemożnego wpływu ciemnej strony świata duchowego na działania niektórych ludzi.

Najbardziej podstępne jest zaś to zniekształcenie wiedzy na temat prawideł rządzących sferą duchową, które prowadzi do lekceważenia wpływu grzechu na sferę poznawczą. Człowiek, który regularnie grzeszy, przestaje zauważać, że grzeszy. Przestaje mu to przeszkadzać. A to oznacza, że kolejne, coraz cięższe przestępstwa przychodzą mu coraz łatwiej.

Dziś ludzie Zachodu lekceważą rozwiązłość, kłamstwo, pychę czy bezwstyd – wystarczy popatrzeć na współczesne wybiegi, filmy czy plaże. Będzie to miało swoje konsekwencje. Istnieje coś takiego jak miara grzechu. Jej przekroczenie owocuje wojnami i katastrofami. Bóg nikogo nie każe. Ale nie da się uniknąć śmierci, która jest bezpośrednim skutkiem grzechu. W pewnym momencie narody, społeczności, cywilizacje są konfrontowane z konsekwencjami swych działań. Krwawa przyszłość przed nami.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9016f0c18b

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Publiczna, czyli państwowa


www.wojciechreszczynski.pl

Jak kraj długi i szeroki protestują publiczne, czyli państwowe szpitale, szczególnie powiatowe, pozbawione pieniędzy na utrzymanie swoich placówek. Nie mają z czego opłacić podstawowych świadczeń, bo NFZ nie dostaje pieniędzy z kasy państwowej, a brakuje ponad 18 mld zł. Już to przerabialiśmy za poprzednich rządów Tuska („piniędzy nie ma i nie będzie"). Na co były te wszystkie plany budżetowe, skoro od razu było wiadomo, że służba zdrowia pod rządami Tuska będzie przechodzić tę samą „transformację", co cała polska gospodarka.

Czy w jakimś sektorze gospodarki poprawiło się w ciągu ostatnich dwóch lat? Wszędzie się pogorszyło, bo takie było i jest założenie programowe liberałów Tuska, obojętnych na sprawy bezpieczeństwa Polaków. Polska nie musi być ambitna, nie musi się rozwijać. Im wcześniej stanie się niewypłacalna, tym szybciej „zaopiekuje się" nami niemiecka UE, oczywiście po wcześniejszym zlikwidowaniu narodowej złotówki i zastąpieniu jej przez euro. Niszczenie państwa przebiega wielotorowo: od gospodarki, demokratycznych instytucji po wymiar sprawiedliwości i prawa obywateli. W każdej z tych dziedzin łamana jest konstytucja, a jeśli chodzi o służbę zdrowia, łamany jest jej art. 68, gwarantujący prawo i równy dostęp do służby zdrowia finansowanej ze środków publicznych oraz wiele innych obowiązków państwa odnośnie do leczenia dzieci, opieki nad kobietami ciężarnymi, osobami niepełnosprawnymi czy osobami w podeszłym wieku. Konstytucja w Polsce właściwie już nie obowiązuje. Dziś jest jedynie zbiorem pobożnych życzeń, a obywatele pozostają kompletnie bezbronni wobec antypolskiej polityki rządu Tuska. I nie przemówi do niego oraz całej jego koalicji 13 grudnia art. 82 konstytucji, przypominający, że „obowiązkiem obywatela polskiego jest wierność Rzeczypospolitej oraz troska o dobro wspólne".

Powszechnie uważa się, że specjalnie wywołany przez rząd kryzys w służbie zdrowia poprzedza zamiar przeprowadzenia powszechnej prywatyzacji. To powrót do czasów, kiedy w 2007 r. posłanka PO Beata Sawicka zapewniała agenta CBA o „kręceniu lodów na służbie zdrowia". W każdym poważnym kraju demokratycznym obok prywatnej służby zdrowia funkcjonuje także państwowa i wspomagające ją systemy, jakim jest nasz NFZ. Uzyskując swego czasu zezwolenie na pracę w USA, od razu otrzymałem kartę Social Security. Pracodawca wypłacał mi pensję poprzez bank, który opłacał moją składkę na ubezpieczenie zdrowotne. U nas czyni to pracodawca – ten sam, który za rządów Tuska tradycyjnie ograniczył albo zaprzestał wpłat podatkowych, stąd drastyczny spadek przychodów państwa, skutkujący dziś brakiem finansowania służby zdrowia. Ale tak najwyraźniej miało być i tak będzie nadal, skoro wyborcy wybierają Polskę liberalną, a nie solidarną.

Dramatyczny stan polskich szpitali jest szeroko komentowany głównie w konserwatywnych mediach. Ale również tam utrzymuje się pewne nieporozumienie. Prywatyzacja szpitali, czy jak to się nazywa – „komercjalizacja", nie może obejmować państwowej służby zdrowia. Ta nigdy nie może być traktowana jak inne sektory gospodarki. Szpital publiczny nie może być „przedsiębiorstwem" nastawionym na dochód czy zysk, ale wskutek wadliwej polityki państwa może przestać istnieć w dotychczasowej formie, zamieniając się w szpital kierowany przez jakąś prywatną spółkę. Już teraz zamykane są oddziały porodowe, a nawet chirurgiczne czy kardiologiczne. Limity przyjęć na zabiegi, które według zapewnień ludzi Tuska miały zostać zniesione – tak głosili politycy PO przed wyborami w 2023 r. – wydłużyły się kilkakrotnie, a bajki o tym, że lekarz będzie dzwonił do pacjenta albo że pacjent nieprzyjęty do szpitala publicznego, ale dysponujący rachunkiem za wykonanie zabiegu w szpitalu prywatnym będzie mógł żądać od NFZ zwrotu pieniędzy, to lektura dla więcej niż naiwnych. Należy się tylko dziwić, że Polacy po raz kolejny dali się nabrać tym cynicznym politycznym hochsztaplerom. I dodajmy – kompletnym nieukom, bo jak nazwać posłankę z Nowej Lewicy, wspomagającą koalicję z Tuskiem, która nie wie, ile jest 7 razy 9? Chodzi o posłankę Annę Marię Żukowską.

Zyskiem szpitala czy dochodem szpitala publicznego jest – jeśli mamy używać tego niewłaściwego terminu – wyleczony i zdrowy pacjent – obywatel, kolejne dziecko urodzone bezpiecznie w najbliższej porodówce, każda wyleczona osoba, która pracując dla Polski, opłacała co miesiąc składki zdrowotne. Publiczna służba zdrowia to nie żadna łaska czy przywilej, ale obywatelskie prawo zagwarantowane w konstytucji. Prawo, które jest dziś świadomie łamane przez rząd Tuska. Dodajmy, że poważne demokratyczne państwo ma też obowiązek zająć się ochroną zdrowia ludzi – nazwę ich społecznie niezaradnymi – którzy z różnych powodów nie byli w stanie się ubezpieczyć i płacić regularnie składki zdrowotnej, a znaleźli się w potrzebie. Tymczasem ostatnio zobaczyliśmy coś zgoła przeciwnego. Senator KO Tomasz Lenz bez kolejki, bez oficjalnych uzgodnień ze szpitalem, bez odpowiedniej dokumentacji medycznej, z prywatnym lekarzem organizuje zabieg chirurgiczny dla swojego syna w publicznym szpitalu w Aleksandrowie Kujawskim. Czy o to chodzi?

eprasa.pl 9016f0c18b

Shahedy spadały jak ulęgałki



Andrzej Rafał Potocki

Kolejny rekord został pobity. Załoga wchodząca w skład 1020. Pułku Rakiet i Artylerii zniszczyła 30 rosyjskich dronów w ciągu jednego dnia. „Rekordy, o których nie ma mowy w Księdze Rekordów Guinnessa, a które ratują życie i chronią miasta" – skomentowała Fundacja Charytatywna Serhija Prytuły, aktywnie wspierająca ukraińską armię m.in. w zakresie zakupu dronów. Dotychczasowy rekord, ustanowiony w styczniu br., wynosił 24 strącone drony w ciągu jednego dnia. Poprzedni wynik również należał do 1020. Pułku Rakiet i Artylerii. Zarówno wtedy, jak i teraz jego załogi korzystały z dronów przechwytujących Sting produkowanych przez firmę Wild Hornets. Drony Sting są jednostkami typu FPV (First Person View, czyli widok z pierwszej osoby). Mogą być wyposażone w wysokiej jakości gogle i ekrany, które umożliwiają podgląd na żywo. Bardzo praktycznym rozwiązaniem jest możliwość odpowiedniej regulacji dioptrii w goglach, np. w skali +2,00 do -8,00, sterowanych z wykorzystaniem okularów VR. Stingi rozwijają prędkość do ok. 300 km/h (to więcej niż w przypadku większości typów irańskich Shahedów oraz bliźniaczych dronów Geran) i mogą operować na pułapie nawet kilku kilometrów. W dniu, w którym pobito rekord, kacapskie drony padały jak muchy.

Ale rekord ten prawdopodobnie długo się nie utrzyma, bowiem Ukraina wprowadza do służby nową generację bezzałogowych systemów przechwytujących, które mają wzmocnić ochronę przestrzeni powietrznej. Jednym z najnowszych rozwiązań jest JEDI Shahed Hunter – szybki dron przechwytujący, opracowany i produkowany na Ukrainie, który został już dopuszczony do użytku operacyjnego. Hunter został zaprojektowany nie tylko do zwalczania dronów kamikaze typu Shahed czy Geran. System jest również zdolny do przechwytywania bezzałogowców rozpoznawczych, takich jak Zala czy Supercam, co znacząco zwiększa jego wartość na współczesnym polu walki. Konstrukcja drona bazuje na układzie pionowego startu i lądowania. Bezzałogowiec współpracuje z systemami radarowymi, które dostarczają mu dane o celach. Na ich podstawie maszyna może automatycznie namierzyć i przechwycić wrogi obiekt, co znacząco skraca czas reakcji i zwiększa skuteczność działania. Zasięg operacyjny systemu obejmuje przestrzeń powietrzną o promieniu do 40 km, co pozwala na tworzenie efektywnych stref obrony przeciwko atakom dronowym. Czekamy na nowy rekord, którego niestety nie zapiszą w Księdze Rekordów Guinnessa.

Według Tatiany Rybakowej, ruskiej dziennikarki z „The Moscow Times", publicystki analizującej sytuację polityczną i gospodarczą Federacji Moskiewskiej, społeczne niezadowolenie i rosnące napięcia mogą przypominać sytuację sprzed upadku Związku Sowieckiego. Tak jak pod koniec lat 80. Kreml wzywał obywateli do zakasania rękawów wobec „obiektywnych okoliczności". Teraz ludzie Putina zachowują się podobnie. Mimo że capo di tutti capi na Kremlu i jego najbliższe otoczenie deklarują opanowanie sytuacji ekonomicznej, rzeczywistość wydaje się przeczyć tym słowom. Jak donoszą źródła, Kacapy są coraz bardziej przygnębieni i świadomi pogarszającej się sytuacji gospodarczej. Ekonomiści zaczynają głośno mówić o problemach. Dowodem na to, że społeczeństwo traci cierpliwość, są też ostatnie sondaże poparcia dla ludzi władzy. Najnowsze dane państwowego ośrodka WCIOM wskazują na wyraźny trend spadkowy. Od początku roku poparcie dla Putina pikuje. Próg 70 proc. aprobaty, dotąd traktowany jako nienaruszalny poziom, właśnie został przekroczony. W kwietniu br. aprobata dla Putina spadła do 67,8 proc. z poziomu 75,1 proc. w styczniu. Powiadają, że kropla drąży skałę. Albowiem im szybciej skała runie, tym lepiej dla świata.

Polskie media działające na Ukrainie zwróciły się do Senatu Rzeczypospolitej Polskiej z apelem o pilne przeanalizowanie decyzji dotyczących finansowania projektów polonijnych w latach 2026–2027. W swoim liście redakcje podkreślają, że ograniczenie lub brak wsparcia może poważnie zagrozić dalszemu funkcjonowaniu wielu polskich mediów na Ukrainie. Autorzy apelu przypominają, że redakcje od lat odgrywają ważną rolę informacyjną i społeczną dla Polaków mieszkających w różnych regionach kraju, często pracując w warunkach trwającej wojny. Ich zdaniem utrata finansowania oznaczałaby nie tylko osłabienie obecności polskiego słowa w regionie, lecz także zagrożenie dla bezpieczeństwa informacyjnego polskiej mniejszości na Ukrainie. List podpisało kilkanaście redakcji i środowisk medialnych działających w różnych miastach Ukrainy, w tym redakcja „Kuriera Galicyjskiego". Widać jak na dłoni, że popieranie Kijowa jest OK, ale na Polonię to szkoda już kasy. Pieprzymy, nie robimy, bo to tylko potrafimy.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9016f0c18b

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Rozumieć i być rozumianym



Aleksander Nalaskowski

Komunikacja międzyludzka nigdy nie była aż tak intensywna, a jednocześnie tak powierzchowna jak dziś. Paradoks naszych czasów polega na tym, że dysponujemy narzędziami, o których wcześniejsze pokolenia mogły tylko marzyć, a mimo to coraz trudniej nam się naprawdę porozumieć. Zamiast rozmów mamy wymianę komunikatów. Zamiast dialogu – monologi wygłaszane w próżnię. Zamiast relacji – sieć kontaktów, które równie łatwo się nawiązuje, jak i porzuca.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu komunikacja wymagała wysiłku. Listy pisało się ręcznie, rozmowy prowadziło twarzą w twarz albo przez telefon, który nie był stale przyklejony do dłoni. Każde słowo miało większy ciężar, bo jego przekazanie kosztowało czas i uwagę. Przykładaliśmy się do tego, aby być zrozumianymi i jednocześnie rozumieć rozmówcę.

Dziś komunikacja została odchudzona do minimum – skróty, emotikony, reakcje. Zamiast mówić „rozumiem" – klikamy ikonę. Zamiast wyrazić emocję – wybieramy gotowy symbol. To wygodne, szybkie i dramatycznie płytkie.

Największa zmiana nie dotyczy jednak samej formy, lecz intencji. Dawniej komunikacja służyła porozumieniu. Dziś coraz częściej służy autoprezentacji. Mówimy nie po to, by zostać zrozumianymi, ale aby zostać zauważonymi. Każda wypowiedź jest potencjalnym występem, każda opinia – elementem budowania wizerunku. W efekcie rozmowa przestaje być przestrzenią wymiany, a staje się sceną, na której każdy gra swoją rolę, rzadko słuchając innych.

Media społecznościowe tylko przyspieszyły ten proces. Wprowadziły logikę natychmiastowej reakcji i ciągłej dostępności. Nie ma już czasu na przemyślenie odpowiedzi – liczy się szybkość, nie trafność. Adekwatność zostaje zastąpiona refleksem. Emocje są stale podkręcane, bo to one generują uwagę. Spokojna, wyważona wypowiedź ginie w natłoku krzyku. Nawet jeśli mówimy szeptem, to krzyczymy. W efekcie komunikacja zaczyna przypominać pole bitwy, a nie przestrzeń dialogu.

Co gorsza, coraz częściej mylimy ilość z jakością. Setki wiadomości dziennie dają złudzenie bycia w kontakcie z innymi, ale w rzeczywistości pogłębiają poczucie izolacji. Można spędzić cały dzień na rozmowach online i wieczorem czuć się bardziej samotnie niż kiedykolwiek. Dlaczego? Bo prawdziwa komunikacja wymaga obecności – nie tylko fizycznej, lecz także mentalnej. A tej czytanie newsów nie daje.

Współczesny człowiek słucha wybiórczo. Przerywa, dopowiada, interpretuje, zanim druga osoba skończy mówić. Zamiast próbować zrozumieć, szuka momentu, by odpowiedzieć. To nie jest dialog – to równoległe monologi, które czasem się przecinają, ale rzadko naprawdę spotykają. W takim świecie nie ma miejsca na niuanse, na wątpliwości, na ciszę. A przecież to właśnie w ciszy często rodzi się zrozumienie.

Nie bez znaczenia jest też język, którym się posługujemy. Staje się coraz bardziej uproszczony, skrajny, spolaryzowany. Znika przestrzeń dla „pomiędzy". Albo coś jest „genialne", albo „beznadziejne". Albo ktoś jest „za", albo „przeciw". Taka zero-jedynkowość zabija rozmowę, bo nie pozostawia miejsca na refleksję. Jeśli wszystko musi być ocenione natychmiast, nie ma czasu, by to naprawdę zrozumieć.

Technologia sama w sobie nie jest problemem. Problemem jest sposób, w jaki ją wykorzystujemy. Narzędzia, które mogły pogłębiać relacje, często je spłycają. Zamiast ułatwiać kontakt – zastępują go jego namiastką. Zamiast budować mosty, tworzą bańki – przestrzenie, w których słyszymy tylko tych, którzy myślą podobnie jak my. To prowadzi do zamknięcia i skrajnej radykalizacji, a nie do dialogu.

Warto też zauważyć, że współczesna komunikacja coraz częściej unika odpowiedzialności. Łatwo napisać coś ostrego, obraźliwego czy bezmyślnego, gdy nie trzeba patrzeć drugiej osobie w oczy. Anonimowość lub pozorna anonimowość znosi hamulce. To, co nigdy nie zostałoby powiedziane w twarz, w sieci pojawia się bez oporu. Efekt? Degradacja odpowiedzialności, języka i relacji.

A jednak nie wszystko jest stracone. Zmiany w komunikacji nie są nieodwracalne. Wymagają jednak świadomego wysiłku. Powrotu do słuchania, do zadawania pytań, do akceptowania ciszy. Wymagają odwagi, by mówić mniej, a znaczyć więcej. By nie reagować natychmiast, ale adekwatnie. By nie tylko nadawać, lecz także odbierać.

Prawdziwa komunikacja zaczyna się tam, gdzie kończy się pośpiech. Tam, gdzie człowiek przestaje traktować rozmowę jak narzędzie, a zaczyna – jak relację. To nie kwestia technologii, lecz wyboru. Możemy dalej dryfować w stronę coraz szybszych i płytszych interakcji albo spróbować odzyskać sens rozmowy. Tyle że to drugie wymaga czegoś, czego dziś najbardziej brakuje – uwagi.

I właśnie o nią toczy się dziś najważniejsza walka w komunikacji międzyludzkiej. Nie o narzędzia, nie o zasięgi, nie o formę. O uwagę. Uwaga to obecnie najdroższy towar na świecie. Wystarczy zobaczyć, ile kosztuje minuta reklamy w telewizji. Bez uwagi każde słowo, nawet najpiękniejsze, pozostaje tylko pustym dźwiękiem.

eprasa.pl 9016f0c18b

***Michał Korsun prezentuje:* Odszedł Łukasz Litewka – Przyjaciel Ludzi i Zwierząt**

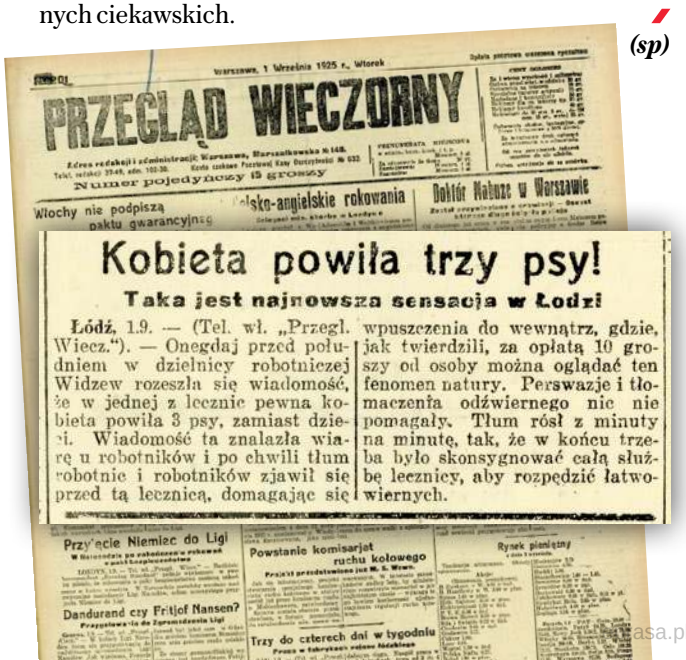


Referencja: Facebook, Shutterstock

Wycinki z przeszłości

Pod wpływem chwili ludzie są w stanie uwierzyć w naprawdę sensacyjne plotki. W 1925 r. „Przegląd Wieczorny" donosił o Łodzi, gdzie rozeszła się wieść, że „pewna kobieta powiła 3 psy zamiast dzieci". Przed lecznicą zebrał się tłum robotników gotowy zapłacić, by zobaczyć „fenomen natury". Perswazje i tłumaczenia odźwiernego nie przyniosły efektu, a personel musiał rozpędzać łatwowiernych ciekawskich.

(sp)



PRZEGLĄD WIECZORNY

Numer pojedynczy 15 groszy

Włochy nie podpiszą ...aktu gwarancyjnego

...lsko-angielskie rokowania

Doktór Nobuse w Warszawie

Kobieta powiła trzy psy!

Taka jest najnowsza sensacja w Łodzi

Łódź, 1.9. — (Tel. wł. „Przegl. Wiecz."). — Onegdaj przed południem w dzielnicy robotniczej Widzew rozeszła się wiadomość, że w jednej z lecznic pewna kobieta powiła 3 psy, zamiast dzieci. Wiadomość ta znalazła wiarę u robotników i po chwili tłum robotnic i robotników zjawił się przed tą lecznicą, domagając się wpuszczenia do wewnątrz, gdzie, jak twierdzili, za opłatą 10 groszy od osoby można oglądać ten fenomen natury. Perswazje i tłomaczenia odźwiernego nic nie pomagały. Tłum rósł z minuty na minutę, tak, że w końcu trzeba było skonsygnować całą służbę lecznicy, aby rozpędzić łatwowiernych.

Przy'ecie Niemiec do Ligi

Dandurand czy Fritjof Nansen?

Powstanie komisarjat ruchu kołowego

Trzy do czterech dni w tygodniu

Rynek pieniężny

...asa.pl 9016f0c18b

Z WOLEJA

Hipokryzja (nie mylić z hipopotamem)



Ryszard Czarnecki

Hipolit? Nie. Hipopotam? Nie. Hipochondryk? Niekoniecznie. Hipokryzja? Tak. To słowo najlepiej pasuje do rządzących polityków i zaprzyjaźnionych z nimi mediów, gdy oskarżają prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego o powiązania polityczne. Rzeczywiście, zbrodnia to niesłychana: wspierał go poprzedni prezydent, wspiera obecny, a były już wicepremier i minister skarbu nie zamykał przed nim drzwi państwowych spółek.

Adwersarzami prezesa Radosława Piesiewicza mają być rzekomo apolityczni prezesi związków sportowych. Ich „apolityczność" przejawia się w tym, że jeden z owych prezesów był posłem z ramienia PO, drugi prezes też był parlamentarzystą, zresztą z tej samej partii, a jeszcze w dodatku ministrem, trzeci (trzecia) prezes – kandydatem tej samej partii do europarlamentu. Do kolejnego związku przymierza się obecny poseł, również z głównej partii rządzącej. Uwaga: nie mam nic przeciwko politykom pełniącym funkcje w sporcie, bo nie jestem właśnie hipokrytą: sam byłem wszak wiceprezesem Polskiego Związku Piłki Siatkowej, członkiem Prezydium Zarządu PKOl, a wcześniej wiceprzewodniczącym Wydziału Zagranicznego Polskiego Związku Piłki Nożnej. Gdy mówiono o mnie w mediach w kontekście sportu, zawsze podkreślano, że jestem politykiem. Nie miałem nic przeciwko temu: wszak była to prawda. Tyle że dzisiaj te same media, które święcie się oburzały, jak mogę pełnić kierownicze funkcje w polskim sporcie czy ubiegać o fotel prezesa PZPS, nawet jednym krytycznym słowem się nie zająkną, gdy kolejny poseł partii rządzącej ogłasza, że chce być prezesem kolejnego związku sportowego! Jak widać, nad polskim sportem unosi się duch George'a Orwella i jego „Folwarku zwierzęcego", w którym wszystkie zwierzęta były równe, ale świnie „równiejsze".

Poza duchem Brytyjczyka Orwella nad naszym sportem i okolicami unosi się również inny duch: pierwszego polskiego noblisty w dziedzinie literatury Henryka Sienkiewicza. To przecież on wymyślił murzynka – przepraszam wyznawców politycznej poprawności, ale jako żywo nasz rodak nie pisał o „afro- coś tam", tylko konkretnie o Murzynie o imieniu Kali. Gdy ów Kali ukradł krowę – było dobrze. Ale gdy jemu ukradziono – to było parszywe złodziejstwo. Henryk Sienkiewicz nie żyje od 110 lat, ale nad Wisłą i Odrą jego Murzyn Kali ma się świetnie – tyle że ma biały, a nie czarny kolor skóry.

Gdyby za cztery lata wprowadzono na igrzyskach olimpijskich dyscyplinę „hipokryzja", to znam gości, którzy od razu byliby faworytami...



OD A DO ZYBERTOWICZA

Płytkie zakorzenienie w człowieczeństwie

Są ludzie, którzy żyją, rosną, a nawet kwitną w dopaminowym akwarium, ale ich korzenie nigdy nie dotknęły prawdziwej gleby

Czasem przychodzą do nas pojęcia, które działają niczym długo poszukiwane, brakujące do całości kawałeczki układanki. Tak naszło mnie spostrzeżenie, że jest wśród nas sporo osób, które są *płytko zakorzenione w człowieczeństwie*.

Stało się to, gdy oglądałem podcast influencerki, która zaprosiła znaną ekspertkę od sztucznej inteligencji. Gdy słuchałem tej pod wieloma względami pouczającej rozmowy, moją uwagę zwrócił motyw...

...„NIE OCENIAM"

Mowa była o iluzyjności relacji człowiek–czat AI. Ekspertka mówi: „Rozumiem, że dla ludzi czasami taka iluzja to jest coś lepszego niż nic i ja tego **nie oceniam**. [...] Jeśli kogoś nie stać na terapię, też rozumiem, że może chcieć rozwiązać jakieś swoje problemy, a jak jest na rozdrożu zawodowym, to hej, może taki ChatGPT też będzie ciekawym doradcą, z którym można pogadać. W ogóle tego **nie oceniam** [...]. Taki AI-owy tutor dla dzieciaków. Jeżeli wystarczy ci takie czatowanie z kimś, żeby czuć się dobrze, OK, znowu tego **nie oceniam**, ale jeśli upierasz się, że po drugiej stronie jest ktoś, komu na tobie zależy, to niestety z perspektywy mojej wiedzy i stanu wiedzy na dzień dzisiejszy nie jest tak".

Moja ocena tego „nieoceniania" jest krytyczna. Człowieczeństwo – poza wszystkim innym – jest czymś normatywnym. Nie można wychować dziecka, nie oceniając jego zachowania. W nawet najbardziej praworządnym kraju nie może działać wymiar sprawiedliwości, jeśli będziemy się obawiali oceniać ludzkie postępowanie.

Skoro jednak w sferze prawa boimy się nihilizmu, dlaczego tak łatwo akceptujemy go w sferze ducha? Oceniamy, gdyż wiemy – przynajmniej częściowo – czym jest ludzka natura i co jest dla nas dobre. I nie możemy z tego rezygnować w obliczu tego, co nowe technologie – z AI na czele – robią z naszym ludzkim życiem.

KAPITULACJA

„Nie oceniam" to w rzeczywistości kapitulacja. Jeśli uznamy, że relacja z algorytmem jest „równie dobra, jeśli komuś pomaga", to tym samym przyznajemy, że człowieczeństwo nie posiada żadnego unikalnego jądra, a jedynie zestaw funkcji do zoptymalizowania. I to właśnie tutaj zaczyna się owo płytkie zakorzenienie.

Tu od razu narzuca mi się taki botaniczny obraz. Są ludzie, którzy żyją, rosną, a nawet kwitną w dopaminowym akwarium, ale ich korzenie nigdy nie dotknęły prawdziwej gleby – tej ciemnej, wilgotnej. Nie napotkały na opór materii, jaką jest ludzka nieświadomość, historia czy realny ciężar odpowiedzialności za drugiego człowieka.

W świecie „nieoceniania" wszystko staje się horyzontalne. Ślizgamy się po powierzchni doznań, bo wejście w głąb wymagałoby konfrontacji z tym, co algorytm starannie przed nami maskuje: z nudą, bólem, a ostatecznie z tragizmem naszej śmiertelnej natury.

Kontakt z tym, co Carl Jung nazwał nieświadomością, wymaga ciszy, przerwy w nieustającym strumieniu bodźców. Tymczasem współczesny człowiek każdą szczelinę w uwadze zalewa powiadomieniem. Nie rozumie, co traci, bo nigdy nie pozwolono mu odczuć głodu głębi. Żyjąc w stanie ciągłego znieczulenia bodźcami, traci kontakt z głęboką i ukrytą częścią swego człowieczeństwa. Bez tego nie ma trójwymiarowości. Zostaje nam tylko dwuwymiarowa tapeta na ekranie smartfona.

NIE PODĄŻAJCIE ZA MASZYNAMI

Paradoks polega na tym, że to wcale nie maszyny stają się coraz bardziej ludzkie. To my – przez owo płytkie zakorzenienie – stajemy się coraz bardziej kompatybilni z maszynami. Jeśli zredukujemy nasze potrzeby do „poczucia się dobrze", o którym mówiła ekspertka, to AI rzeczywiście bez trudu przejdzie test Turinga. Nie dlatego, że zyska duszę, ale z tego powodu, że to my – w imię komfortu – stłumiliśmy swoją.

Prawdziwe człowieczeństwo jest zakorzenione w tym, co stawia opór. W często bolesnej relacji „Ja–Ty", w błędzie, który uczy oraz w ciszy, która przeraża, bo zmusza do spotkania z tym, co mroczne w nas samych.

Rezygnacja z oceny tego procesu jako czegoś fundamentalnie lepszego niż „rozmowa z czatem" jest pierwszym krokiem do stania się gatunkiem postludzkim: funkcjonalnym, uśmiechniętym i całkowicie wyjałowionym z własnej istoty.

Andrzej Zybertowicz

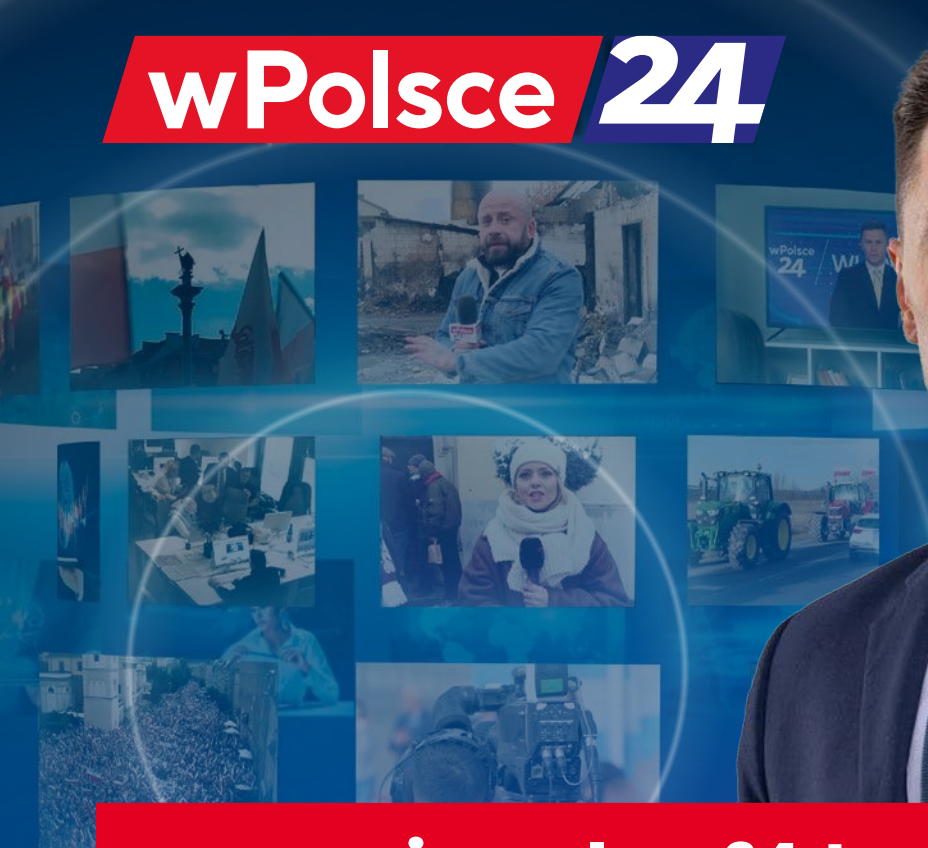
Autopromocja x2

eprasa.pl 9016f0c18b

Zbieramy fundusze na mobilne centrum transmisyjne.
Chcemy być jeszcze bliżej widzów
i walczyć o polskie sprawy!

POMÓŻ NAM ODKRYWAĆ PRAWDĘ

wPolsce 24





Piotr Pawelec
prowadzący „Wiadomości"

wesprzyj.wpolsce24.tv

WSPIERAJ wPolsce24

Wesprzyj niezależne media

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty:

DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 901 [illegible]

wPolsce 24

MINĘŁA 20:05

Rozliczamy polityków i piętnujemy absurdy – od poniedziałku do soboty o 20:05



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 9016f0c18b